



*Od sztuki miłości
do rozlewania krwi
i od śmiechu*

KSIĘGA
ZAKAZANYCH
ROZKOSZY
FEDERICO
ANDHAZI



Andahazi Federico

Księga zakazanych

rozkoszy

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Sześć wież bazyliki St. Martin wbijało się ostrymi iglicami w nocną

mgłę, ginęło w białej wacie i wystrzeliwało ponad nią, przebijając ów

zwiewny dach wiszący nad Moguncją. Jedna romańska, druga

bizantyjska, obie części dwugłowej katedry, zbudowanej na planie

treflowym, górowały nad pozostałymi kopułami miasta. Dalej, w głębi,

nad wodami Renu, majaczyły ruiny starego mostu Trajana, które jak

szkielet niemego olbrzyma spoczywały między dwoma brzegami rzeki.

Czarniawy łupkowy dach zamku i pięćdziesiąt łuków antycznego

romańskiego akweduktu wieńczyły dumne fortyfikacje cytadeli.

Kilka ulic od bazyliki wznosił się niewielki Klasztor Służebnic Kosza

Najświętszego. Prawdę mówiąc, ów obszerny trzypiętrowy budynek

stojący na Korbstrasse, tuż obok Marktplatz, bynajmniej nie był

klasztorem. Niewielu wiedziało, że surowa fasada kryje najbardziej

ekstrawagancki i rozpasany lupanar Cesarstwa, co oczywiście mówiło

samo za siebie. Zamtuz zawdzięczał swój dziwaczny przydomek zarówno

nazwie ulicy, przy której się znajdował¹, jak i wręcz żarliwemu

poświęceniu, z jakim zamieszkujące go ladacznice

1 Korbstrasse - ulica Koszykarska.

brały na siebie trud sprawiania rozkoszy uprzywilejowanym klientom.

W ciągu dnia na brukowanej uliczce otwierały na oścież

swe podwoje

sklepiki producentów koszy, których głównymi klientami
byli bazarowi

straganiarze. Kiedy zaś zapadała noc, a koszykarze
zamykali drzwi, ulica

zaczynała rozbrzmiewać dobiegającym z tawern zgiełkiem
i sprośnymi

przyśpiewkami ladacznic, które wychylając się przez
okna, kusiły

przechodniów wybujalymi wdziękami. W
przeciwieństwie jednak do

zwykłych zamtuzów, pomalowanych na żywe kolory i
pełnych

bezzębnych, cuchnących i hałaśliwych kobiet, klasztor nie
rzucał się w

oczy. Nierządnicę w tym domu uciech były w jakiś
przedziwny sposób

zmysłowo roztropne, lubieżnie religijne, wzbudzając
żądze podobne tym,

jakie rozpały młode dziewice zamieszkujące konwenty.
Iluż mężów

potajemnie marzyło o uczestniczeniu w orgii z mniszkami
żyjącymi w

kongregacjach? Może właśnie na spełnianiu tych
bezcnych pragnień

polegał sekret sukcesu tego wyjątkowego przybytku
rozpusty.

Jednak od kiedy ciąg makabrycznych zdarzeń nawiedził
Klasztor

Kosza Najświętszego, panujący tu zazwyczaj radosny
nastrój ustąpił

miejsca gęstej ciszy, zespolonej spoiwem grozy. Po
zachodzie słońca

kobiety przepelniało dręczące oczekiwanie, jakby spaść
na nie miała

kolejna tragedia. Owej nocy tysiąc czterysta
pięćdziesiątego piątego roku

nad miastem zawisł strach tak gęsty jak ścieląca się wokół
mgła.

Okoliczne zamtuzy i tawerny zamknęły swoje podwoje.
Mleczna wata

snuła się nad dachami jak złowróżbny ptak. W klasztorze
ostało się

zaledwie kilku klientów. Kobiety błagały Boga, żeby
wybór gości nie

padł właśnie na nie. Jedyne, czego pragnęły, to ukryć się
w alkowach i

zapaść w sen do chwili, kiedy przez okna zajrzy kolejny
świt.

Zelda, ladacznica ciesząca się największym wzięciem w
lupanarze,

miała wystarczająco długi staż, żeby wybierać klientów
oraz decydować,

kiedy i w jaki sposób świadczyć będzie swoje usługi.
Dlatego też,

korzystając z zasłużonego przywileju, uznała, że noc
dobiegła końca,

zaryglowała drzwi i zmieniła prześcieradła na łóżku.
Zanim rozpoczęła

przygotowania do snu, wyjrzała przez okno: ulica była pusta, a budynki

po przeciwnej stronie ledwo majaczyły we mgle. Zamknęła okiennice i

zabezpieczyła skrzydła okna grubym skoblem. Siedząc na brzegu łóżka,

rozebrała się, chcąc pozbyć się nie tylko gorsetu trzymającego w

kleszczach jej brzuch i żebra, ale również wszelkich śladów po całym

dniu pracy. Zwilżyła bawełnianą szmatkę w misie z różaną wodą i zaczęła

nacierać ciało powolnymi, rytmicznymi ruchami, jakby odprawiając jakiś

intymny, religijny rytuał. Dokonując swoistego samonamaszczenia,

przeciągała namoczone płótno po ciele majestatycznymi gestami

kapłanki. Nie była już młodą kobietą, ale zachowała posągowe ciało

greckich kariatyd: kształtne nogi, obfite biodra i wyzywające, twarde jak

kamień piersi. Nacierając ciało, Zelda zmywała z niego ślady, jakie

pozostawił na nim miniony dzień, i usuwała pozostałości cudzych

wydzielin. Jakby chciała zetrzeć ze skóry nie tylko piętno po ciężko

przepracowanym dniu, ale również to inne, którego nie da się zmyć

różaną wodą, piętno nieusuwalne, wypalone dużo głębiej niż na skórze.

Intymna ablucja przywracała jej po części spokój, który utraciła wraz

z nadejściem nocy, spowijającej wszystko żalobnym welonem mgły.

Kiedy płukała gałganek, coś zatrzeszczało w głębi alkowy. Rozejrzała się

wokół, ale nie zauważyła nic nadzwyczajnego. Pewnie to echo dźwięku

wody chlupoczącej w porcelanowej misie - uspokoiła samą siebie.

Ponownie zanurzyła w niej materiał i wtedy na półkolistej lustrzanej powierzchni ujrzała odbicie postaci stojącej za zasłoną.

Zesztywniała. Nie śmiała obejrzeć się za siebie. Ktoś był w sypialni. I

nagle zrozumiała, że sama zastawiła na siebie pułapkę. Znalazła się w

potrzasku. Nie starczy jej czasu, żeby pokonać odległość dzielącą ją od

okna lub drzwi i wyciągnąć skobel czy odsunąć rygiel; nieznajomy stał na

wyciągnięcie ręki. Rozważając sposoby wydostania się z potrzasku, w

porcelanowym zwierciadle obserwowała, jak tajemnicza postać wyłania

się zza zasłony z uniesionym do góry ramieniem. Wiedziała. Wbrew

samej sobie czekała na to. Była wybranką. Tajemnicza postać, jakby

stworzona z tej samej mrocznej, zimnej i niemej substancji co mgła,

towarzyszyła jej od dawna. Zelda upuściła ściereczkę do miski i

spróbowała się podnieść. Za późno. Poczwała, jak napastnik chwyta ją od

tyłu, obejmując jedną ręką, podczas gdy drugą zatyka jej usta, żeby nie

mogła krzyczeć. Starła się uwolnić, kątem oka dostrzegła teraz czarny

kaptur, osłaniający głowę napastnika, który trzymał w podniesionej ręce

błyszczący, budzący grozę lancet. Jednym szybkim, precyzyjnym ruchem

oprawca wcisnął Zeldzie w usta szmatkę, której przed chwilą używała.

Długimi zręcznymi palcami wepchnął głęboko gałgan, blokując ujście

tchawicy. Kobieta rzuciła się, próbując złapać powietrze,
ale mokra

bawełna okazała się przeszkodą nie do pokonania.
Zakapturzona postać

ograniczyła się teraz do przytrzymywania Zeldzie rąk,
żeby nie mogła

wyciągnąć knebla, i pilnowania, żeby nie udało jej się
zaczerpnąć tchu ani

wydać żadnego dźwięku. Śmierć przez uduszenie była
kwestią czasu.

Ciało kobiety naprężyło się w mimowolnym odruchu
wymiotnym,

usiłując wyrzucić z siebie knebel. Skromna kolacja
cofnęła się z żołądka i

podeszła do gardła, ale po zderzeniu z przeszkodą
powróciła

niekontrolowanym refluksiem, zalewając płuca. Różowa
skóra Zeldy

posiniała z braku tlenu. Twarz stężała

w grymasie przerażenia, wytrzeszczone oczy i usta stanowiły

makabryczny obraz. Intruz, otulony od stóp do głów czarną peleryną,

wpatrywał się w swoją ofiarę oczami pełnymi ekstazy, dysząc, niemal

wstrząsany paroksyzmami rozkoszy. W Zeldzie nadal tliła się iskierka

życia, chociaż kobieta nie mogła się już poruszyć. Wtedy napastnik

postanowił działać, zanim ktoś zapuka do drzwi. Ofiara, w której ciepłym

ciele biło jeszcze serce, poczuła, jak zakapturzony osobnik wbija jej

skalpel u nasady szyi i wykonuje pionowe cięcie w kierunku wzgórka

łonowego. Nie zamierzał jej zabić od razu, wcześniej chciał ją obdrzeć

za skóry. Zeldą, *in pectore*, błagała Boga, aby ją zabrał do siebie jak

najszybciej. Oprawca wykazał się niesamowitą
zręcznością. Trzymał

skalpel, jakby miał w ręku pióro. Operował nim z
niezwykłą biegłością,

typową dla rzemiosł wymagających wyjątkowego kunsztu.
Nie

postępował jak rzeźnik. Po wykonaniu pierwszego
nacięcia przystąpił do

oddzielenia skóry od mięsa delikatnymi ruchami, dbając o
to, by nie

uległa najmniejszemu uszkodzeniu. Ruchy miał szybkie i
dokładne; zdarł

z ofiary całą skórę w jednym kawałku, jak płaszcz. Zeldę,
której nie

zostało oszczędzone żadne cierpienie, dokonała żywota w
momencie,

kiedy morderca ukończył swoje makabryczne dzieło. Po
czym, ulotny jak

mgła, rozciągnął kompletną sztukę ludzkiej skóry i
przytulił ją jak ktoś,

kto po rozstaniu spotyka ukochaną osobę. Widok był
żałosny: morderca,

od stóp do głów zamaskowany tak, że nie sposób było
dojrzeć centymetra

jego ciała, tkwił wczepiony w sflaczały, wypatroszony
worek o

niewieścich kształtach, jakby chciał się dostać do jego
wnętrza. Stał

nieruchomo przez dłuższy czas, aż w końcu zrolował
skórę, schował ją do

sakwy, otworzył drzwi na korytarz, upewnił się, że nie ma
nikogo w

poblizu, zbiegł schodami na dół i jak duch zniknął w ten
sam tajemniczy

sposób, w jaki się pojawił.

2

Świt rozproszył nocne mgły. Poranne słońce sączyło się przez witraże

katedry, w której rozpoczynała się pierwsza rozprawa w procesie

przeciwko trzem największym fałszerzom, jakich widziało Święte

Imperium Rzymskie Narodu Niemieckiego. Mężczyźni zostali

zatrzymani, gdy próbowali handlować fałszywymi księgami,

wytwarzanymi, z niewątpliwym talentem do czarnej magii, w posępnych

ruinach opactwa świętego Arbogasta na przedmieściach Strasburga.

Na polecenie kanonika, który w imieniu sądu dał znak, więźniowie,

jeden po drugim, zajmowali miejsca na gnojnym krześle z siedziskiem

zaopatrzonym w otwór. Pierwszy mężczyzna, imieniem Johann Fust,

wysoki, chudy, z bujną brodą, zadarł dół jedwabnej szaty i usiadł,

umieszczając odkryte genitalia w otworze. Inny kapłan ukląkł u jego stóp

i zamknięwszy oczy, sięgnął ręką pod siedzenie. Koncentrując się z

całych sił na dotyku, namacał wiszące przyrodzenie oskarżonego.

Stwierdziwszy wręcz byczą potencję, odwrócił głowę do sędziów i

głośno wygłosił werdykt:

- Duos habet et bene pendentes!

Nie był to jednak koniec badania. Prałat, ofiarnie wykonując

przydzielone mu zadanie, przesunął lekko dłoń, przebiegając palcami po

wstydliwym członku oskarżonego, jakby nadal żywił

jakieś wątpliwości.

Zacisnął powieki, zmarszczył brwi, a następnie z miną eksperta orzekł:

- Haudpreaputium, iudaeus est3.

Od kiedy Joanna von Ingelheim, urodzona w Moguncji, uchodząc za

mężczyznę, została papieżem i przyjęła imię

2 Ma dwa i zwisają jak trzeba.

3 Nie ma napletka, jest żydem.

Benedykta III, w całej Nadrenii-Palatynacie przed rozpoczęciem

każdego dochodzenia przeprowadzano badanie kurialne. Trybunał musiał

być pewny płci oskarżonych, żeby nie powtórzyć tego samego błędu.

Nie kryjąc upokorzenia, pierwszy pozwany wstał i poprawiając szaty,

ustąpił miejsca drugiemu, wychudzonemu, blademu

mężczyźnie o

chorobliwym wyglądzie, imieniem Petrus Schóffer. Stosując tę samą

technikę, duchowny przykucnął ponownie, pomacał pod siedzeniem i

tym razem, bez wahania, podsumował jednym zdaniem:

- *Duos iudaeus habet et est.*

Fakt ujawnienia ich żydowskiego pochodzenia przed sądem Kościoła

Świętego nie był dla Fusta i Schóffera korzystny.

Wreszcie na fotelu zasiadł trzeci podejrzany, człowiek

O szczególnym wyglądzie: końce jego krzaczastych wąsów ginęły w

rudej, rozwidlonej brodzie, która spływała od kącików ust na piersi jak

fale wodospadu. Wyniosłe oblicze, wysokie czoło i dumne spojrzenie,

skośne oczy i futrzana czapka nadawały mu pewien

mongolski rys. W

przeciwieństwie do poprzednich mężczyzn miał na sobie roboczy fartuch,

a ubiór i dłonie poplamione na czerwono i czarno. Kapłan ponownie

pokłonił się przed *sella stercoraria*, namacał przyrodzenie i ogłosił bez

wahania:

- *Duos habet et bene pendentes.*

Więzień ten nazywał się Gensfleisch zur Laden, choć znany był

bardziej pod rodzowym nazwiskiem Gutenberg, Johannes Gutenberg,

najbardziej zuchwały fałszerz wszech czasów.

3

Zaczynało świtać, jednak Służebnice Zgromadzenia Kosza

Najświętszego czuwały nadal, jakby noc nie dobiegła jeszcze końca. W

przeciwieństwie do innych poranków, tym razem świt nie zastał ich w

atmosferze świętej rozpusty; wręcz przeciwnie, panowała cisza utkana z

bólu i smutku, ze strachu i grozy. Z żałoby. Świece w kandelabrach

płonęły nie po to, aby chwalić dionizyjską radość życia, ale po to, żeby

towarzyszyć rozpaczcy wywołanej niemożliwymi do przewidzenia

personifikacjami śmierci. Jęki rozkoszy dochodzące z sypialni, typowe

dla tego przybytku, zmieniły się w szloch i tłumiony płacz.

Wszystkie mieszkaniki tego osobliwego lupanaru spędziły

noc na

czuwaniu przy zwłokach Zeldy. Jej dojrzała uroda, jędrna, bez

najmniejszej skazy skóra, przywodząca na myśl gładkość porcelany, była

wspomnieniem, które trudno było pogodzić ze szczątkami

spoczywającymi w trumnie. Znaleziono ją, leżącą na wznak na łóżku,

niedługo po morderstwie. Przerażone, lecz nie zaskoczone kobiety

odkryły, że ciało zostało dokładnie obdarte ze skóry. Nie było żadnych

innych widocznych ran ani złamań. Szmątka, wystająca z gardła,

świadczyła o tym, że przyczyną śmierci było uduszenie.

Zelda była trzecią ładacznicą zamordowaną w ciągu ostatnich

miesięcy. Nie ulegało wątpliwości, że chodziło o tę samą zbrodniczą rękę,

która z jednakową zręcznością dusiła swoje ofiary, aby zaraz potem bez

żadnego wiadomego powodu, poza doznaniem chorobliwej

przyjemności, obdrzeć je ze skóry. Pierwsza śmierć wywołała wśród

kobiet trwogę, rozpacz i poczucie bezbronności. To było coś

niespotykanego, krwawy wyjątek od idyllicznej reguły lupanaru. Druga

ofiara nie tylko wzmogła grozę, siejąc strach i wątpliwości. Podważyła

regułę. Trzecia przemieniła strach w panikę, robiąc

z wyjątku w regułę. To, co niespodziewane, przerodziło się w pełne

udręki oczekiwanie na kolejną tragedię: każdy mógł być następną ofiarą,

każdy mógł być mordercą. Strach nie pozwalał kobietom dostrzec, że

zbrodnie przebiegały zgodnie z pewną logiką: następujące po sobie zgony

stanowiły szereg powiązanych wiekowo ofiar; pierwsza była niewiele

starsza od drugiej, a druga od trzeciej. Nie potrafiły powiedzieć, dlaczego

dochodzi do zbrodni, z prostego powodu: nie były w stanie sformułować

takiego pytania. Nikt też w lupanarze nie snuł domysłów na temat

tożsamości mordercy. Ostatni klienci, którzy korzystali z usług zmarłych

kobiet, zostali po obsłużeniu odprowadzeni do drzwi i, jak nakazywał

protokół domu, kurtuazyjnie pożegnani przez jedną z mieszkanek.

Morderca musiał się więc dostać do budynku ukradkiem. Strach szerzył

się nie tylko wśród ladacznic, ale także wśród klientów. W miarę jak

makabryczne wiadomości rozchodziły się po mieście, klientela kurczyła

się wraz z kolejnymi morderstwami, aż wreszcie pozostała zaledwie

garstka klientów; mężczyźni, nawet jeśli nie o życie, obawiali się o swoją

reputację: nagle wszystkie oczy zwróciły się na zamtuż. Wszystkie, z

wyjątkiem oczu władz, które nie wykazywały najmniejszego

zainteresowania morderstwami; wręcz przeciwnie: opieszałość, z jaką

działały, świadczyła o ich milczącym przyzwoleniu: życie paru

nierządnic nie jest tyle warte, żeby wszczynać dochodzenie. Istniało też

ryzyko, że nalot na zamtuż może ujawnić przypadkowo rutynową wizytę

jakiejś zbyt potężnej osobistości. Frekwencja była coraz gorsza; salony i

sypialnie niegdyś wesołego Klasztoru Służebnic Kosza Najświętszego

stały teraz puste. Nieznany wcześniej chłód zapanował niepodzielnie w

tym miejscu. Samotność nie zapewniała kobietom bezpieczeństwa, wręcz

przeciwnie: wystawiała je na milczącą napastliwość śmierci. Mimo

podjętych środków ostrożności

- drzwi zostały zaryglowane, okna zabezpieczone skobkami -nie udało

się zapobiec ponownemu wejściu anonimowego zabójcy, który

przedostał się jak cień i zabił Zeldę bez najmniejszego hałasu; wymknął

się w ten sam, bezszelestny sposób. Terror nie ograniczał się do murów

lupanaru; żaden mieszkaniec Moguncji nie ignorował obecności cichego

zabójcy. Gdy zapadała noc, wyludniały się ulice. Tawerny i domy uciech

zamykały swe podwoje wcześniej lub w ogóle ich nie otwierały. Słyszając

kroki za plecami, każdy przyspieszał, zerkając kątem oka, nawet się nie

odwracając. Ruchome cienie rzucane przez dogorywające światła latarni

na rogach ulic stwarzały upiorne złudzenie, że morderca jest blisko.

Strach karmił się ciszą, a cisza strachem. Nikt nie odważył się mówić o

zbrodni w obawie przed mogącymi go dosięgnąć podejrzeniami: każdy

mężczyzna, który publicznie wyraziłby zaniepokojenie, mógł być wzięty

za klienta, a każdy klient był potencjalnym zbrodniarzem. Matki

obawiały się o córki, a córki o swoje własne życie. Każdy wieczór był

nowym koszmarem.

Ciało Zeldy, przypominające zwierzęcą tuszę na straganie, lśniło

czerwienią jak zarżnięte jagnię. Wyglądało tak potwornie, że żadna z jej

przyjaciółek nie śmiała po raz ostatni zajrzeć do trumny.

Żadna, z wyjątkiem Ulvy, najstarszej ze służebnic. Przeorysza

nierządnic tworzących kongregację umiała połączyć matczyną czułość z

mistycznym

autorytetem

przełożonej

klasztoru

i

ziemskimi

kompetencjami regentki. W milczeniu, nie uroniwszy ani

jednej łzy, Ulva

przysięgła sobie, że odnajdzie mordercę i pomści swoje podopieczne.

Dwie poprzednie zbrodnie przepełniły ją niewysłowionym bólem, ale ta

ostatnia sprawiła, że żałość przerodziła się w nienawiść, nienawiść, jakiej

wcześniej nie знаła. Tylko ona wiedziała, co jej odebrano wraz z życiem

Zeldy.

4

Wiele wydarzeń, pozornie niewiążących się ze sobą, łączą często

niewidzialne nici, rozciągnięte między nimi przez przypadek i

przeznaczenie. Nikt nie kojarzył śmierci trzech ładacznic z rozprawą,

która miała miejsce w katedrze. Zresztą sam proces, w atmosferze

przerażenia, jakie ogarnęło mieszkańców Moguncji, przebiegał zgoła

niezauważenie. Poza tym, kiedy zamordowano ostatnią kobietę,

oskarżeni przebywali w ciemnym lochu. Może oskarżyciel byłby w stanie

ustalić jakiś związek między tymi dwoma wydarzeniami, przyjmując, że

taki w ogóle istniał. Kierował nim jednak wyłącznie interes osobisty;

sprawa sfalszowanych ksiąg stała się dlań wręcz obsesją. Sprawiał

wrażenie bardziej zaniepokojonego apokryficznymi rękopisami niż

okrutnymi morderstwami, które sterroryzowały ludność. W istocie,

pojawienie się fałszywych dzieł stanowiło zagrożenie nie tylko dla

głównych dogmatów wiary i prawdziwej treści świętych ksiąg, ale też dla

przyszłości samego prokuratora.

Gdy pozwani poprawili szaty i przełknęli szyderstwa, zostali

doprowadzeni przed oblicze prokuratora, żeby wysłuchać zarzutów.

Kabat Johannesesa Gutenberga poplamiony był czarnym tuszem,

nieusuwalnym dowodem przestępstwa, jego dłonie zaś nosiły czerwone

ślady na wewnętrznej stronie i pod paznokciami. W czasie zatrzymania

zabrudzenia nie uszły uwagi oskarżyciela, który zażądał od notariusza

uwzględnienia tego faktu, uniemożliwiając oskarżonemu umycie rąk,

zanim stanie przed sędziami.

Główny oskarżyciel wstąpił na podium i przybierając teatralną pozę,

wyciągnął wskazujący palec ku oskarżonym. Po czym,

zwracając się do

przewodniczącego trybunału, rozpoczął mowę:

- Ja, Zygfryd z Moguncji, pokorny kopista Jego Królewskiej Mości,

mianowany prokuratorem dzięki znajomości tajników przepisywania

ksiąg, oskarżam...

Pierwsze słowa wygłosił w oficjalnym tonie, jak ktoś, kto wypowiada

znaną formułę. Ale spokój był tylko zabiegiem, krótkim preludium

mającym przyciągnąć uwagę sędziów. Gdy wszystkie oczy spoczęły na

nim, a cisza stała się nie do zniesienia, głos prokuratora zagrzmiął jak

grom:

- Oskarżam pozwanych o najokrutniejszą zbrodnię, jaką popełniono

od ukrzyżowania Jezusa Chrystusa, którego cuda znamy
dzięki świętym

księgom spisanych przez Jego apostołów i uczniów!

Jeżeli któremuś z sędziów wydawało się, że była to
maksymalna moc,

jaką może osiągnąć ludzki głos, był w błędzie. Z gardła
Zygfyryda z

Moguncji wydobył się basowy, charczący ryk, jakby w
jego kościstym

ciele zagościła niebywałych rozmiarów bestia:

- Oskarżam ich o dokonanie najbardziej zdradzieckiego
mordu w

historii ludzkości! I jeśli zbrodnia popełniona przez nich
nie spotka się z

przykładną karą, całą przeszłość ludzkości skażecie na
zapomnienie. Nie

pozwólcie, żeby przeklęte nasienie zrodziło owoce i
szerzyło je wśród

maluczkich. Ekscelencje, raczcie spojrzeć na jego ręce

pokryte

czerwonymi plamami, zdradzającymi haniebnie zbrodnie.
Ja, Zygryd z

Moguncji, oskarżam tych trzech fałszerzy o popełnienie
nie jednego, nie

dwóch ani nawet nie trzech morderstw, ale o dokonanie
największej rzezi

w historii świata!

Po czym, ze zręcznością kontrastującą z wyglądem
duchownego,

prokurator zsunął się błyskawicznie z podium, wyglądało,
jakby jego

stopy ukryte pod sutanną nawet nie dotknęły podłoża.
Można by

mniemać, że za sprawą swoich zwiewnych szat sługa boży
wykonał tuż

nad ziemią lot koszą-

cy w kierunku oskarżonych. Stanął przed nimi z miną
pełną odrazy i

wskazując wyciągniętą ręką na ubiór więźniów, ale tak, aby go nie

dotknąć, mówił dalej:

- Ekscelencje, raczcie spojrzeć na ich zbrukane szaty, na ślady

zniszczeń, jakie po sobie pozostawili. Oskarżam pozwanych o zadanie

haniebnej śmierci Herodotowi z Halikarnasu i jego fundamentalnemu

dziełu, *Historiae*! Oskarżam o dokonanie mordu na Tukidydesie i jego

Wojnie peloponeskiej. Oskarżam pozwanych o zamordowanie

Ksenofonta z Aten i jego *Anabasis*, *Cyropaedii* i *Helleniki*! Oskarżam ich

o ukamienowanie bezwzględną ręką wszystkich, którzy wiedzieli, jak

opowiadać historię ku chwale mężów i triumfie potomnych! Oskarżam o

bezczeszczenie przeszłości, upodlenie terażniejszości i zamordowanie

przyszłości, jeszcze w łonie wszech czasów, zanim się narodziła!

Z wyraźnym

zamiarem sprowokowania oskarżonych do

niestosownych reakcji przed obliczem sędziów prokurator wymachiwał

palcem przed nosem Gutenberga, to znów Fusta, a na końcu Schöffera. W

irytujący sposób potrzasał nim, próbując wywołać gwałtowną ripostę. I

prawie mu się udało: Gutenberg, jakby wiedziony psim instynktem,

uniósł górną wargę, odsłaniając prawy kiel, i niewiele brakowało, a

złapałby zębami grożącą rękę elokwentnego oskarżyciela. Pohamował się

jednak, zamknął oczy i godząc się z własnym losem,

słuchał dalej

szaleńczej oracji:

-Ja, Zygryd z Moguncji, oskarżam pojmanyh o ścięcie
Drzewa

Mądrości, o to, że wdeptali w ziemię konary Dobra i Zła,
a

nieusatisfakcjonowani dokonanym świętokradztwem,
spożyli jego

zakazane owoce. Oskarżam ich o powtórne zadanie
śmierci Ablowi i o to,

że zaślepieni nienawiścią, odebrali życie również
Kainowi. Oskarżam

pojmanyh o zhańbienie wieży Babel i obrazę cudu
Noego! Oskarżam

ich, przeto,

o bluźnierstwo przeciw Księdze Rodzaju. Oskarżam tych
trzech

heretyków o mord na Mojżeszu, którego *Pięcioksiąg*,
własnoręcznie

przez niego spisany, dane nam było poznać. Ja, Zygryd z Moguncji,

spadkobierca mojżeszowego rzemiosła, oskarżam pojmanyh o

zmasakrowanie Jozuego, Ruth i Samuela. Oskarżam ich o mord na

królach Saulu i Dawidzie, i jego synu Salomonie. Oskarżam ich o

pohańbienie świętych *Ksiąg Kronik* oraz wszystkich i każdego z osobna

królów Izraela! Oskarżam ich o zamordowanie Ezdrasza i Nehemiasza,

biegłych kopistów, jako i tu obecny pokorny sługa, dzięki którym

posiedliśmy wiedzę o odbudowie świątyni i wznoszeniu murów

Jerozolimy!

Ostatnie zdanie niemal wykrzyczał. Nagle przerwał, wznosił oczy do

nieba, jakby nasłuchiwał słów kierowanych do niego przez

Wszchemogącego, i wstąpił z powrotem na podium. Stał z rozpostartymi

ramionami, nagle wyciszony, sposobiąc się do dalszej przemowy.

Sędziowie, mniemając, że ton głosu kopisty odzwierciedlać będzie

aktualny stan jego ducha, niemal zerwali się z miejsc, kiedy oskarżyciel

zagrzmiał, jakby jego gardło stało się nagle ujściem dla gniewu Bożego:

- Ja, Zygfryd z Moguncji, pokorny kopista, oskarżam pojmanych o

dokonanie mordu na prorokach Izajaszu i Jeremiaszu, skrybie Baruchu,

Ezechielu i Danielu. Raczcie spojrzeć, Ekszelencje, na ich ręce zbrukane

krwawym, zbrodniczym obłędem. Oskarżam ich o ponowne dręczenie

Hioba, o zbrukanie *Księgi Psalmów*, *Księgi Przysłów* i *Księgi Koheleta*,

Pieśni nad Pieśniami, *Księgi Mądrości* i *Księgi Mądrości Syracha!*

A kiedy wydawało się już niemożliwe, żeby śmiertelnik był w stanie

wydobyć z siebie potężniejszy krzyk, prokurator, prześcigając samego

siebie, osiągnął kolejny szczebel tessytury

głosu. Z oczami wychodzącymi z orbit, czerwony z wściekłości,

zagrzmiął:

-Ja, Zygryd z Moguncji, oskarżam zatrzymanych o uśmiercenie

świętych, którzy spisali cuda Pana naszego Jezusa Chrystusa: Mateusza,

Marka, Łukasza i Jana! Oskarżam ich o zamordowanie Pawła, którego

listy stanowią najświętsze księgi kanoniczne

chrześcijaństwa! Oskarżam

pozwanym o zabicie Piotra i Judasza! Raczcie,
Ekscelencje, spojrzeć na

ich ręce i szaty splamione zbrodnią.

Sędziowie, skonfundowani, patrzyli na ręce Gutenberga,
pozornie

splamione krwią, i dzięki wyjątkowej elokwencji
prokuratora wina

oskarżonych byłaby pewnie dla nich oczywista, gdyby nie
fakt, że

rzekome ofiary nie żyły od wieków. Głos oskarżyciela
wzbijał się pod

kopułę i potężniał, odbijając się echem od ścian:

-Ja, Zygfryd z Moguncji, oskarżam tych oto trzech
zbrodniarzy o

ponowne pojmanie, udręczenie i ukrzyżowanie Pana
naszego Jezusa

Chrystusa, którego cierpienia znamy z Pasji Syna Bożego!
Oto,

Ekscelencje, dłonie czyste jak u Piłata - rzekł, wskazując splecione palce

Fusta - i te drugie - tu wskazał na Gutenberga - brudne jak dłonie

oprawców, którzy włożyli koronę cierniową na głowę Chrystusa. Wasze

Ekscelencje, oskarżam Johanna Fusta, Petrusa Schöffera i stojącego na

ich czele Johanna Gutenberga o popełnienie potwornego morderstwa!

Prokurator nabrał powietrza i umilkł, wstrzymując oddech, a

upewniwszy się, że sędziowie nie zniosą dłużej napięcia, obwieścił

kategorycznie:

- Ekscelencje, oskarżam pojmanych o mord na księdze.

5

Żałobny kondukt, składający się wyłącznie z kobiet, towarzyszył

trumnie do miejsca ostatniego spoczynku. Grabarze nie bez zdziwienia

patrzyli, jak kobiece ramiona, na czele z Ulwą, z trudem dźwigają ciężką

trumnę. W orszaku nie było ani jednego mężczyzny; zresztą niewiasty

zdecydowanie odrzuciły wszelkie propozycje pomocy, sekretne reguły

kongregacji zakazywały bowiem mężczyznom uczestniczenia w

ceremonii. Nie pozwoliły nawet grabarzom pełnić ich obowiązków. Same

chwyciły za łopaty i wprawione w pogrzebowym rzemiośle po dwóch

poprzednich pochówkach, wykopały w ziemi idealnie prostokątny dół.

Oczy ciekawskich zatrzymywały się na dekoltach ukazujących bujne

krągłości trzęsące się w rytm uderzeń łopat. Z bezpiecznej odległości

pożądliwe oczy mężczyzn z lubością chłoneły widok widocznych spod

fałd spódnic nóg, naprężających się przy każdym naciśnięciu łopaty. Co

jakiś czas Ulva rzucała gapiom pełne irytacji spojrzenie. Grabarze, jak

sępy, cofali się kilka kroków, aby zaraz potem odzyskać utracony teren.

Wykopawszy grób, kobiety otarły rękawami pot z czoła, złapały oddech i

bez pomocy obcych same opuściły trumnę na linach w wilgotne trzewia

ziemi. Następnie, ze szlochem łapiąc ustami powietrze, przykryły trumnę

wykopaną wcześniej ziemią. Rzeński wiatr hulał po zakamarkach

cmentarza i mieszał się z mdlącym odorem, wydobywającym się ze

świeżych grobów. Na koniec kobiety osadziły na mogile surową,

kamienną płytę bez krzyża, z wrytym imieniem Zeldy, i pozostawiwszy

zmarłą w towarzystwie dwóch innych, wcześniej pochowanych kobiet, z

oczami opuchniętymi od łez, nieprzespanej nocy i słonecznego światła

ruszyły w powrotną drogę do Klasztoru Kosza Najświętszego.

To samo mdłe poranne słońce, które oślepiało Ulwę, sączyło się przez

witraże katedry, oświetlając członków trybunału. Po jednej stronie

podwyższenia zajmowanego przez sędziów, lecz znacznie poniżej nich,

prawie niewidoczny, stał niewielki pulpit, nad którym garbił się Ulrich

Helmasperger, notariusz odpowiedzialny za wierne spisanie wszystkiego,

co mówiono w trakcie procesu. Bacznie nastawione ucho i szybka dłoń

pozwalaly mu uwiecznić każde słowo wypowiedziane w sali bez

uciekania się do jakichkolwiek innych środków niż pióro, kałamarz czy

papier. Nie miał prawa zabierać głosu, nie mówiąc już o jego oddawaniu.

Pozbawiony przywileju zadawania pytań czy też proszenia o wyjaśnienia,

musiał rejestrować zarówno donośne frazy, jak i słowa wypowiedane

szeptem, które ledwie słyszał. Jego obowiązkiem było przelewać na

papier sprawnie i wiernie, jasno i czytelnie wszystko, co mówiono.

Zadanie, samo w sobie niezmiernie trudne, komplikowały jeszcze

teatralne popisy Zygryda z Moguncji. Notariusz zdawał sobie sprawę, że

dostał zaszczytu przebywania w towarzystwie najlepszego kaligrafa

Moguncji. Prokurator, ze swej strony, nie szczędził mu upokorzeń.

Mówiąc, przechadzał się tam i z powrotem, często zatrzymując się przy

pulpicie, żeby skontrolować pracę Helmaspergera, od którego w tych

krytycznych chwilach oczekiwano nie tylko pewnej ręki i wytężonej

uwagi, ale również i tego, że nie dopuści, żeby krople potu, spływające

mu z czoła wskutek zdenerwowania, jakie wywoływała w nim bliskość

oskarżyciela, spadły na papier. Kopiści i notariusze żywili do siebie

odwieczną nienawiść. Pierwsi darzyli drugich głęboką pogardą, uważając

ich za zwykłych sekretarzy, niewiele mających wspólnego ze sztuką i

niezasługujących na zbyt ni szacunek. Z kolei notariusze, podstawowe

ogniwa w najważniejszych sprawach państwowej wagi, zahartowani w

tyglu naglających

zadań, uznawali kaligrafów za zadufanych w sobie pyszałków,

skłonnych do pretensjonalnej wirtuozerii, nadmiernej i powierzchownej,

których zbyteczne ozdobniki służyły jedynie temu, żeby przyćmić sens

tekstu i odsunąć go na dalszy plan. Dla kopisty nie było gorszej obrazy niż

nazwanie go, choćby przez pomyłkę, notariuszem. Niemniej prokurator

powinien był docenić notariusza, bowiem Ulrich, nie bacząc na to, iż

Zygryd uważa jego rzemiosło za nieważkie, transkrybował wszystkie

jego słowa z dużą pieczołowitością. Biegły w swym fachu notariusz, poza

tym, że oskarżyciel pchał nos w jego notatki, miał też inne powody, żeby

czuć się nieswojo. Hel-masperger, wybitny członek gildii urzędników

publicznych, wierny sługa sprawiedliwości i Kościoła Świętego, był

również wielbicielem Służebnic Kosza Najświętszego i zanim spadło na

nie nieszczęście, odwiedzał zamtuż przynajmniej raz w tygodniu. W

obawie, że ktoś obecny w sali może rozpoznać w nim stałego klienta

domu uciech, lękliwie i uporczywie chował głowę w ramiona, co

sprawiało, że trudno mu było utrzymać pewność ręki.

Tuż po rozpoczęciu mowy oskarżycielskiej, na oczach oniemiałych z

wrażenia sędziów, prokurator zszedł z podwyższenia, zbliżył się do

ogromnego stołu, na którym zebrano dowody, wyjął dwie księgi leżące na

półce pod blatem i umieścił je na pulpicie. Rozkładając szeroko ramiona,

objął nimi ogromne woluminy jak Mojżesz tablice Prawa na Górze Synaj.

W ten sposób Zygfryd z Moguncji sposobił się do wyjawienia

prawdziwej rewelacji, która miała wydobyć z obecnych okrzyk

zdumienia.

Oprawy obu ksiąg wyglądały identycznie. Na pozór były to dwa

wyjątkowe rękopisy Biblii dużych rozmiarów. Okładki z polerowanej,

łóczonej skóry zdobiły te same motywy: cztery koncentryczne

prostokąty z bogatymi ornamentami.

Grzbiety Pisma zostały wzmocnione dziewięcioma skórzanymi

plisami, chroniącymi szwy foliału. Po zademonstrowaniu ich zewnętrznej

szaty Zygfryd otworzył oba woluminy na tej samej stronie. Sędziowie, na

wniosek oskarżyciela, policzyli wiersze - na każdej stronie widniały dwie

kolumny, a każda z nich zawierała czterdzieści dwa wiersze. Następnie

oskarżyciel zaprezentował ostatnie strony obu egzemplarzy, zwracając

uwagę sędziów na fakt, że i jedna, i druga księga liczyła tyle samo stron:

dokładnie tysiąc dwieście osiemdziesiąt dwie.

Krój pisma, piękny i doskonale czytelny, świadczył o

mistrzowskiej

pracy kopistów, która musiała im zająć kilka lat. Tekst spisano na

egipskim papirusie, którego doskonałą jakość można było ocenić

zarówno wzrokiem, jak i dotykiem: żółtawy kolor zapobiegał męczeniu

się wzroku, a drobniotka, prawie niewidoczna siateczka była tak

wytrzymała, że gdyby ktoś chciał ją przerwać, mógłby to zrobić

wyłącznie ostrym lub spiczastym narzędziem. Wielkie litery na początku

książki, rozdziałów i wersów ozdobiono bogato bordiurami i

flora-turami. Inicjały w tekście wykonano techniką rubrykowania. Każda

księga warta była fortunę: co najmniej sto guldenów; dość pieniędzy, by

kupić pełen przepychu dom w najlepszym miejscu w Moguncji.

Więżniowie, dalecy od okazywania dumy wobec zachwyków

oskarżyciela i zdumienia sędziów, sprawiali wrażenie przybitych. Wyraz

troski rysował się w zmarszczonych brwiach Gutenberga, który

wymieniał zaniepokojone spojrzenia z Fustem i Schófferem. Zygfryd z

Moguncji sięgnął po jedną z ksiąg i przekazał ją przewodniczącemu

trybunału do osobistego wglądu. Sędzia zważył ją w dłoniach,

przeciągnął palcami po oprawie, otworzył na chybił trafił i przeczytał

kilka fragmentów. Podziwiał przez chwilę kaligrafię i ilustracje,

poskrobał paznokciem po papirusie, a nawer przybliżył

nos do księgi, żeby chłonać piękną woń, jaką wydzielało
roślinno-zwierzęce połączenie papirusu i skóry. W końcu,
niemal wbrew

swojej woli, jakby nie mógł się oderwać od Biblii,
wręczył ją kolegom,

którzy poddali przedmiot dalszym oględzinom. Z równie
nabożnym

uwielbieniem sędziowie pokiwali majestatycznie
głowami nad

imponującym egzemplarzem, po czym przekazali księgę i
głos

przewodniczącemu zacnego ciała:

-To najpiękniejsza Biblia, jaką kiedykolwiek miałem w
rękach -

stwierdził ten bez wahania.

- W innych okolicznościach doceniłbym te słowa
niewątpliwego

uznania, bowiem jedną z tych Biblii przepisałem sam
własnoręcznie.

Upraszam was wszakże o zbadanie drugiego woluminu -
rzekł

prokurator, podając drugi egzemplarz. -Aczkolwiek
pozwolę sobie

uprzedzić was, że jedna z tych ksiąg nie ma w sobie nic
świętego, bowiem

jest dziełem.. -Zygfyrd z Moguncji zrobił długą,
świadomie odmierzoną

pauzę, po czym podnosząc głos, niemal krzyżąc,
dokończył: -.. .otóż

jedna z tych dwóch Biblii... jest dziełem Szatana!

Przy pisaniu tego ostatniego słowa dłoń notariusza
zadrżała.

6

Podobnie jak jej matka, podobnie jak matka jej matki,
podobnie jak

siedemdziesiąt pokoleń nierządnic przed nią i
siedemdziesiąt pokoleń

ładacznic, które powinny nadejść po niej, Ulva, matka
wszystkich

nierządnic

zgromadzenia

Służebnic

Kosza

Najświętszego,

podtrzymywała płomień najstarszego zawodu świata.
Pomimo smutku po

zmarłych córkach, pomimo łez, pomimo ogromnej żalości
Ulva

próbowała przy-

wrócić salonowi, w którym czuwano przy Zeldzie, wygląd domu

uciech. Wyniosła krzesła, a na miejscu, w którym stała trumna, ustawiła z

powrotem fotel obity czerwonym jedwabiem. Nie po raz pierwszy wszak

śmierć pastwiła się nad nimi.

Przez wieki los zdawał się nie mieć litości dla nierządnic: zakopywano

je po szyję i kamienowano na Bliskim Wschodzie, oczyszczano w

płomieniach stosów Świętej Inkwizycji, prześladowano, więziono i

zabijano, a one umierały, aby narodzić się na nowo, raz po raz, stulecie po

stuleciu. Morderstwa popełnione na trzech kobietach nie zaskoczyły Ulvy

w najmniejszym stopniu. Od zarania ludzkości dopuszczano się na nich

rzezi. Niemniej żadna matka nie jest przygotowana na śmierć córek,

nawet wiedząc, że ciąży na nich moralne potępienie. Ladacznice,

podobnie jak czarownice, były córkami Szatana.

Serce Zygryda z Moguncji cieszył widok przerażenia w oczach

sędziów, którzy podskoczyli na swoich miejscach, słysząc imię Złego.

Przewodniczący wypuścił z rąk trzymany egzemplarz, wstrząśnięty samą

myślą, że mogła na nim spoczywać ręka diabła. Prokurator,

wykorzystując osiągnięty efekt, mówił dalej:

- Ekszelencje, raczcie dokonać wnikliwej analizy obu ksiąg. Ufam, że

wasze światłe umysły pozwolą odróżnić dzieło Boga od dzieła Szatana.

Nie ukrywając przerażenia, sędziowie przystąpili do

szczegółowego

porównania obu Biblii. Przyjrżeli się tekstowi, kaligrafii, litera po literze

porównali wybrane losowo wiersze, przestudowali dokładnie kapitaliki,

kolorowane majuskuły i minuskuły. Oba woluminy łączyło perfekcyjne

wykonanie; na pozór nie zawierały żadnych różnic: zostały spisane na

tym samym papirusie, miały taką samą oprawę i tyle samo plis

zakrywających szwy, a także ten sam ciężar; jednym słowem, nie było

wątpliwości, że obie księgi pochodzą z tego samego skryptorium.

Werdykt był jednogłośny:

- Wyglądają tak samo - orzekł przewodniczący składu sędziowskiego.

Zygfryd z Moguncji wspiął się z powrotem na podium i

nie

rezygnując ze swoich afektowanych póz, machając rękami, deklamował.

- Pozwolę sobie nie zgodzić się z wami, Ekszelencje. Nie wyglądają

tak samo... one są takie same! Powiem więcej: są identyczne. Panowie,

jestem starym człowiekiem. Moje szlachetne zajęcie zabrało mi zdrowie,

ale dało mądrość. Większość życia spędziłem na kopiowaniu Biblii,

zawsze z tą samą żarliwością i oddaniem dla spraw Wszechmogącego.

Ofiara złożona z mojej prawej dłoni jest tego dowodem. -
Tu

zaprezentował palce jak szpony, zdeformowane przez artretyzm. -A

kiedy mówię „ofiara”, nie spodziewajcie się żadnej alegorii; moja ręka

niedomaga i ledwie palcami ruszać mogę kosztem niewyobrażalnego

bólu, który zagnieździł się w szpiku kości moich od ponaglania pióra przy

spisywaniu rękopisów. Nie zgrzeszę pychą, jeśli powiem, że nikt w całym

mieście Moguncji nie zna sztuki kopiowania ksiąg lepiej ode mnie.

Ekscelencje, uznając, że nie można się doszukać żadnych różnic między

oboma woluminami, przyznaliście tym samym, może nawet bezwiednie,

że nie sposób wytłumaczyć tego inaczej jak dziełem Szatana. Panowie,

nigdy, przez całe swoje życie nie widziałem dwóch jednakich rękopisów.

W swej ludzkiej ułomności wiemy, iż doskonałość nie jest cechą

śmiertelników. Mogę domniemywać, że jedna z ksiąg nie jest mojego

autorstwa z tej budzącej niepokój przyczyny, że obie są identyczne.

Nawet najbardziej doświadczony skrytor nie byłby w stanie

nakreślić dwóch jednakich liter, choćby w tym samym słowie.

Wybierzcie na chybił trafił jakikolwiek wers z jednej z ksiąg i

porównajcie na przykład dwie litery „a”. Łatwo się zorientować, że każda

z nich charakteryzuje się jakąś osobliwą cechą.

Rzeczywiście. Nietrudno było spostrzec, że w niektórych

przypadkach część okrągła była zamknięta, w innych zaś pozostawała

niedociągnięta; czasem część górną wieńczył ledwie widoczny punkcik,

w innych niewielki czubek, przypominający haczyk. Każda litera, jak

ludzkie twarze, była swoista, niepowtarzalna, a po

dokładnym ich

obejrzeniu można by rzec, że mają unikatowe cechy charakterystyczne.

Notariusz Ulrich Helmasperger dałby sobie rękę uciąć, żeby zobaczyć

owo kuriozum, gdyby nie to, że jego ręka była zajęta pisaniem. Ponadto

elokwencja prokuratora nie pozwalała mu nawet oderwać wzroku od

papieru, bowiem z ust Zygfrйда z Moguncji płynął nieprzerwany potok

słów.

- A teraz raczcie porównać tenże wers z tą samą linią w drugiej

księdze - zachęcił prokurator.

Oblicza sędziów poblady: oba wersy były identyczne. To znaczy te

same niedoskonałości powtarzały się w każdym słowie, w każdej literze.

Niemożliwością było osiągnięcie równie wysokiego stopnia

identyczności.

- Ekscelencje - perorował oskarżyciel - choćbym nie wiem, jak się

starał, nie jestem w stanie nakreślić dwóch tożsamyh liter. Z tego

samego powodu nie zdołałbym z podobną precyzją powtórzyć błędów, bo

gdybym posiadał taką umiejętność, mógłbym ich unikać. Ale to jeszcze nie

wszystko: pamiętam doskonale, że popełniłem błąd w kolofonie, patrzcie,

tam, gdzie napisano *Spalmorum*, powinno być *Psalmorum*. Oczywiście,

trudno o dwie takie same pomyłki. Jednakowoż tak tam stoi. Ciarki mnie

przechodzą na samą myśl, że obie księgi są jak jakieś monstrualne,

tajemnicze bliźnięta.

Zygryd z Moguncji skłonił głowę i z prawdziwą skruchą wyznał:

- Ekszelencje, w tym miejscu muszę wyjawić coś, co napawa mnie

głębokim wstydem: nawet ja nie jestem w stanie odróżnić, która z tych

dwóch Biblii jest mojego autorstwa, a która jest falsyfikatem. I nie mogę

przypisać tego diabelskiego zjawiska niczemu innemu jak magii i

czarom.

Wskazując na trzech oskarżonych, prokurator wyprostował, na ile

mógł, swój zdeformowany palec i ryknął:

- Przed Bogiem i przed wami oskarżam pojmanyh o czary, ponieważ

nie ma innego sposobu na pomnożenie rzeczy jak czarna magia,

demoniczne narzędzie zła. Poza uświęconym wyjątkiem
Pana Jezusa

Chrystusa, który rozmnożył chleb i ryby dzięki boskiemu
cudowi, nikt nie

jest w stanie dokonać nadprzyrodzonych czynów. Nikt,
prócz tego odra-

żającego oszusta: Lucyfera! Panowie, wzywam was,
zgodnie z prawem

Świętego Oficjum, do skazania pozwanych na śmierć na
stosie pod

zarzutem satanizmu, jeśli nie udowodnią, z jakich sztuk
korzystali,

preparując ten falsyfikat.

7

W imię matki, córki i Ducha Świętego, dzięki któremu pozostawały

jednością, nierządnicę z Klasztoru Służebnic Kosza Najświętszego

próbowały przezwyciężyć nieszczęście i strach, żeby ponownie otworzyć

wrota lupanaru. Trudne zadanie, nic bowiem nie wskazywało na to, że

śmierć Zeldy zaspokoila mordercę. Ulva podejrzewała, że cichy kat nie

zabijał z nienawiści, ale z powodów o wiele trudniejszych do

zrozumienia. Seks i śmierć były wszak filarami wielkich niewiadomych:

początku i końca, pokusy i grzechu, potępienia i wiecznego

zbawienia. Większość ladacznic wiedziała, że w każdym

mężczyźnie i każdej niewieście powieła się tragedia grzechu

pierworodnego. Zazwyczaj klienci złąknieni seksu odwiedzali zamtuzy,

żeby potem opuszczać je z wyrzutami sumienia, jak Adam zwiedziony na

pokuszenie przez ponętą Ewę. Zanim zostały przygarnięte przez

Szatana, nierządnicę były umiłowanymi córami Boga. Od czasów

sumeryjskiej Isztar, akadyjskiej Isztar, jońskiej Artemidy, od epoki

babilońskiej Eisheth Zenunim, frygijskiej Kybele i greckiej Afrodyty

nierządnicę darzono czcią w świątyniach: w złotych wiekach, uświęcone i

podniesione do rangi bóstw, były przedmiotem rytualnego kultu. W

Babilonii znano je jako kadistu, święte istoty; w Grecji poświęcane

dziewice w sanktuariach zwane były hierodulami; w Indiach świętymi

dewadasis, a w Jerozolimie kadesze zostały wprowadzone do świątyni

wraz ze zdobyciem miasta przez Babilończyków. Kiedy lud hebrajski

wyzwolił się spod jarzma, uznano je za symbol odwiecznego wroga:

nierządnica babilońska stała się uosobieniem Babilonu, jawnogrzesznicą

odpowiedzialną za nieuchronność Apokalipsy, oblubienicą Szatana. Tak

oto stały się nagle kobietami upadłymi, strąconymi z niebios do

piekielnych otchłani, demonami budzącymi strach, a zarazem równie

pożądanymi. Spowinowaczone z czarownicami, nierządnicami były

skarbnicą wiedzy zakazanej dla innych kobiet, a zwłaszcza dla mężczyzn:

sekretnej sztuki sprawiania rozkoszy. Jakiejż to ceny nie zapłaciliby

monarchowie, dostojnicy czy potężni kupcy, by poznać choćby tylko

kilka stron zakazanych ksiąg zawierających doświadczenia pokoleń

nierządnic, gromadzonych przez całe ich istnienie, dłuższych niż sama

historia. Służebnice Kosza Najświętszego posiadały jak nikt inny

tajemnice cielesnej rozkoszy; przechowywały je nie tylko w pamięci i

każdej cząsteczce ciała, ale również w największym sekrecie

chroniły je przed zapomnieniem, sporządzając cenne rękopisy. Sam

Ojciec Święty życie by oddał za posiadanie tych ksiąg w swoich

tajemnych zbiorach.

Bardziej przejęty świętymi niż świeckimi księgami
Zygfyrd z

Moguncji odnotował z zadowoleniem zmianę na twarzach
oskarżonych

na samą wzmiankę o karze śmierci. Gutenberg przełknął
ślinę, jego twarz

wyrażała zarówno niedowierzenie, jak i oburzenie. Fust
zbladł i spuścił

głowę. Schöffer czuł, jak miękną mu kolana, i musiał
wesprzeć się o

kłęcznik, żeby nie osunąć się na ziemię. Przygotowywali
się do obrony

wobec zarzutów o fałszerstwo i oszustwo, ale nigdy nie
przypuszczali, że

zostaną oskarżeni o uprawianie czarnej magii, czarów czy
satanizmu.

Byli nawet przygotowani na odkupienie win kosztem
majątku, a w

ostateczności kilkoma miesiącami w więzieniu. Ale nawet
w najgorszym

wypadku nie brali pod uwagę, że może im grozić kara śmierci. Johannes

Gutenberg, obserwując niewzruszone twarze sędziów, rozświetlone

anielskim blaskiem rzucanym przez imponujące wiraże klasztoru,

usiłował odtworzyć *in pectore*, w jaki to sposób musiały się połączyć

ogniwa łańcucha przeznaczenia, żeby sprawy przyjęły taki obrót.

Gutenberg uważał się za powołanego do chwały i zawsze żywił cichą

nadzieję, że przyszłość należy do niego. Powodów, dla których mógł się

zapisać na kartach historii Germanii jako bohater, było jednak równie

dużo, jak tych, dzięki którym mógłby na nich pozostać jako pogardzany

nikczemnik.

Jego fascynacja księgami, technikami drzeworytnictwa, odlewaniem

metali i rytowaniem płyt sięgała wczesnych lat dzieciństwa. Ojciec

Johannesa przez ponad dekadę był zarządcą mennicy. Nazywał się

Friedrich Gensfleisch; jego rodzina i przyjaciele używali

zdrobnienia Friele, ale

wszyscy nazywali go Gensfleisch der Arme⁴ z powodu jego

paradoksalnie surowego trybu życia. Wszystkie monety, jakie były w

obiegu w mieście, przeszły przez jego ręce. Ani najzamożniejsi panowie

feudalni, ani kupcy przywożący jedwab i przyprawy ze Wschodu, ani

nawet książęta czy cesarze nie widzieli pewnie tylu skarbów, ile ich

codziennie wytwarzał Friele Gensfleisch. Monety złote i srebrne, sztaby

szlachetnych kruszców i wszelakie papiery wartościowe, pozwalające na

gromadzenie fortuny lub opłacanie dóbr, były dla niego zwykłym

surowcem, jak mąka dla piekarza.

Chociaż zarządzał zawartością skarbcza, Gensfleisch Nędzarcz był

człowiekiem franciszkańskich zasad i wyglądu oraz nienagannej

uczciwości. Myśl o przywłaszczeniu sobie choćby jednej monety

nienależącej do niego nigdy nie powstała mu w głowie, mimo że jego

wynagrodzenie stanowiło nieznacznym ułamek wartości monet, jakie

wybijał. Gwoli sprawiedliwości należy przyznać, że w całych Niemczech

nie było nikogo, kto by miał taką obsesję na punkcie pieniędzy jak on: nie

dlatego, że pragnął ich dla siebie, ale dlatego, że jego perfekcjonizm był

niemal chorobliwy. Najdrobniejsza wada monety, niezauważalna dla

najbardziej doświadczonego mincerza, czy to w dotyku, czy dla oka, dla

niego stanowiła skazę nie do przyjęcia. Nieznaczna różnica w obrzeżu

centyma sprawiała, że moneta trafiała z powrotem do tygła. Potrafił

odróżnić każdą fałszywą monetę z zamkniętymi oczami. Pogardzał

miernymi fałszerzami nie dlatego, że byli fałszerzami, ale dlatego, że byli

miernotami.

- Gdyby fałszerz zdołał wybić równie dobre monety, jak moje,

słusznie by zasługiwał na to, żeby być bogatym - tłumaczył
małemu

Johannesowi, stawiając go mimowolnie

4 Arme (niem.) - biedak, nędzarz.

przed kuszącym wyzwaniem. - Pieniądz jest fałszywy z
samej swojej

definicji, jest konwencją, umową opartą na obopólnej
wierze. Jedyna

różnica polega na tym, że prawdziwa moneta to
fałszerstwo w dobrej

wierze, a fałszywa to fałszerstwo w wierze złej. Tak czy
inaczej,

wartością samą w sobie jest nie moneta, ale wiara. Czy w
ogóle można

ustalić cenę czegokolwiek? Czy bochenek chleba i mały
metalowy krążek

łączy jakakolwiek relacja? Gdyby jakimś cudem na całym
świecie

zabrakło pszenicy, nikomu nie przyszłoby do głowy, aby

pożerać złote

monety. Spragniony książę nie wahałby się przed oddaniem wszystkich

skarbów za dzban wody z oazy, ale nikt nie chciałby jego fortuny, gdyby

dzban był jedynym dostępnym źródłem wody. Nie da się sfalszować

wody, powietrza, ziemi, dachu nad głową, chleba czy ryb. Można

sfalszować jedynie to, co samo w sobie jest już fałszerstwem, czyli to, co

nie jest przydatne ani nie jest dobrem z istoty swojej.

A teraz, stojąc przed sądem pod zarzutem fałszerstwa i słuchając

mowy oskarżyciela, Gutenberg przypomniał sobie zdanie, które jego

ojciec powtarzał raz po raz: „Dobry mincerz musi się nauczyć, jak

pozostać nieczułym na uroki pieniądza”.

8

- Dobra nierządnicą musi się nauczyć, jak pozostać nieczułą na uroki

rozkoszy - powtarzała często Ulva swoim niedoświadczonym córkom.

Wierny dawnej tradycji lupanar Kosza Najświętszego nie miał klientów,

tylko wyznawców. Jego mieszkanki nie były zwykłymi ladacznicami,

tylko heterami godnymi starożytnej, greckiej arystokracji. Izby, bardziej

niż nędzne komórki w sąsiednich domach rozpusty, przypomina-

ły poświęcone uciechom, urządzone z przepychem komnaty pałacowe

w legendarnych Pompejach.

Każdy, kto raz spróbował nadzwyczajnych umiejętności służebnic

Zgromadzenia Kosza Najświętszego, nigdy więcej nie
zaznał podobnych

uniesień w ramionach innych kobiet. Nikt tak jak one nie
znał tajemnic

męskiego ciała ani nie wiedział, jakimi pieszczotami je
obdarzyć, żeby

przeistoczyć każdy jego milimetr w nowo odkryte
terytorium rozkoszy.

Jak nikt inny rozumiały potrzeby męskiej duszy,
koncentrującej się

nieodmiennie na poczuciu własnej wartości; potrafiły
wymówić właściwe

słowa we właściwym czasie, żeby wzniecić iskierkę
próżności: nic tak

mocno nie rozpałało lubieżnej, nieokrzeseanej natury
mężczyzn jak

afirmacja ich męskości, przesadne odgłosy uniesienia,
jęki, krzyki i

sapanie wydawane w jakoby niepohamowanej ekstazie.

Mężczyźni, którzy choć raz przewinęli się przez alkowy
najdroższego

zamtuzu w Moguncji, nie mogli się oprzeć pokusie, by
ciągle do niego

wracać. Byli i tacy, którzy doprowadzili się do ruiny,
przepuściwszy tam

prawdziwe fortuny. Jego wyznawcy wychwalali pod
niebiosa

umiejętności ładacznic nad ładacznicami. Nie chodziło
tylko o zwykłe

cielesne przeżycie, ale o doświadczenie tego, co zrodzone
z najniższych

instynktów wynoszono tu na najbardziej wyrafinowane,
boskie wyżyny. I

choć może to brzmieć paradoksalnie, mężczyźni, którzy
odwiedzali

lupanar, nie opuszczali go z poczuciem popełnionego
grzechu; wręcz

przeciwnie - odchodzili przekonani, że spełnili szczytną
religijną misję.

Tak zresztą było. Za każdym razem, kiedy klient oddawał się pod opiekę

służebnicy, bezwiednie stawał się istotną częścią świętego, prastarego

rytuału. Nawet o tym nie wiedząc, wielu czcicieli tego osobliwego

zgromadzenia stawało się idealną ofiarą kultową w tajemnych

ceremoniach poświęconych Isztar. Za rozkosz,

jakiej doznawali, płacili nie tylko brzęczącą monetą. Oddani jej

ciałem i duszą, składani byli na ołtarzu najbardziej zmysłowej ze

wszystkich bogiń. Poddawali się temu, rozkoszując się niezwykle

powabami Ulvy i jej córek w tysiącletnim przybytku babilońskiej bogini.

Każda usługa, jaką kobiety świadczyły klientom, była dla nich

skomplikowanym, milczącym rytuałem, składającym się z darów i ofiar

w doniosłym akcie jednoczenia się z bóstwem. Żaden z gorliwych

wyznawców, którzy nawiedzali codziennie klasztor, nie był świadom, że

doświadczą tych samych rozkoszy, jakie zapewniały kapłanki w

starożytnych świątyniach babilońskich, gdzie praktykowano prostytutkę

rytualną. Podobnie jak w pradawnych sanktuariach, ceremonię otwierał

rytuał inicjacji, przygotowujący do głównej uroczystości. Kilku lub

kilkunastu mężczyzn zbierało się w głównej sali, w której królował

wspaniały marmurowy posąg boga Priapa, naturalnej wielkości,

zakładając, że termin ten może być zastosowany do anatomicznych

wymiarów tego bóstwa męskości. Pokłoniwszy się bogu obdarzonemu

kolosalnym wyprężonym fallusem, powierzali się Jego Wysokości,

prosząc, żeby obdarzył ich swą męską siłą. Ceremonię celebrowała Ulva,

która na wzór kapłanki wznosiła modlitwy, powtarzane następnie przez

wiernych. Jeden za drugim, mężczyźni podchodzili, żeby złożyć

pocałunek na kamiennej żołądki bóstwa męskości, po czym

przystępowali do pokuty. Korzyli się u stóp jednej z córek Ulvy, która

siedząc na tronie, kazała wiernym lizać podeszwy swoich rzemiennych

sandałów i chłostała ich zgięte plecy, zmuszając, by błagali o wybaczenie

za uchybienia, których się dopuścili wobec kobiet. Następnie grupa

udawała się do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie składała dary. Rzucali

na brązową tacę złote monety, które spadając, wydawały dźwięk

przypominający bicie dzwonu. Natężenie

hałasu i liczba uderzeń świadczyły o wysokości ofiary złożonej przez

każdego z mężczyzn. Największą dawkę rozkoszy otrzymywali ci, którzy

wydobywali z metalu najdonośniejszy odgłos.

Kiedy akt pokuty i zbiórki datków dobiegały końca, grupa mężczyzn,

z zaczerwienionymi od uderzeń palcata plecami, kierowała się do

oratorium Isztar. W rzeczywistości nie wiedzieli, kim była ta kobieta

postać górująca nad przybytkiem. Na glinianej płaskorzeźbie bogini z

rozwiniętymi ogromnymi skrzydłami, z wyzierającą spod

fałd

przylegającej do ciała sukni nogą, bosą stopą przyciskała do ziemi głowę

pokonanego lwa. Ulva, z ogromnymi odkrytymi piersiami, inicjowała

modły:

Iltam zumra rasubti ilatim

Litta id Belet issi Conejo Igigi

Ishtar zumra rasubti ilatim

Litta id Belet ili nisi Conejo Igigi".

Kłęcząc wokół ołtarza, wyznawcy powtarzali półgłosem słowa

modlitwy Nie rozumieli martwego języka, ale sądząc po wyrazie ich

twarzy, łatwo było zauważyć, że wpadali w trans i we wspólnej komunii

ze służebnicami i bóstwem łączyli się ze sobą ciałem i duszą. W

przeciwieństwie do mszy odprawianych w kościołach, w klasztorze

Kosza Najświętszego członki wznosiły się, w dosłownym tego słowa

znaczeniu, na pułap odpowiadający stanowi ducha. Wielu mężczyzn

rozbierało się

s Śpiewajcie najgroźniejszej bogini z panteonu Igigi,

Pochwalona niech będzie władczyni mężczyzn, największa bogini

Igigi!

Śpiewajcie Isztar, najgroźniejszej ze wszystkich bóstw.

Pochwalona niech będzie władczyni wszystkich istot, najznamienitsza ze wszystkich bóstw Igigi!

Hymn króla Ammiditana na cześć Isztar.

wskutek gigantycznej erekcji, bowiem szaty nie były w stanie

wytrzymać ich naporu. Po modlitwie w języku sumeryjskim Ulva

przechodziła do modłów w języku niemieckim:

- To ciało jest chlebem z nieba zesłanym, kto spożywać je będzie,

rozkoszować się nim będzie po wiek wieków. Kto spożywa ciało moje i

gasi mną pragnienie, zazna rozkoszy wiekuistej i posiadzie mnie, a ja

jego.

W tym momencie dwie kapłanki z dużymi glinianymi fallusami

obciążniętymi skórą, umocowanymi na wysokości krocza za pomocą

pasów, podchodziły do grupy klęczących mężczyzn, ustawionych

dziobem do bogini Isztar, a rufą do Priapa, sposobiąc się w tej pozycji do

przyjęcia fali służebnic, które z ogromnym zapalem

przystępowały do

penetracji. Podobnie jak starożytne bóstwa, które łączyły obie płci w

jednym ciele, sodomizowały wyznawców, którzy z wywróconymi

oczami jęczeli z rozkoszy, bólu i mistycznego uniesienia. Żaden

mężczyzna nie był zmuszany czy poddawany tajemnym praktykom

wbrew swej woli; wszyscy, bez wyjątku, oddawali się pięknym,

fallicznym kobietom *in motu proprio*.

- Posiądziesz mnie, a ja ciebie. A spożywając ciało moje i gasząc mną

swe pragnienie, posiadzicie jedni drugich jak bracia, bowiem tym

sakramentem dostąpicie z Nią zjednoczenia, a razem z jej ciałem i krwią

stanowić będziecie jedno ciało - głosiła Ulva z

zamkniętymi oczami i

rozłożonymi nogami wspartymi na poręczach fotela.

Mężczyźni, sodomizowani przez kobiety z przypasanymi do talii

pręciami, penetrowali się nawzajem, łączyli ze sobą w długie rzędy, kręgi

i węże, wstrząsane konwulsjami jak jedno ciało. Choć ktoś z zewnątrz

mógł odnieść wrażenie, że panuje tam heretycki chaos nad chaosami,

wszystko odwzorowywało misterny rytuał, nie pominięto niczego z

liturgicznego protokołu Babilonii. Wyznawcy, połączeni cia-

łem i duchem, zjednoczeni sercem z boginią pożądliwości,

przygotowywali się zbiorowo do złożenia ostatniej ofiary ze swoich

płynów usrojoyowych. Jeden po drugim, wszyscy wytryskiwali białe

nasienie do złotego pucharu, stojącego u stóp bogini. Następnie Ulva

przelewała zawartość do kielicha, inicjując wielki bankiet Pani Naszej:

wierni pili białą krew jak wino, żywiąc się jednocześnie tą lepką,

odżywczą hostią jak ciałem. Po pierwszym uniesieniu siły nie tylko nie

odmawiały mężczyznom posłuszeństwa, ale wręcz przeciwnie,

potężniały, o czym świadczyły ich coraz bardziej nabrzmiąte, nadal

wyprężone prącia. Ulva kończyła tę przedziwną eucharystię,

wypowiadając krótkie zdanie: - *Ite Missa est.*

Po obrzędku grupowym przychodziła kolej na rytuał intymny. Każda

kapłanka wybierała jednego wyznawcę i prowadziła go do alkowy. To, co

się działo w komnatach, przypominających prywatne pomieszczenia

świątyni starożytnej Babilonii, pozostawało tajemnicą, której ani

kapłanki, ani wierni nie mogli ujawniać. Stanowiło część obrzędów

wywodzących się z pradawnych arkanów spisanych w świętych księgach

rozkoszy pismem, które potrafiły odczytać jedynie wtajemniczone

służebnice. Tylko mężczyznom, którzy odwiedzili miejsca kultu Isztar w

Azji Mniejszej, i bywalcom Klasztoru Kosza Najświętszego dane było za

życia poznać rozkosze wznoszenia się ciała i ducha na wyżyny panteonu i

dostąpić przywileju oglądania boskiego oblicza. Kuszeni nieznanymi

przyjemnościami wyznawcy wierzyli, że to oni są wybrańcami,

przyjmującymi łaskawie rozkoszne wyrazy uwagi ze strony urzędników.

Tymczasem, podobnie jak w starożytnych babilońskich świątyniach,

stanowili jedynie nic nie znaczące atrybuty kultu. Kapłanki składały im w

ofierze na chwałę bogini. Nie chodziło o zaspokajanie klientów, tylko

o złożenie hołdu Ishtar z wykorzystaniem mężczyzn, nieświadomych

ofiar obrzędów.

Po ich zakończeniu wyznawcy opuszczali zgromadzenie ze

zwieszonymi głowami, szybkim krokiem, nawet się sobie nie kłaniając.

Po podzieleniu się chlebem i winem, po połączeniu w jedno ciało i

wymianie płynów ustrojowych wyznawcy Świętego Kosza nadal pędzili

życie tak, jakby się nic nie stało. Kupcy, urzędnicy,

wojskowi, sumienni

kaligrafowie, kopiści, dumni członkowie rozmaitych gildii
i nieskazitelni

duchowni mijali się na ulicach, przy straganach i w
kościelach, jakby się nie

znali, jakby się nigdy wcześniej nie widzieli; szanowani
obywatele,

oddani mężowie i przykładni ojcowie pieczętowali swoją
tajemnicę

grobowym milczeniem. Najsilniejszą więzią, jaka ich
łączyła, było

nieodparte pragnienie, żeby jak najszybciej wrócić do
lupanaru.

Potajemni goście mieli tyle samo argumentów za tym, żeby
wielbić

luksusowe nałożnice prywatnie, jak i za tym, żeby je
potępiać publicznie.

W istocie możni panowie, spragnieni ekscentrycznych
zachcianek,

pierwsi rozdzielali szaty, grząc z ambon i piętnując w pałacowych

salonach upadek i zepsucie.

Związki między zamkami a przedstawicielami władzy były bliższe i

starsze, niż sami klienci mogli sobie wyobrazić. Nikt lepiej od kobiet

pracujących w domu rozpusty nie znał charakteru prastarego związku

łąącego je z Kościołem i wielmożami. Ściślej mówiąc, Klasztor

Świętego Kosza bardziej przypominał prawdziwy monasryr niż lupanar,

choć był czymś więcej niż obie te instytucje razem wzięte. W

trzy piętrowym budynku funkcjonował też swoisty uniwersytet, gdzie

adeptki nie tylko zgłębiały zawile arkana sztuki rozkoszy zmysłowej, ale

również zdobywały wyśmienite wykształcenie, godne najbardziej

prestżowych europejskich katedr.

Tam rodziły się i dorastały otoczone miłością matki i sióstr, z którymi

łączyły je więzy krwi i profesji. Tam się uczyły i pracowały. Tam rodziły

swoje córki i starzały się, otoczone pieczołowitą opieką młodszych

kobiet; tam też umierały, odprowadzane za stygnącą rękę do przedsionka

zaświatów przez siostry, które towarzyszyły im do ostatniego tchnienia.

Wspólnota kobiet obchodziła się w zupełności bez mężczyzn, chyba że w

charakterze klientów.

9

Mężczyźni. Tylko mężczyźni mogli wymierzać sprawiedliwość.

Stojąc przed trybunałem złożonym z siedmiu mężczyzn, którzy mieli

zdecydować o jego losie, Gutenberg przywoływał w pamięci dzień, kiedy

ojciec zabrał go po raz pierwszy do mennicy. Nigdy nie zapomni

dziecięcych emocji, jakie go ogarnęły owego odległego poranka, który na

zawsze pozostanie mu w pamięci jako przełomowy moment jego życia.

Żadne inne wspomnienie nie budziło w nim równie niepokonanych

emocji, jak wspomnienie owej imponującej pogańskiej świątyni

pieniądza: zapach topionego metalu i migotliwie połyskujące, świeżo

wybite złote i srebrne monety. Mennica stanowiła swoisty świat, w

którym, z dokładnością porównywalną jedynie do mechaniki

wszechświata, pracowali szmelcerze, pisarze, grawerzy, rysownicy,

notariusze, wardajni i inni rzemieślnicy tak szczególnych profesji, że aż

trudno było uwierzyć w ich istnienie. Jedni zajmowali się na przykład

liczeniem guldenów, inni zbierali je w kupki, a jeszcze inni liczyli po raz

drugi.

Kiedy mały Gutenberg po raz pierwszy przekroczył próg mennicy,

przeszył go dreszcz, jaki musieli czuć uprzywilejo-

wani Rzymianie ze starożytnego Imperium, którzy dostąpili łaski

poznania wnętrza świątyni Junony Monety, zatkniętej na

wierzchołek

Kapitolu, siódmego wzgórza Rzymu, sanktuarium, w którym bito

pieniądze.

- Wszystkie rzeczy mają swoją nazwę i cenę. To, co jest bezcenne, nie

ma nazwy, a to, czego nie możemy nazwać, nie istnieje -
mawiał ojciec

Gutenberg.

- Bóg ma nazwę, a nie ma ceny - zaprotestowała raz żona
Gensfleischa

przy kolacji w rodzinnym gronie.

- Trzydzieści srebrników - odpowiedział mąż z
naturalnością

przekupnia, przypominając jej garść monet, za które
Judasz wydał Jezusa.

Pomimo świeckiego statusu mennisę darzono pełnym czci
szacunkiem, równym temu, jaki musiała budzić świątynia

Junony czy

Tezejon w Atenach, pod którego patronatem bito monety dla całej Grecji.

Wysokie sklepienia, kopuły, strzeliste kolumny, majestatyczne witraże,

uderzanie stempli w krążki, przypominające bicie dzwonów, wszystko to

nadawało temu miejscu wyjątkowo podniosły charakter. Nawiasem

mówiąc, wiele osób mijając mennicę, trochę dla żartu, trochę na serio,

czyniło znak krzyża. Poszczególne kościoły rywalizowały ze sobą pod

względem ilości posiadanych skarbów, monumentalnych ołtarzy

zdobionych złotem, mennica jednak przewyższała bogactwem wszystkie

niemieckie katedry. Gutenberg pamiętał dobrze tę pierwszą wizytę, kiedy

jako mały chłopiec ledwo nadążał za ojcem: jego krótkie nóżki i szeroko

otwarte oczy porządnie się napracowały przy zwiedzaniu ogromnych,

surowych sal o imponujących rozmiarach.

Na prawie całym obszarze Europy monety bito zgodnie z odwieczną

tradycją. Od czasu pojawienia się w IV wieku pierwszych monet w Azji

Mniejszej stosowana technika niewiele się zmieniła: najpierw szmelcerz

topił złoto i srebro.

Otrzymane cany rozklepywano na blachy i wycinano kawałki

wielkości monety, w zależności od jej wartości. Gładkie krążki

przechodziły z topni do pręgierni. Tam umieszczano dziewiczą monetę

pomiędzy dwoma stemplami; górny wybijał awers, a

dolny rewers.

Następnie uderzano jeden jedyny raz młotem i moneta była gotowa.

Proces był prymitywny, a jakość monet zależała od siły, z jaką uderzano

w stempel. Często już na pierwszy rzut oka widać było różnicę między

jedną monetą a drugą. Autentyczność potwierdzano, oznaczając monety

ukrytymi, niewidocznymi punktami lub znakami, choć fałszerze nie

musieli się długo biedzić, żeby je odkryć. Tak bito monety w większej

części Europy, choć Niemcy, bez wątplenia, należeli do ludów

najbardziej zaawansowanych w rzemiośle bicia pieniędzy. Ojciec

Gutenberga wymyślał coraz to nowe techniki, strzegąc ich jak oka w

głowie.

Monety, które wychodziły z mennicy zarządzanej przez Gensfleischa

Nędzarza, wzbudzały podziw wśród znawców: nie wykazywały żadnych

dostrzegalnych różnic, i odnosiło się to nie tylko do monet z tej samej

partii, ale nawet do tych, które bito na przestrzeni wielu lat. W

rzeczywistości niewielu wiedziało, że krążki w Moguncji wybijane były

nie przy użyciu młota, tylko za pomocą jednego z pierwszych narzędzi

mechanicznych, zastosowanych w procesie bicia monet. Blachy po

rozklepaniu rozkładano na prasie, którą zaprojektował sam Gensfleisch,

wzorując się na prasach używanych do tłoczenia oliwy z oliwek.

Jednolity nacisk kamiennego walca na gorący metal sprawiał, że złote i

srebrne arkusze były niemal identyczne, bez mankamentów tekstury czy

grubości. Wybijanie krążków również nie zależało już od zmiennej siły

uderzenia pracownika, tylko od prasy śrubowej, podobnej do tej, jaką

stosowali winiarze do wyciskania soku z winogron. Urządzenie to było

maszyną o drewnianej konstrukcji, wypo-

sażoną w metalowy suwak, opuszczany z dużą siłą przy użyciu

dźwigni obsługiwanej przez dwóch robotników. Ruchomą część prasy

zaopatrzone w płytkę ze stemplami awersu, a część stałą w stemple z

rewersami. Na każdej prasie wybijano dziesięć monet. Ponieważ nacisk

na dźwignię był zawsze taki sam - cztery obroty korby -
głębokość

rytowanego reliefu również była identyczna. Dodatkowo,
dla

zabezpieczenia monet przed szlifowaniem przez
złodziejasków,

próbujących ten sposób uzyskać opiłki złota i srebra,
Gensfleisch wdrożył

technikę rowkowania krawędzi. Dzięki temu łatwiej było
wykryć ślady

ewentualnego skrobania monet. Fałszerstwo było więc w
zasadzie

niemożliwe, a gdyby nawet znalazł się ktoś

o odpowiednim talencie i odwadze, uciążliwość
przedsięwzięcia

zniechęciłaby go do podejmowania podobnego wysiłku.

Johannes, idąc w ślady ojca, uczył się dochowywać
tajemnicy od

pierwszych lat życia. Nie posiadał się z dumy, że ojciec

obdarza go

zaufaniem. Zresztą nawet w dorosłym życiu nie zdradził nikomu, jakich

cudów był świadkiem w dzieciństwie. Nie tylko milczał na temat technik

i maszyn, ale również ilości szlachetnych kruszców, jakie kryła mennica.

W dniu, w którym po raz pierwszy przekroczył próg szmelcerni, zaparło

mu dech w piersiach: nie wyobrażał sobie, że na świecie może istnieć tyle

złota. Gigantyczna sala z półkolistym sklepieniem, wyższym niż kopuła

kościółka, zdominowana była przez ogromny komin sterczący z tygła. Po

prawej stronie piętrzyła się góra sztabek złota ułożonych jedna na drugiej

jak cegły i tworzących piramidę, na której szczycie pracownik zapełniał

złotymi canami wolne miejsca, które opróżniał inny szmel-cerz

wrzucający sztabki do tygła za pomocą wyciągu. Mimo że było to

miejsce, do którego nie docierało dzienne światło, blask złota był tak

silny, że Johannes musiał zmrużyć oczy. Ojciec zachęcił go do

podniesienia sztabki. Z naiwnością dziecka

schylił się, chwycił ją w obie ręce i próbował unieść. Jakby

przyspawano ją do podłogi. Dopiero wtedy uzmysłowił sobie, ile waży

złoto, i zrozumiał, dlaczego podłoga w sali tak bardzo zapadła się pod

świetlistą piramidą.

Ale tym, co wywarło na Johannesie największe wrażenie, nie były

góry złota i srebra czy kufry pełne monet, tylko sala

kopistów. Na piętrze,

na które wiodły marmurowe schody, znajdowało się jasne pomieszczenie

z rzędem okien zwieńczonych podkowiastym mauretańskim łukiem,

przez które wpadały promienie słońca. Pod każdym oknem ciągnęły się

nachylone pod kątem, ustawione równolegle długie pulpity. Przy każdym

z nich na ławeczkach siedzieli jeden przy drugim kopiści. Ze zgarbionymi

plecami, zaczerwienionymi powiekami i piórem w prawej ręce nie

odrywali wzroku od manuskryptów. Wszyscy nosili fartuchy osłaniające

tę i kolana oraz nakrycia głowy zapobiegające opadaniu włosów na

pochłonięte pracą oczy; wszyscy też, bez wyjątku, mieli długie, gęste

brody, jakby stanowiły one obowiązującą część ubioru. Za pierwszym

razem, kiedy mały Johannes wszedł do sali kopistów, odniósł wrażenie,

że jest w gabinecie luster, których odbicia mnożą się w nieskończoność:

miał kłopoty z odróżnieniem jednego kopisty od drugiego. W tym

miejscu nie tylko przygotowywano tytuły własności, dokumenty płatni-

cze, gwarancje i niezliczone ilości urzędowych pieczęci, ale również

cenne księgi, które wędrowały do najznamienitszych bibliotek w całej

Germanii, a nawet poza jej granice. Stosunkowo niedawno dekretem

królewskim zezwolono na wykonywanie kopii świętych i świeckich ksiąg

osobom świeckim. Wcześniej tylko duchowni korzystali z przywileju

kopiowania rękopisów. Kościół nie patrzył przychylnym okiem na fakt,

że rzemiosło przechodzi w obce ręce. Duchowni argumentowali, że

święte księgi powinny być wykonywane w sferze

sacrum, a księgi świeckie muszą zostać pobłogosławione przez

kapłanów, tak jak śmiertelnicy są chrzczeni, żeby otrzymać odpuszczenie

grzechu pierworodnego i wszystkich innych, które się w nich

zagnieździły. Z drugiej strony obawiali się, że kopiści nienależący do

Kościola mogą ukradkiem zastąpić jakieś słowo i zmienić sens Pisma

Świętego, co było przywilejem, jaki od wieków rezerwowali dla siebie.

Ile oryginalnych rękopisów zawiera Biblia? W rzeczywistości nikt nie

wiedział, gdzie się znajdują prawdziwe Ewangelie, które wyszły spod

pióra uczestników i bezpośrednich świadków cudownego życia Jezusa.

Nie znano ani jednego egzemplarza w języku aramejskim czy

hebrajskim, w których spisano oryginalne teksty składające się na Pismo

Święte. Liczne i długotrwałe spory, nawet w łonie Kościoła, sprawiły, że

ustalenie kanonu stało się kwestią bardziej polityczną niż teologiczną,

przy założeniu, że teologia nie jest gałęzią polityki. Na synodzie w

Rzymie w roku trzysta osiemdziesiątym drugim, za panowania

Damazego I, po żarliwych dyskusjach ustalono oficjalny kanon Kościoła,

wersję, którą święty Hieronim przetłumaczył na łacinę jako jedną księgę

składającą się z dwóch obszernych części: Starego Testamentu, czyli

ksiąg deuterokanonicznych, i Nowego Testamentu. Tak więc Biblia, z

braku oryginalnych pism, jest zbiorem tekstów wchodzących w skład

hebrajskiego Tanachu, a także listów i Ewangelii spisanych z kopii

innych kopii oraz kolejnych przekładów tekstów z hebrajskiego,

ara-mejskiego i greckiego na łacinę.

Dziesięciu kopistów, którzy zajmowali pierwsze trzy pulpity w sali,

trudniło się wyłącznie kopiowaniem Biblii. Dzień po dniu, bez przerwy,

kreślili, jedną po drugiej, litery tworzące Świętą Księgę. Każdy

egzemplarz wymagał niemal rocznej pracy przy szesnastu godzinach

pracy dziennie, a kiedy księga była ukończona, zaczęli następną.

Podczas tej pierwszej wizyty w mennicy mały Gutenberg chodził

wśród kopistów na palcach, żeby nie rozpraszać ich uwagi stukaniem

butów po podłodze. Pod czujnym okiem ojca zaglądał przez ramię

kaligrafom, zachowując stosowną odległość, żeby nie dotknąć piór ani

tym bardziej kałamarzy. Obawa, że atrament rozleje się na rękopis, była

swoistym mieczem Damoklesa, wiszącym nad każdym kopistą; taka

możliwość oznaczałaby tragedię na skalę dosłownie biblijną.

Zafascynowany Johannes obserwował, jak dłonie suną po papierze,

pozostawiając po sobie idealnie równe litery. Umiejętności ludzi, którzy

całe swoje życie poświęcili na szerzenie wiedzy zgromadzonej przez

ludzkość, rozbudzały wyobraźnię dziecka. Każdy kaligraf, pochylony

nad książką ze skupionym wyrazem twarzy, brodą jak u Zeusa i piórem

stanowiącym nieodłączną część jego postaci, był żywym obrazem

mądrości.

- Ci mężczyźni muszą być prawdziwymi mędrkami - powiedział

Johannes do ojca.

- Może by byli - odpowiedział Gensfleisch z uśmiechem, kończąc

zdanie - gdyby umieli czytać.

Po czym kazał synowi usiąść koło siebie i zdradził mu kilka tajemnic

swojego fachu:

- Najlepsi kopiści to ci, którzy nie potrafią czytać.
Znaczenie tekstu

nie tylko oddziałuje na kaligrafię, może nawet
wprowadzić w błąd,

ponieważ często rozumiemy to, co chcemy wyczytać, albo,
co gorsza, to,

co nasz rozum jest w stanie pojąć. Poza tym czytający
kaligrafowie mogą

odczuwać pokusę zawarcia w cudzym dziele własnej
opinii, zwłaszcza

kiedy się z nim nie zgadzają, co się czasami zdarza.

Ze wzrokiem wbitym w sędziów, skupiony na
wspomnieniach,

Gutenberg słuchał przemowy oskarżyciela jak monotonnej
litanii,

obserwując notariusza Ulricha Helmaspergera,
przenoszącego na papier

wszystkie ostre jak sztylety słowa

padające z ust Zygryda z Moguncji. Skupienie notariusza,

którego

dłoń sunęła po powierzchni karty jak ryba po wodzie, ożywiało

wspomnienia Johanna. Znalazłszy w nich ucieczkę, przywoływał w

pamięci ów odległy dzień, kiedy wychodząc z mennicy, odkrył, że

wszystko, co uważał za pewnik, stopiło się właśnie w tyglu pełnym

kruszców. Zastanawiał się, jak to możliwe, żeby całym dobytkiem tych,

którzy życie poświęcili pisaniu, była niewiedza, a ci, którym życie

upłynęło na produkcji monet, nie mieli nic poza ubóstwem. Niemniej

jedno zdanie wypowiedziane przez ojca wryło się w pamięć małego

Gutenberga: „Dobry kopista nie powinien znać alfabetu”.

10

- Dobra ładaczniczka powinna umieć czytać i pisać, mówić w kilku

językach i przekazywać całą swoją wiedzę córkom - tłumaczyła Ulva

młodym adeptkom.

W Zgromadzeniu Kosza Najświętszego współegzystowały trzy

pokolenia: Ulva, najstarsza ze wszystkich nierządnic, trzymała na rękach

córeczkę Zeldy, domagającą się głośno troskliwej opieki, którą do

niedawna otaczała ją kochająca matka. Płacz dziewczynki wyciągającej

małe rączki w kierunku pokoju zajmowanego przez Zeldę dodawał scenie

dramatyzmu i udzielał się pozostałym kobietom, które nie mogły

powstrzymać szloch. Ulva, nie zważając na swój wiek, odsłoniła jedną z

olbrzymich, nadal jędrnych piersi i przystawiła do niej dziecko. Małe

usteczka przyssały się natychmiast, bardziej z żalu niż głodu,

doświadczając cudu: obfite piersi, nawykłe do dawania rozkoszy,

wypełniły się ponownie matczynym pokarmem. Mleko tryskało

strumieniami, napełnia-

jąc łapczywe usta dziewczynki i wlewało się w umysły wszystkich,

przywracając im spokój i ciszę.

Chociaż Ulva nigdy nie rodziła, miała dziesiątki córek. Zresztą

wszystkie zebrane tu kobiety uważały ją za matkę. I nie były to

sentymety czy figura retoryczna: Ulva traktowała każdą z

nich jak

prawdziwa rodzicielka; przewijała je, tuliła i śpiewała kołysanki do snu, a

w wielu przypadkach karmiła własną piersią. I to nie tylko wtedy, kiedy

były małe. Wszystkie pamiętały dzień, w którym miasto dotknęła

niespodziewana tragedia. Od zarania dziejów Moguncja była obiektem

pożądania ze strony najeźdźców. Pod koniec IV wieku została

spustoszona przez Alamanów, Swebów i Alanów. W V wieku najechali ją

Silingowie. Odbudowana wiele lat później, została ponownie zajęta przez

Hunów. Kiedy wydawało się, że najazdy ma już za sobą, w połowie XV

wieku na Moguncję spadła najgorsza plaga: czarna śmierć. Zaraz

rozprzestrzeniła się szybko po mieście; znajdujący się praktycznie w

pułapce między rzeką a murami miasta mieszkańcy nie mieli żadnych

szans. Trawione gorączką, ze skórą przeżartą nabrzmiałymi guzami,

majaczące, obłąkane i rozpalone ofiary choroby z ropiejącymi,

nietolerującymi kontaktu z odzieniem genitaliami na wierzchu, snuły się

po ulicach jak wysłańcy piekieł. Czasem zarówno mężczyźni, jak i

kobiety rzucali się z mostu na Renie, pchani żarem buchającym z ich

wnętrzości. Od niewysłowionego bólu woleli zimne, wzburzone wody

rzeki. Duchowni upatrywali przyczyn tragedii w Bożym gniewie, lekarze

w niezwykle gorącym lecie i ciężkich oparach stojących wód, a

czarownice i astrologowie spoglądali w niebo, wskazując na koniunkcję

Marsa, Jupitera i Saturna. Nie mogąc ustalić jednego stanowiska,

mieszkańcy kierowali wzrok ku synagodze, myśląc zgodnie:

wszystkiemu winni są, jakżeby inaczej, Żydzi. Nikt nie potrafił dokładnie

wyjaśnić,

na czym polegało ich przewinienie, ale nie było wątpliwości, że

musieli wywołać gniew Boży przejawiający się w koniunkcji planet,

która latem doprowadziła do upałów, przez co wody zgniły i wypełniły

się zarazkami. Podobnie jak podczas zarazy w tysiąc dwieście

osiemdziesiątym trzecim roku, Żydzi zostali oskarżeni i skazani na

śmierć. W owych dniach władze skazały na stos i spaliły żywcem ponad

sześć tysięcy Żydów. Pomoc władz nie była nawet konieczna: wściekła

tluszcza wyciągała ich z domów, synagog i kramów i wlokąc za brody,

masakrowała na śmierć. Ciała układano w stosy na placu i podpalano jak

wiązki siana, żeby wyplenić źródło zła.

Wśród powszechnego szaleństwa mieszkańców dziesiątkowała

zaraza, wojsko i rozwścieczone, wygłodzone, ogarnięte chorobą hordy.

Zgromadzenie Kosza Najświętszego, posłuszne odwiecznym zasadom,

przechowywało duże ilości wiktuałów w tajnym podziemnym schowku.

Ulva zamknęła drzwi, zaryglowała okna i nie pozwalała nikomu wejść ani

opuścić budynku. Żywność wydzielala sprawiedliwie jak matka, co

pozwolilo utrzymać epidemie i głód z dala od klasztoru w czasie, kiedy

śmierć trzymała w szponach całe miasto. Mijały dni, tygodnie i miesiące,

ale zaraza nie rozluźniała uścisku. W końcu jednak nadszedł dzień, kiedy

zabrakło wody i jedzenia. Wtedy Ulva wyciągnęła swoją kolosalną pierś,

uniosła ją do ust i zaczęła ssać. Wszystkie kobiety patrzyły na nią,

myśląc, że czarna śmierć odebrała najstarszej ladaczniczcy rozum. Nagle w

kąciku ust Ulvy pojawila się biała, gęsta struzka, a zaraz potem z sutka

trysnęło jak ze źródła ciepłe mleko. Jedna po drugiej, młodsze i starsze,

piły z tej życiodajnej strugi. Matka nierządnic Ulva karmiła swoje córki,

wnuczki i siostry białymi, ogromnymi, imponującymi
piersiami przez

wiele miesięcy. Czarna śmierć nie zdołała zabrać ani
jednej służebnicy

Klasztoru Kosza Najświętszego.

1 1

Ulva zachowała powab młodości, a nawet, zdaniem
niejednego, z

upływem była coraz piękniejsza. Zawsze mogła
przebierać w klientach,

ale na starość wzbudzała większe pożądanie niż w
wiośnie swego życia.

Jej oszałamiający, kolosalny biust zachował jędrność,
talia nadal była

wąska, a brzuch miękki i obfity, budził przyjemne
skojarzenia z atłasową

poduszką. Uda, grube, twarde, różowe, można by rzec -
świńskie, gdyby

wieprze nie cieszyły się niezasłużenie od czasów
biblijnych pogardą,

stanowiły chyba jej największy atut. Jak wszystkie dobre
matki Ulva

dawała córkom rady, przekazując swoje doświadczenia,
żeby

zaoszczędzić im niepotrzebnych przykrości. Zaprawiona
w bojach na

polu miłości, matka nierządnic uczyła nowicjuszek
tajników i subtelności

wyrafinowanej sztuki dawania rozkoszy w uświęconym
przybytku

bóstwa o spektakularnej męskości. Rzeźba, która
roztaczała pieczę nad

salonem, niewiele miała wspólnego z wizerunkiem
bóstwa na malowidle

ściennym w Pompejach czy tym, które zdobiło rzymskie
ogrody. Członek

Priapa nie uginał się pod własnym ciężarem z żołądźką
ukrytą w fałdach

napletka przypominającego frygijską czapkę; był to Priap-
Merkury z

wyprężoną, w pełnym wzwodzie, zakrzywioną ku górze
maczugą, z

dumnym, odkrytym łebkiem, skierowanym ku
wysokościom, jakby

chciał zrobić tam sobie miejsce, którego zawsze odmawiano mu w

panteonie.

Marmurowy posąg nie był jednak tylko ozdobą. Jego zadanie nie

polegało również na odpędzaniu złych mocy, obdarzaniu obfitością ani

tym bardziej zapewnianiu męskiej płodności, co mu się zazwyczaj

przypisuje. Nie. Imponująca rzeźba rozpustnego syna Dionizosa i

Afrodyty odgrywała ściśle wychowawczą rolę. Podobnie jak

wykładowcy medycyny zapo-

znają studentów z kształtem i funkcjonowaniem organów, otwierając i

rozczłonkując zwłoki, rak Ulva posługiwała się posągowym ciałem

Priapa, ucząc nowicjuszek anatomii i fizjologii męskiego

źródła rozkoszy.

Zanim na najbardziej luksusowy zamieszkały w Moguncji
spadła tragedia,

najstarsza nierządnicza zaznajamiała swoje córki z
tajnikami sztuki

dawania

rozkoszy.

Szkolenie

miało

zazwyczaj

charakter

zabawowo-dydaktyczny. Ale po zabójstwach Ulva nie
miała już serca do

zbierania adeptek wokół Priapa.

Tragedia wkradła się do Klasztoru Służebnic Kosza
Najświętszego,

nim ktokolwiek zdołał ją przewidzieć. Radosna

monotonia, panująca w

lupanarze, została nagle zmacona upiornymi,
natarczywymi

odwiedzina mi śmierci. Ulva, bardziej zaniepokojona
losem córek niż

własnym, próbowała zgłębić tajemnicę i zdemaskować
bezlitosnego

prześladowcę, podtrzymując morale swoich owieczek i
nie dopuszczając,

żeby ogarnęły je strach i zniechęcenie. Najstarsza
ladaczka nie miała

wątpliwości, że ciąg zbrodni wiąże się bezpośrednio z
najpilniej

strzeżoną tajemnicą klasztoru: cennymi rękopisami,
księgami

zawierającymi tajniki najstarszego zawodu świata.

Ulva wiedziała, że musi się zająć nieszczęściem, jakie na
nie spadło,

nie zapominając jednak o przyszłości swoich córek, co

wymagało

nieustannego wdrażania w tajniki pracy. Do zamtuza przychodziło jednak

niewielu klientów. Wspaniała figura Priapa wznosiła się samotnie na

środku głównej sali; jego twardy, wygięty fallus wydawał się domagać

cudownych pieszczot, jakimi obdarzała go matka nierządnic w czasie

mistrzowskich lekcji. Jeszcze niedawno doświadczone dłonie Ulvy

przemierzały szeroki tors, ześlizgiwały się do umięśnionego brzucha,

okrężały pośladki krągłe jak zadki faunów, żeby dotrzeć ostatecznie do

miejsca wyczekiwanego

przez wszystkie adeptki. Gigantyczne atrybuty fallicznego bóstwa

były przydatne dwójako: z jednej strony pozwalały jasno

omówić każdy

anatomiczny szczegół, a z drugiej rozpałały entuzjazm i przyciągały

uwagę nowicjuszek.

- Najpierw należy przygotować butelkę z ciepłą różaną wodą -

zaczynała Ulva. - Następnie, i to jest niezmiernie ważne, trzeba przyjąć

wygodną pozycję. Nigdy nie kłękajcie przed klientem. Usiądźcie na

brzegu łóżka, starając się, żeby męczyzna pozostał w pozycji stojącej.

Wszystko, co przyczynia się do zmęczenia klienta, obróci się na waszą

korzyść. Ściągnijcie napletek, obnażając żołądź, i natrzyjcie ją delikatnie

dużą ilością naparu. Ciepła woda rozszerza tkanki, przygotowuje erekcję,

rozpiera jądra, a przede wszystkim usuwa brud i przykry

zapach.

To mówiąc, demonstrowała na przykładzie monumentalnego fallusa

Priapa, jak powinny myć członek, zanim się nim zajmą.

- *Fellatio* nie należy rozpoczynać od żołądki. Pamiętajcie: przed

dotarciem na szczyt musicie się zatrzymać na wszystkich

wcześniejszych stacjach.

Po czym rozpoczynała *via voluptuosis* długą, stromą ścieżkę rozkoszy.

- Pierwsza stacja: nasada fallusa - objaśniała zwięźle i przejrzyście. -

Pielgrzymka rozpoczyna się poniżej jąder. Z tego miejsca należy piąć się

coraz wyżej, zatrzymując przy kolejnych stacjach - mówiła, wytyczając

szeroki szlak rozkoszy.

Siedząc na skraju tronu przypominającego tron Kleopatry, najstarsza

nierzędnica objaśniała na wyrzeźbionym ciele najbardziej męskiego ze

wszystkich bóstw, jak wykonać idealne *fellatio*.

- Zanim usta wejdą w kontakt z intymnymi partiami, musicie zasłonić

wargami zęby, żeby nie dotknąć nimi wy-

jątkowo wrażliwej tkanki członka. Mimowolne ugryzienie może

spowodować ostry ból, a nawet uszkodzenie. Jednak przed rozpoczęciem

pracy ustami powinniście użyć palców. Upewnijcie się, czy ciepły napar

wystarczająco ogrzał dłonie. Nigdy nie dotykajcie fallusa zimnymi

rękami. Masujcie ku górze, na przemian prawym i lewym kciukiem, aż

poczujecie, że członek pęcznieje.

Siedząc wygodnie przed bóstwem męskiej płodności,
ksieni

nierządnic otaczała worek mosznowy palcem
wskazującym i kciukiem

prawej ręki, masując jednocześnie drugą dłonią mięsień
łączący genitalia

z odbytem. Na tym etapie pokazu udzielała zazwyczaj
pierwszej rady:

- Musicie być bardzo ostrożne i postępować z najwyższą
delikatnością, sprawdzając upodobania klienta. Żadnemu
mężczyźnie nie

jest obojętny własny tyłek. Niektórzy nie tolerują nawet
subtelного

pukania do tych zamkniętych na cztery spusty drzwi. Inni
bywają

gościnni i jak na miłych gospodarzy przystało, zezwolą
wam natychmiast

na wejście do ciepłego korytarza, czasem jednym, czasem
dwoma czy

trzema palcami, a czasem całą dłonią. Być może, w niektórych

przypadkach, powodem niechęci jest wstyd, strażnik honoru, albo strach

przed odkryciem rozkoszy Sodomy. Niekiedy uda się wam znaleźć

magiczny klucz otwierający tylne drzwi męskiej rozkoszy. Ale nigdy nie

starajcie się ich wywazać, jeśli nie chcecie stracić dobrego klienta.

Po tej krótkiej dygresji Ulva ruszała dalej świętą drogą pasji.

- Kiedy członek osiągnie pierwszą fazę erekcji, należy przejść do

następnej stacji.

W tym momencie przerywała, zawieszając na chwilę głos, a następnie,

wskazując na dokładną lokalizację na priapowej trasie, oznajmiała:

- Druga stacja: większe jądro. Trudno znaleźć męczyznę z dwoma

takimi samymi jądrami. Ale należy wiedzieć, że jak wszyscy świadkowie,

choć niemi, chcą być w centrum uwagi i nie zadowolili ich rola

testimonium virile a ni *ductus deference*. Przypiszcie *testiculus* znaczenie, jakiego się domagają i na jakie z pewnością zasługują.

Wracając do myśli przewodniej, Ulva kontynuowała:

- Istnieją dwa sposoby, aby zjednać sobie okrągłe *testis*. Pierwszym z

nich jest uderzanie szybkimi ruchami języka.

Ulva wysuwała język i zaczynała nim poruszać z taką szybkością, że

stawał się niemal niewidoczny, jak ogon grzechotnika. Zbliżała usta do

jądra Priapa i wibrującym narządem, żyjącym niemal własnym życiem,

atakowała marmur z taką siłą, że słyhać było odgłos bębnienia.

- Uderzenia języka stymulują wydzielanie płynu nasiennego,

powodując wzwód fallusa. Zauważycie, jak wznosi się i twardnieje,

zauważycie jego skurcze, jakby łysy, błyszczący łepiek przytakiwał na

znak zgody. Powinnyście nadążać za rytmem tych spazmów ruchem

języka i palców. Każde prącie ma własny rytm. Ruchy nie powinny być

zbyt szybkie ani zbyt wolne. Niewiele kobiet zna ten sekret. Jeśli

dostosujecie się do jego subtelnego tempa, klient będzie wasz. Trzecia

stacja to jądro mniejsze, z którym powinnyście postępować w taki sam

sposób jak z pierwszym, traktując je z większą delikatnością, ponieważ

jest mniejsze i bardziej kruche. Jeśli je zbyt zmęczycie,
narazicie na

ryzyko śmierci wyprostowanego na baczność gladiatora.

- A teraz przygotujcie się do skoku z urwistych skał jader
na prostą

drogę ku najwyższej rozkoszy.

1 2

- Zanim nauczę was, jak dawać bezgraniczną rozkosz męskiemu

przyrodzeniu, muszę wam przekazać dobrą i złą nowinę:
dobrą jest to, że

nie musicie się obawiać o swoje fizyczne bezpieczeństwo,
nie spotkacie

fallusa takiej wielkości - powiedziała, wskazując na
prawdziwie końskie

przymioty Priapa.

- A zła? - pytały młode nierządnicę z mieszaniną ulgi i
zawodu.

- Złą jest to, że nigdy nie spotkacie fallusa tej wielkości.
Dziewczęta

śmiały się, ale w ich śmiechu pobrzmiwała

nutka rozczarowania.

Ulva wskazywała na wydłużone wybrzuszenie, biegnące
od podstawy

prącia aż do początku żołądździ, doskonale widoczne na całej swej długości

dzięki hojnemu wyposażeniu Priapa.

- Trzecia stacja: ciało gąbczaste - oznajmiała. - Jest to

najdelikatniejsza część fallusa. Gąbczasta struktura pozwoli wam

przewodzić wydzielinę płynnymi ruchami palców i języka, sprawiającymi

intensywną rozkosz. Można lizać *corpus spongiosum* czubkiem języka ku

górze i jednocześnie dłonią pieścić *corpus cavernosum*. W ten sposób

przesuniecie wszystkie płyny w kierunku łepka, powodując jego

powiększenie i rozgrzanie. Oczekiwanie wszakże należy przedłużyć.

Zanim dotrzecie do żołądździ, powinniście się udać do następnej stacji.

Ulva przerywała na chwilę, żeby adeptki mogły sobie

przyswoić

ogrom przekazywanych wiadomości, po czym kontynuowała:

- Czwarta stacja: korona.

Najstarsza nierządnicza wskazała na fałdę otaczającą nasadę, na której

wspierała się żołądź Priapa, po czym przeciągnęła wokół niej czubkiem

języka, jak satelita wokół swojej planety.

- Kiedy dojdziecie do tego punktu, musicie się angażować z rozwagą,

bo klient może wpaść w stan ekstazy. Lepiej, żeby tak się nie stało, bo i

tak nie skapituluje, uznając, że to koniec wizyty. Nawet wyczerpani nie

odejdą bez skonsumowania aktu cielesnego, nie tylko dlatego, że

zapłacili, ale również dlatego, że nie pozwoli im na to ich miłość własna.

A wtedy będziecie musiały powtórzyć całą operację, aby reanimować

poległego wojownika, co wymaga zdwojonych wysiłków i czasu. Jeśli

zauważycie najmniejszą oznakę zbliżającego się szczytowania,

natychmiast zaniechajcie swoich praktyk, dopóki się nie upewnicie, że

niebezpieczeństwo minęło. Wtedy możecie przejść do następnej stacji.

Ulva przerywała, dopominając się o większą uwagę, i ciągnęła:

- Piąta stacja: żołądź.

Wskazując na cienką membranę łączącą wielki, błyszczący falliczny

łeppek ze skórą trzonu, pouczała:

- Nie wolno dotykać wędzidełka palcami, a tym bardziej zębami;

możecie je jedynie musnąć językiem. Każdy niewłaściwy

ruch może

spowodować zerwanie lub pęknięcie membrany,
powodując

niekontrolowane krwawienie. Precyzyjnie rzecz ujmując,
bezpiecznie jest

lizać jego okolice: ten punkt to źródło wszelkiej rozkoszy,
dlatego

musicie być ostrożne, żeby nie przekroczyć ani granic
upojenia, ani

granicy czasu. Jedna minuta wystarczy. Na koniec
skierujcie się do piątej

i ostatniej stacji: żółędzi.

Matka

nierządnic,

demonstrując

godne

pozazdroszczenia

mistrzostwo, otwierała usta i sprawnie połykała łąpek
monstrualnego

członka Priapa. Ze zręcznością godną boa Ulva nie tylko
obejmowała

wargami potężną kamienną żołądź, ale również sprawiała,
w

nadprzyrodzony niemal sposób, że większa część
kolosalnej maczugi

znikała w czeluściach jej

gardła. Adeptki, osłupiałe ze zdumienia, nie mogły wprost
uwierzyć

własnym oczom.

- Wykorzystajcie wasze otwarte z zaskoczenia usta i
poćwiczcie -

radziła Ulva dziewczętom, zachęcając je do przejścia
wszystkich pięciu

stacji ogromnego, zakrzywionego ku górze masztu
rozkoszy bóstwa,

które pokonało osła w walce o falliczną supremację.

Tymi, które zdołały

objąć żołądź ustami, wstrząsały torsje, kiedy próbowały wsunąć ją trochę

głębiej. Ulva przez chwilę z rozbawieniem obserwowała wysiłki

uczennic, po czym powracała do lekcji:

-Teraz, kiedy zostałąście specjalistkami od *fellatio*, nauczę was kilku

sekretnych technik.

Ponownie zasiadała na tronie obok Priapa i mówiła dalej:

- Pokażę wam, jak wykonać „lot kolibra”: wprawcie język w ruch, tak

jak was uczyłam i jak to robią trzmiele, przebiegnijcie wszystkie stacje po

kolei, zatrzymując się na kilka chwil przy każdej z nich, muskając

zaledwie maszt rozkoszy. Kiedy dotrzecie do wierzchołka, wprowadźcie

koniec języka do otworu i wprawcie go w wibracje od środka, jak koliber

wsuwający dziób w kielich kwiatu. Im głębiej i szybciej będziecie

poruszać językiem, tym rozkosz będzie większa.

Usta Ulvy przesuwały się tam i z powrotem po potężnym konarze

Priapa w sposób przypominający zwiewny lot kolibra, a jej ruchliwy

język stawał się niemal tak niewidoczny jak skrzydła tego mikroskopijnego ptaka.

- A teraz uwaga, nauczymy się „pocałunku Judasza”. Nosi tę nazwę,

ponieważ określa podstępą technikę wywoływania natychmiastowej

ekstazy, jeśli klient, świadomie lub nieświadomie, powstrzymuje się,

żeby nadmiernie przedłużyć wizytę.

Matka nierządnic odkrywała piersi i obejmując maszt rozkoszy

libertyńskiego bożka swoim wydatnym biustem,

brała żołądź do ust, objaśniając adeptkom szczegóły właściwej

pozycji:

- Przytrzymajcie łąpek ustami, ściskając mocno językiem i podniebieniem. Ssijcie energicznie, zasysajcie z każdym pociągnięciem

coraz bardziej, jak osesek przy piersi matki, jakbyście ustami doły

krowę. Jednocześnie pocierajcie pal piersiami, jedną ręką delikatnie

ciągnąc za jądra, a drugą za nasadę penisa. Kiedy opanujecie wszystkie

stacje, ekstaza nie każe na siebie długo czekać. Wytrysk będzie tak silny,

że wyczerpanie klienta sięgnie zenitu i należy uważać, żeby nie zapadł w

głęboki sen.

Po teoretycznych wyjaśnieniach, jasnych i zrozumiałych, Ulva

przechodziła do pokazowej lekcji, demonstrując wszystko na rzeźbie.

Adeptki, pomimo młodego wieku, nie mogły się oprzeć silnemu

podnieceniu, widząc najbardziej nierządną ze wszystkich nierządnic, jak

wczepiona obfitymi kształtami, drży, falując nad imponującym masztem

rozkoszy. Można by przysiąc, że po marmurowym obliczu Priapa

przebiegł nagły grymas rozkoszy. Byli i tacy, którzy twierdzili, że Ulva

niejednokrotnie zdołała sprawić, iż z kamiennego fallusa boga żądz

wytryskał biały, gęsty, obfity płyn, co było cudem wzbudzającym

większy podziw niż krwawe łzy, którymi płakała Matka Boska ze Spirity.

Jednak wszystkie te osobliwości, które Ulva przekazywała córkom,

były jedynie zwykłymi sztuczkami w porównaniu z rzeczywistymi

tajemnicami, zarezerwowanymi dla wybranych. Tych, które miały dostęp

do arkanów najwyższej rozkoszy, było niewiele: zaledwie jedna na sto.

Wybranka była jedyną upoważnioną do czytania najlepiej strzeżonej ze

wszystkich ksiąg na świecie: *Libri voluptatum proibitorum*.

Ostatnimi wyróżnionymi były trzy zamordowane kobiety,

depozytariuszki sekretu najwyższej rozkoszy, przeznaczone

na sukcesorki najstarszej nierządnicy. Jedynymi poza Ulwą,

które wiedziały, gdzie przechowywano *Księgę*

zakazanych rozkoszy.

13

- Czytanie nie powinno być postrzegane jako intelektualna przyjemność ani tym bardziej jako rozrywka - prawil Zygfryd z Moguncji

z wysokości podium, zwracając się do sędziów. -Czytanie jest świętym

dziełem, zarezerwowanym dla tych, którzy potrafią interpretować Pismo

Święte i szerzyć je wśród maluczkich. Wy, i nikt bardziej od was,

doktorów Kościoła, jesteście odpowiedzialni za to, co my, duchowni,

powinniśmy głosić w kościele. I zaprawdę powiadam wam: nie ma

żadnego powodu, żeby czytanie wyszło poza wąskie granice ambony.

Ksiąg nie pisano po to, żeby były w zasięgu wszystkich. Bóg powierzył

tablice Praw Mojżeszowi, nie ludowi. Pospólstwo nie ma wystarczającej

zdolności rozumienia, żeby odróżnić prawdę od fałszu, dobro od zła,

sprawiedliwość od niesprawiedliwości. Po to jesteście wy, pasterze stada.

Wyobraźcie sobie przez chwilę, co by się stało, gdyby księgi mogły się

mnożyć z taką łatwością, z jaką udało się tym fałszerzom, dzięki czarom,

powielić Pismo Święte!

W rzeczywistości Zygfryd z Moguncji nie tyle dbał o dobro stada, ile

o swój własny byt; oskarżyciel nie mógł pozwolić, żeby jego profesja,

rzemiosło kopisty, została narażona na ryzyko wymarcia.

- Ekscelencje, wyobraźcie sobie, że diabelski kunszt fałszerzy ksiąg

rozprzestrzenia się jak złe nasienie na wietrze. Co się

stanie z kopistami,

którzy poświęcając życie szlachetnemu rzemiosłu pisania, dbają również

o autentyczność Świętego

Słowa? Co będzie z Pismem Świętym, jeśli zostanie podrobione przez

oszustów? I nie odnoszę się tu tylko do faktu nielegalnego powielania

ksiąg. Bez pieczołowitego nadzoru kopistów może bowiem zostać

przeinaczona ich treść! Raczcie dostrzec, panowie, skalę zagrożenia:

Słowo Boże zastąpią bezecne tyrady demona!

Zygfryd z Moguncji zszedł z podium, zbliżył się do trybunału i patrząc

kolejno na każdego z sędziów, spytał:

- Czy jesteście świadomi, szlachetni mężowie, że ojciec głównego

oskarżonego, znający sztukę bicia monet jak nikt inny na świecie, był

przez lata mincistrzem mennicy, odpowiedzialnym za wydawanie

werdyktu w przypadkach fałszowania monet? Czy wiadomo wam,

Ekscelencje, że główny oskarżony przejął fach po ojcu?

Oskarżyciel podszedł do Gutenberga i wskazując na niego palcem,

powiedział:

- Kto jest w stanie lepiej fałszować niż ten, kto zna od urodzenia

wszystkie triki oszustów?

Johannes, z uwagą przysłuchujący się pełnej jadu mowie oskarżyciela,

przywoływał w pamięci postać ojca.

Friele Nędzarz, surowy zarządca mennicy o bezkompromisowym

charakterze, jako głowa domu był zwolennikiem spartańskiego

wychowania, nie tolerował najmniejszych wykroczeń. Jego żona, Else

Wyrich, kobieta słodka, delikatna i pobłażliwa, nie narzucała zbyrnie

dyscypliny w wychowywaniu Johannes, pierworodnego syna, i trójki

pozostałych dzieci. Nie wahała się nawet bronić ich przed zbyt

apodyktycznym lub nadmiernym przywoływaniem ich do porządku przez

ojca. Else była zacną kobietą. Jej łagodny charakter współgrał z

pogodnym wyrazem twarzy i zaraźliwą wesołością, choć kłócił się z

obfitymi kształtami i czerwonymi po-

liczkami. Córka kupca, wdowca zwanego Werner Wyrich zum

steinern Krame, wychowywała się w fabryce siekier należącej do ojca.

Robiła wrażenie wykutej z tego samego litego żelaza, co wyroby

opuszczające warsztat. Miała niespotykany u kobiet wzrost, przewyższała

też większość mężczyzn w Moguncji. Była blondynką o niemal białych

włosach i przezroczystej cerze; jej jasne, przyjazne spojrzenie

kontrastowało z silnymi, potężnymi ramionami i umięśnionymi nogami.

Wychowywana wśród kowali w surowych warunkach, posługiwała się

siekierą jak nikt inny i lubiła wykonywać prace przypisywane

mężczyznom. To ona rąbała drwa, nosiła na ramionach ciężkie bale i

zajmowała się najtrudniejszymi domowymi pracami, takimi jak naprawa

drewnianych krokwi, stolarka czy łatanie dachu. Oczywiście, parała się

również zajęciami typowymi dla kobiet: gotowaniem, praniem odzieży,

dbaniem o czystość i opieką nad dziećmi. Friele był mózgiem, a Else

mięśniami. On był generałem, skupionym i pryncypialnym, ona

oddziałem, posłusznym i zaprawionym w boju. Jej monumentalna postać

z siekierą w dłoni odstraszała każdego, kto zbliżył się do domu w

niecnych zamiarach. Wielu przypuszczało, że rodzinne nazwisko

Gutenberg⁶ jest hołdem dla tej kobiecej góry opiekuńczości i życzliwości.

Cechował ją zwierzęcy instynkt; strzegła potomstwa nie tylko przed

obcymi, ale także przed swoimi. Z taką samą odwagą, z jaką suka broni

szczeniąt przed atakiem samców, kiedy Friele wykraczał poza granice

ojcowskiej władzy i próbował podnieść na dzieci rękę, Else stawiała

między nimi, milcząca i nieustraszona. Inną jej charakterystyczną cechą

było śpiewanie: śpiewała, kiedy była wesoła; kiedy świt zastawał ją

przygnębiają, śpie-

6 Gutenberg (niem.) - dobra góra.

wała, żeby poprawić sobie nastrój; śpiewała, pracując i wracając z

targu ze sprawunkami; szła, śpiewając, żeby nie ustać w marszu pod

ciężarem worków dźwiganych na ramieniu. Od małego Johannes

przywykł, że matka budzi dzieci żywą melodią i układa je do snu

kołysanką. W starszym wieku wołał uchodzić w oczach

ojca za

młodzieńca o twardym charakterze, żeby go zadowolić i unikać

strofowania, ale przed Elszą nie ukrywał słabostek, chowając się pod

skrzydła tej łagodnej, ogromnej kobiety.

A teraz, przed sądem, uczestnicząc w czymś, co postrzegał jako

ostatnie chwile swego życia, wbrew sobie pogrążył się we

wspomnieniach o matce. Wgłębi serca marzył, żeby pojawiła się tutaj,

majestatyczna, z wiecznym uśmiechem na twarzy, i wyniosła go stąd na

rękach jak dziecko. Wilgoć zasnuła oczy Gutenberga, który musiał udać

atak kaszlu, żeby nie wybuchnąć szlochem.

I jakby chcąc odtworzyć wszystkie sceny ze swojego życia w obliczu

jego możliwej utraty, wspomniał chwilę, która zadecydowała o jego losie.

Po tej odległej pierwszej wizycie w mennicy Johannes obiecał sobie, że

będzie godnym następcą ojca, który, oczywiście, nie krył przed nim

żadnych tajemnic rzemiosła, wręcz przeciwnie, był wielkodusznym i

cierpliwym nauczycielem. W rzeczy samej, mając zaledwie dwanaście

lat, chłopiec stał się prawą ręką Frielego. Wspólnie stawiali się w

mennicy, zanim wzeszła jutrzienka, i byli ostatnimi, którzy ją opuszczali,

kiedy zapadała noc. Początkowo rzemieślnicy przyjmowali młodego

Johannesa chłodno, podejrzliwie, widząc w nim jedynie pierworodnego

syna zarządcy. Jednak ojciec, daleki od faworyzowania go, zlecając

Johannesowi pierwsze prace, wybierał te najbardziej niewdzięczne:

dostarczanie metalu do kotła, transportowanie monet, czyszczenie

urządzeń i zamiatanie złotych i srebrnych opiłków. Za

każdym razem, kiedy przyłapał Johanna na marnowaniu choćby

szczypty metalu, wymierzał mu kary, dotkliwsze niż te, jakie spadały na

pozostałych pracowników. W ten sposób Johannes pracował na szacunek

innych. Z czasem stał się wytrawnym szmelcerzem. Zdobył taką

popularność, że arcybiskupstwo Moguncji zwróciło się do zarządcy

mennicy, upominając się o usługi jego syna. Dla Frielego była to jedna z

najtrudniejszych decyzji w życiu. Z jednej strony pragnął, żeby Johannes

został spadkobiercą jego dzieła, z drugiej wiedział, że będzie dla niego

lepiej, jeśli pójdzie własną drogą, własnoręcznie wykuwając swój los. W

rezultacie, skończywszy trzynaście lat, Johannes przestał podlegać ojcu i

rozpoczął pracę w diecezjalnych warsztatach jako mistrz w pręgierni.

Szybko stał się jednym z czołowych złotników. Zdawało się, że nic nie

stoi na przeszkodzie, żeby Gutenberg został zarządcą pręgierni,

szmelcerzy i złotników. Jednak tragedie spadają zazwyczaj bez

zapowiedzi.

14

- Jezus musiał przejść przez wszystkie stacje Drogi Krzyżowej i

cierpieć męki za nas, grzeszników - podjął na nowo swój

monolog

Zygfryd z Moguncji. - Czyż można wobec tego bagatelizować te

haniebnne podróbki Biblii!? Ekscelencje, zapewniam was, że po raz

kolejny zadamy męki Synowi Człowieczemu, jeśli dopuścimy, żeby

falszerze zawładnęli Jego Słowem. Jedynymi wiarygodnymi księgami,

które mają prawo przekazywać świadectwo męczeństwa i cierpień Pana

naszego, są księgi spisane odręcznie na podstawie odręcznych opisów

Jego cudów, pozostawionych przez naocznych świadków. Nie ma innej

możliwości stworzenia księgi niż jej spisanie. Każ-

dy inny sposób wytwarzania ksiąg za pomocą jakiegokolwiek techniki,

należy traktować nie inaczej jak falsyfikat i uznawać za

dzieło Szatana.

Prokurator zawiesił głos. Przeszedł się tam i z powrotem, jakby się

wahał, czy wyjawić wielką rewelację, aż w końcu podjął decyzję:

- Panowie, wszak wiecie, że okazja czyni złodzieja. Nie chcę przez to

powiedzieć, że każdy jest potencjalnym przestępcą, ale większość ludzi

jest dobra tylko dlatego, że los nie wystawił ich na próbę, a z pewnością

nie są zbyt liczni ci, którzy stawiają czoło nieszczęściu i wychodzą z

niego z godnością i bez skazy. Ekscelencje, głównego oskarżonego

dotknęła jedna z największych tragedii, jakie spadły na nasze miasto.

Podobnie jak wielu innych mężczyzn i kobiet jego stanu, doświadczył

grabieży domu, kradzieży mienia i wygnania. Jestem pewien, że

nieszczęście to było próbą, na jaką wystawił go Bóg. I muszę przyznać,

szlachetni panowie, że ta gehenna obnażyła wątpliwość moralnego kośćca

oskarżonego i słabość jego ducha. Popchnęła go na drogę przestępstwa.

Diabła znajdzie tylko ten, kto go szuka.

Notariusz, starając się nie uronić ani jednego słowa, z trudem nadążał

za wywodami prokuratora, Gutenberg zaś, do którego potok słów docierał

do tej pory jako monotonna litania, drgnął, jakby Zygfryd z Moguncji

nasypał soli na zadawnioną, nigdy nie zagojoną ranę. Przypomniał sobie

dzień będący początkiem wszystkich jego nieszczęść.

Pod koniec tysiąc czterysta jedenastego roku gospodarka

Moguncji

weszła na krętą ścieżkę. Jednym z pierwszych, którzy zdali sobie z tego

sprawę, był nie kto inny jak Friele Nędzarz. Władze polityczne wymagały

od niego coraz częściej, żeby bił więcej monet, co zmuszało kramarzy na

targu do przenoszenia rosnących z dnia na dzień kosztów nabywa-

nych przez siebie produktów na ceny, za jakie je sprzedawali. W

październiku tegoż roku mennica wybiła więcej monet niż kiedykolwiek.

Pieniądze znikwały z rąk ludzi z taką samą szybkością, z jaką wychodziły

spod pras. Ojciec Gutenberga wiedział, że taki splot okoliczności nie

może zapowiadać nic dobrego. W listopadzie owego roku ministerialnym

dekretem uchwalono drastyczny wzrost podatków. Poborcy podatkowi

bezlitośnie wyszarpywali chłopom resztki pieniędzy, aż w końcu, z

początkiem nowego roku, wyczerpały się skromne oszczędności, a wraz z

nimi cierpliwość ludzi. W grudniu tysiąc czterysta jedenastego roku

zdesperowany lud Moguncji powstał przeciwko władzy. Obie strony

dopuszczały się podpaień, grabieży i egzekucji. Sąsiedzi, którzy przez

całe życie sprzedawali produkty na rynku, kramarze, biedni ludzie,

życzliwie witający się każdego dnia, zmienili się nagle w dzikie bestie. Z

płonącymi żagwiami w ręku bez litości palili i plądrowali wszystko,

zapełniając, czym się da, swoje prymitywne wozy.

Powstanie skierowane było przeciw patrycjuszom i chociaż Friele

Nędzarz nie należał do ich ścisłego kręgu, uznał za konieczne salwować

się ucieczką wraz z rodziną. Na nic by się zdało tłumaczenie wściekłej

tłuszczy, że zarządca mennicy nie śmierdzi groszem i jest równie biedny,

jak oni. Toteż, podobnie jak garstka najzamożniejszych rodzin, opuścili

dom ze skromnym dobytkiem, jaki się im udało uratować z pożogi.

Los sprawił, że niewiele wcześniej Else odziedziczyła po swoim ojcu

niewielkie gospodarstwo w Eltville am Rhein, na zielonym wznesieniu

między Wiesbaden a Lorchhausen na północnym brzegu Renu. Friele i

jego rodzina mieli wszystko, czego potrzeba do szczęścia. Można by rzec,

że dom położony na stoku najwyższego wzgórza, z którego okien widać

było okazałą bryłą zamku elektorów Rzeszy, wznoszącego się jak

monumentalna szachowa wieża, był idealnym miejscem na spędzenie

emerytury po pełnym trudów życiu.

Nowemu domowi daleko było do luksusu. Przypominał raczej starą

szopę przerobioną na dom mieszkalny. Chociaż był większy i bardziej

słoneczny niż dom w Moguncji, nie posiadał wygód typowych dla małych

tradycyjnych domostw w grodach; wręcz przeciwnie, rodzina musiała

stawić czoło surowym, prymitywnym warunkom, typowym dla wiejskich

chałup. Przez prześwity między podłężnicami podłogi przedostawała się

wilgoć, a przez szpary w ścianach, niewyłożonych szlachetnymi

gatunkami drewna, wpadał dokuczliwy wiatr. Nie było marmuru na

schodach ani ozdobnych kolumn. Wąskie stopnie wiodące na poddasze

ugiwały się i trzeszczały pod stopami, jakby się miały załamać pod

ciężarem idącego. Gdy tylko jakiś członek rodziny zaglądał w niezbadany

jeszcze zakątek gospodarstwa, wyskakiwały z niego kury, gęsi i gryzonie

niewiadomej proveniencji.

Dla Elsy, przyzwyczajonej od dzieciństwa do wiejskiego życia,

przeprowadzka nie była tragedią, wręcz przeciwnie, zieleń i sielankowe

otoczenie bliskie były jej duszy, wykutej z materii twardej jak siekiery

wytwarzane przez jej ojca. Mieli winnice, z których otrzymywali

najlepsze wina, drzewa owocowe i suchy, słoneczny klimat przez cały

rok. Dla Elsy był to prawdziwy, jej własny raj na ziemi. Dla Frielego

natomiast było to piekło. Najpierw jego charakter, a zaraz potem zdrowie

pogorszyły się w drastyczny sposób. Nie wiedząc, co ze sobą robić, Friele

błąkał się wokół zamku Crass i arystokratycznych pałaców i miotał jak

tygrys w klatce. Tęsknił za Moguncją, mrokiem mennicy, ciszą sali

kopistów oraz bulgotaniem kadzi ze złotem i srebrem. Ani na chwilę nie

opuszczało go nieznośne przekonanie, że delikatne monety, jakie

wykonywał, w rękach każdego, kto spróbuje go zastąpić, zmieniają się w

szorstkie, matowe krążki.

15

W tym samym czasie, kiedy Priap w samotności głównego salonu

zamtuza zdawał się tęsknić za dawnymi czasami, notariusz

Helmasperger, który kunszt Ulvy i jej córek znał wyjątkowo dobrze,

pochyłał się w katedrze nad pulpitem, wyężając siły, żeby nie uronić

żadnego słowa z perory elokwentnego oskarżyciela. Podobnie jak bóg

płodności, on również marzył po cichu o niezrównanych pieszczotach

służebnic Kosza Najświętszego. Gutenberg też słuchał mowy Zygryda z

Moguncji, który przytaczał coraz dosadniejsze argumenty, aby przekonać

sąd do swoich racji. W tym samym czasie, gdy oskarżyciel delektował się

swym oratorskim kunsztem, Gutenberg rozpamiętywał
złożone relacje,

jakie łączyły go, a zarazem dzieliły z ojcem.

Chociaż nigdy nie ośmielił się powiedzieć tego na głos,
Friele z dnia

na dzień stał się biedakiem. Ascetyzm, który zawsze go
charakteryzował,

był jego własnym wyborem; bieda natomiast była
okrutnym zrzędzeniem

losu. Wynagrodzenie, jakie otrzymywał jako zarządca
mennicy,

pozwalalo mu na dostatnie życie bez wyrzeczeń, a nawet
pozwoliło

zaoszczędzić niewielką sumkę. Ale teraz miał puste ręce i
nie wiedział,

czym je zapełnić: nie zdołał uratować oszczędności przed
grabieżą i nie

mógł znaleźć miejsca, gdzie mógłby wykonywać swoje
rzemiosło.

Dorosły już wtedy Johannes wrogim milczeniem dawał
ojcu do

zrozumienia, iż ma do niego żal o to, że nigdy nie zabiegał
o pieniądze.

Bezgłównie zrzucił na ojca całkowitą odpowiedzialność
za ruinę, w którą

popadli.

Niespodziewane

nieszczęście zadało kłam kazaniom

gloryfikującym skromne życie. Johannesowi, jak
wspomnienie

minionego snu, majaczyły w pamięci góry złota, sztaby
srebra, blachy i

krążki,

błyszczące stosy monet, wszystkie te skarby mennicy,
jakie były w

zasięgu ręki.

Podczas rodzinnych kolacji, w świetle lichej świecy,

Johannes patrzył

na ojca oczami pełnymi urazy. Nie ośmielając się zarzucić Frielemu

braku przenikliwości, wyrzucał mu jego solidność. Nie mógł wybaczyć

ojcu jego uczciwości i tego, że wychował synów w umiłowaniu prawości.

Nie tylko obwiniął ojca o to, że był nieprzekupny, ale też o to, że nie

nauczył ich, iż uczciwość nie wiedzie do fortuny. Kradli księżęta i

urzędnicy; kradli ministrowie i poborcy podatkowi; kradli skrypcy i

doradcy; kradli wszyscy, oprócz jego głupiego ojca. Z dodatkową

okolicznością obciążającą: pieniądze korumpujące umysły i osłabiające

moralność pochodziły właśnie z mennicy. Jak to możliwe, żeby człowiek,

który wszystkim dostarczał haniebnego metalu, nie zatrzymał sobie ani

jednej wybitej przez siebie monety?

Było tajemnicą poliszynela, że książęta, ministrowie, doradcy i

skrypcy gromadzili ogromne sumy pieniędzy, złota, srebra i inne

skarby nie tylko w celu zaspokojenia osobistych ambicji, ale także jako

zabezpieczenie na wypadek, gdyby królestwo przeszło w ręce wroga.

Usprawiedliwiali korupcję, argumentując, że zebrana fortuna zapewni im

środki do życia na ewentualnym wygnaniu. Czyż jego ojciec nie był

również urzędnikiem? Jego stanowisko, nad wyraz polityczne, od którego

zależała w dużym stopniu cała gospodarka, sytuowało go w centrum

walki o władzę i wystawiało na konsekwencje takie jak porażka, którą

właśnie przeżywał. Czyż w związku z tym nie miał takiego samego prawa

do bogacenia się jak książęta, tym bardziej że w odróżnieniu od nich nie

posiadał inwestytury królewskiej ani tytułu, który mógłby chronić? Jego

ojciec odpowiedział już na to pytanie. W dniu poprzedzającym bunt,

uprzedzając fakty, wspomniał mimochodem przy rodzinnym stole:

- Prawdziwy książę, ten, który się mieni władcą, zanim poświęci

godność poddanych lub swoją własną, winien oddać życie.

Po fali pożarów, grabieży i grózb chłopów, zdecydowanych wybić

wszystkich bogaczy, w miarę jak dopalały się zgliszcza, a temperamenty

łagodniały wraz z nowymi obietnicami, włodarze kraju,
będący przy

władzy od niepamiętnych czasów, jak wytrawni szachiści
wykonali parę

patowych ruchów, poświęcili garść pionków i kilka
gońców, dalej siedząc

na swoich stołkach, jakby się nic nie stało. Biedacy
pozostali biedakami, a

bogacze wzbogacili się jeszcze bardziej. Ale Friele z
rodziną musiał

uciekać bez jednego miedziaka przy duszy.

Johannes czuł, że jednym cięciem amputowano im
przyszłość. Jego

marzenia, że stanie kiedyś na czele mennicy lub
warsztatów

arcybiskupstwa, ulotniły się na zawsze. Zielona mucha
rozgoryczenia

złożyła swe złowróżbne jaja w ranie. Larwa urazy
zagnieździła się w

duszy Gutenberga, tocząc jego sumienie, aż pewnego fatalnego dnia

wygłodniałe robactwo chciwości rozpleniło się po całym jego ciele.

Proces był cichy, niedostrzegalny. Jak wszyscy, którzy podejmują

decyzję o zejściu z właściwej drogi, Johannes nie postrzegał siebie jako

przestępca, wprost przeciwnie, jego bezszelestnymi krokami kierowało

pragnienie sprawiedliwości. Czuł, że świat jest mu coś winien, że

przeznaczenie uwzięło się na niego, że ojciec pozostawił go własnemu

losowi, a reszta śmiertelników nie potrafi go zrozumieć. Wszystko to

potęgowała niepowstrzymana siła młodości i lekka nutka romantyzmu.

Elsę nawet nie zauważyła ponurej metamorfozy, jaką przechodził jej syn.

Ale ojciec - tak.

Ojca i syna łączyły więzy krwi, sztywne zasady rodzinnej moralności,

zaufania i miłości rodzicielskiej. Ciężka praca przy biciu monet sprawiła,

że stali się nierozłączni jak stop

metali połączonych w tyglu. Niemniej, choć natura pieniądza

odcisnęła swe piętno na nich obu, Friele i Johannes stali się orłem i

reszką, dwiema nierozdzielnyymi, lecz przeciwstawnymi wartościami. Jak

dwie strony medalu, ojciec i syn nie mogli na siebie patrzeć, dotykać się

ani ze sobą rozmawiać.

Bolesna wrogość Johanna była dla Frielego nie do zaakceptowania,

podobnie jak nieznośne warunki egzystencji. Nie nadawał się do

spokojnego wiejskiego życia. Zarówno słońce i świeże powietrze z dala

od toksycznych topni i mrocznych warsztatów, jak i cisza i spokój, tak

różne od hałasu stempli, pras i pokrzykiwań pracowników oraz

pośpiechu, żeby oddać robotę na czas i w dobrym stanie, cały ten

blógostan i sielskość sprawiały, że w tysiąc czterysta dziewiętnastym

roku Friele dokonał żywota.

16

Podczas gdy Gutenberg przywoływał w pamięci nagłą śmierć ojca,

oskarżyciel kontynuował mowę, inkrustowaną dramatycznymi efektami i

krasomówczymi gestami.

Kiedy mąż rozstał się z ziemskim padółem, Else z niechęcią

zdecydowała, że Johannes będzie kontynuować rodzinne tradycje, i

wysłała go na uniwersytet w Erfurcie, gdzie został przyjęty pod

nazwiskiem Johannes Eltville. Był wyróżniającym się uczniem:

wcześniej zdobyta wiedza, sekrety, które wyjawiał mu ojciec, krótka praca

złotnika w arcybiskupstwie Moguncji i ręce od dzieciństwa zaprawione

do ciężkiej pracy wprawiały w zdumienie nauczycieli i budziły zazdrość

wśród rówieśników. Był zamkniętym w sobie, ciekawym życia

młodzieńcem, przedkładającym badania i praktykę nad teoretyczne

dysputy. Podobnie jak ojciec, wykazywał talent

do sztuki odlewniczej, subtelną delikatność w pracach złotniczych

oraz siłę i precyzję przy kuciu. A do tego okazał się mistrzem w

rytownictwie. W odróżnieniu od Frielego cenił pieniądze nie tylko jako

zwykły rzemieślniczy wyrób, ale również jako *via regia* do osiągnięcia

ziemskich celów.

Po uzyskaniu niezbędnej wiedzy, wyrzekłszy się zaszczytów i

tytułów, jeszcze przed ukończeniem studiów wyjechał do

Strasburga,

gdzie mieszkał brat jego matki. Był powściągliwy i małomówny, toteż

nikt nie znał planów chłopca przybyłego z Moguncji. Jakby tego było

mało, postanowił ukryć twarz za „mongolską” brodą. Pomimo wzrostu

odziedziczonego po matce nie przyciągał uwagi: z pochyloną głową

wciśniętą w ramiona i zasłoniętą czapką, noszący zawsze szaty ciemnego

koloru, przemykał lekkim krokiem jak nieuchwytny cień.

Dzięki kontaktom wuja i niezaprzeczalnemu talentowi Johannesesa

przyjęto go na złotnika do armii strasburskiej. Do umiejętności topienia,

kucia, puncowania, przepisywania ksiąg i złotnictwa doszła kolejna:

płatnerstwo. Wszystkie sztuki, nauki i rzemiosła były dla

niego

ogromnym źródłem fascynacji. Wiedziony pragnieniem poznania,

wykonywał próby i eksperymenty bez względu na konsekwencje.

A motu proprio zwrócił się o zgodę na wykonanie miecza według

własnego projektu. Generał, który wcześniej dostarczył młodzieńcowi z

Moguncji potrzebne materiały, oniemiał, kiedy zobaczył jego dzieło:

bogato zdobiona, inkrustowana drogimi kamieniami rękojeść i lekka

klina, zdolna przeciąć wzdłuż włos czyniły zeń broń równie piękną, jak

zabójczą. Zachwyty generała przyniosły Johannesowi natychmiastowy

awans i otworzyły drzwi do nowej dziedziny: złotnictwa. Brat generała

był jednym z najzamożniejszych jubilerów Strasburga. Jak było do

przewidzenia, generał pokazał doświadczonemu rzemieślnikowi miecz.

Widząc rękojeść oraz sposób

osadzenia szlachetnych kamieni, mistrz bez chwili wahania zatrudnił

Gutenberg. Skromne wynagrodzenie, jakie Johannes otrzymywał w

wojskowych warsztatach, zmieniło się w niebagatelną kwotę, jaką

wyplacał mu złotnik za projektowanie precjozów. I mógł się w tym

rzemiośle rozwijać, stając się osobistością wśród złotników. Jednak

klejnoty były dlań czymś frywolnym, zbyt kownym, powierzchownym,

niemają-cym nic wspólnego z tym, co pragnął osiągnąć w przyszłości. A

zresztą postanowił, że już nigdy nie wróci na stromą, jałową i

przewidywalną drogę, którą podążał jego ojciec. Dojdzie do bogactwa,

swojego przeznaczenia, na skróty; zamiast pełznąć przez pusty ugór,

polecą górą, wzbijając się w niebo wysoko jak orły. Zasluguje na więcej

niż przyziemna egzystencja starego Frielega, który stał się dla Johannesesa

symbolem czegoś, czym ten nie chciał być.

Szybko znudził się złotnictwem i poświęcił studiowaniu rytownictwa.

Tradycyjne techniki wzbogacił wiedzą z zakresu wyłaczania monet z

metalowych blach w prasie. Jego prace były tak piękne, że w marcu tysiąc

czterysta trzydziestego czwartego roku otrzymał opatrzony pieczęcią list

z rąk urzędowego posłańca. Było to zaproszenie od samego burmistrza

Strasburga. Gutenberg zrozumiał, że udało mu się własnymi rękami

wytyczyć swoją drogę życia. Dzięki zasługom, a nie uprzejmości

wpływowej osoby, trafił do miejsca, o którym marzyli wszyscy ambitni

młodzi ludzie. I choć przeczuwał, że jego przeznaczeniem jest coś więcej

niż rytownictwo, młody Johannes Gutenberg poczuł, że sięgnął nieba. Z

dnia na dzień stał się urzędowym rytownikiem magistratu jednego z

najważniejszych miast Europy. Jakby tego wszystkiego było mało,

burmistrz wysłał go do Niderlandów na dalsze szkolenie pod okiem

największego rytownika na świecie: Laurensa Kostera.

17

Zygryd z Moguncji, ku rozpaczyc wyczerpanego notariusza, wdrapał

się ponownie na podwyższenie, oparł obiema rękami

o rzeźbioną balustradę i podnosząc po raz kolejny głos, dodał

następny zarzut przeciw oskarżonym.

- Panowie - zaczął, zwracając się do sędziów - poza zarzutem

falszerstwa, nekromancji, czarów i satanizmu oskarżam tu obecnych o

kolejne przestępstwo, o kradzież. To zwyczajni złodzieje, szlachetni

mężowie! Pospolici złodzieje przebrani za mędrców! Zaprawdę,

powiadam wam, diabeł nie pakuje z najlepszymi, pakuje z najgorszymi,

z miernotami, plagiatorami. Przed wami nie stoją trzej

genialni oszuści,

zakładając, że oszustwo i geniusz mogą w ogóle iść w parze. Nie! Stoją

przed wami pospolici złodzieje, którzy realizując swój nieczyny plan, nie

posłużyli się nawet własnym wynalazkiem.

Gutenberg, Fust i Schöffer odczuli ten cios dotkliwie. Był jak sztylet,

który Zygfryd z Moguncji wbił im prosto w serce miłości własnej.

Wszyscy trzej spojrzeli na oskarżyciela z bezgraniczną nienawiścią.

Gutenberg był gotów na wszelkiego rodzaju zarzuty, ale nie na taki.

Przywołał w pamięci dzień, kiedy przyjechał do Haarlemu, pełen

entuzjazmu i ciekawości odkrywcy przybijającego do nieznanego lądu.

Kiedy tylko dostrzegł wysokie iglice katedry Sint

Bavokerk w oddali i

rządowe budynki otaczające Grotę Mark, serce miasta, jak
zawsze

otwarty na wszelkie nowe doznania, zadrżał ze zmęczenia
po długiej

podróży i z emocji, że wreszcie dotarł na miejsce. Od
rynku dolatywała

woń kwiatów na straganach, zmieszana z dymnym
zapachem pieczonych

jagniąt, świeżych ryb, owoców i warzyw.

Małe miasto nie mogło się okazać bardziej przyjazne:
wiatr

wiejący od Morza Północnego przynosił solną świeżość

kontrastującą z delikatną, wilgotną bryzą znad Spaarne.
Haarlem, w

objęciach rzeki i morza, poprzecinany był dodatkowo
uroczymi

kanałami, których leniwe wody wpływały do dużego,
centralnie

położonego jeziora.

Johannes zaspokoił w tawernie na Grotę Mark głód i pragnienie godne

wędrowca, po czym skierował swe kroki do katedry. Obfity posiłek i

dobre wino, słońce świecące na bezchmurnym niebie i szum morza

przywróciły mu siły i poprawiły nastrój. Przepelniony bezbrzeżnym

szczęściem Gutenberg powiedział sobie, że taki dzień jak ten musi mu

przynieść jeszcze więcej radości. Poza doskonałym nastrojem, jaki mu

towarzyszył, miał konkretny powód do optymizmu i wiary, że podróż

zakończy się sukcesem. Los obdarzył go najcenniejszym darem:

możliwością uczenia się od człowieka, który najlepiej znał tajniki

ksylografii, rytownictwa i sztuki kaligrafii: zakonnika
Laurensa

Janzooona, znanego jako Koster⁷, na pamiątkę faktu, że w
bardzo młodym

wieku został zakrystianem w katedrze.

Urodzony w tysiąc trzysta siedemdziesiątym roku, był w
tym okresie

starcem o szacownym wyglądzie. Ponad obszerną
fałdzistą szatą,

spowijającą go od stóp do głów, dawał się dostrzec
jedynie wąski owal

twarzy ukrytej pod trójgra-niastym kapeluszem i
ocienionej szerokim

futrzanym kołnierzem. Jednak jego jasne, przejrzyste oczy
odcinały się

wyraźnie, pełne jakiegoś szczególnego blasku. Gutenberg,
stanąwszy

przed starym mnichem, skłonił się przed nim głęboko, nie
tyle w

etykietalnym gościu, co w spontanicznym odruchu prawdziwego

szacunku, po czym przekazał mu listy kredencyjne od rady miejskiej

Strasburga i wyraził podziw dla jego zasłużonej reputacji. Koster, człek

prosty i skromny,

7 Koster (flam.) - zakrystian.

gestem pełnym pokory kazał Johannesowi wstać, choć bez wątpienia

zasługiwał ze wszech miar na nabożny podziw każdego rytownika.

Od kiedy przekroczył próg katedry jako ministrant, wykonywał

wszystkie powierzone prace z pełną odpowiedzialnością, nawet te

najbardziej pospolite. Jego pierwszym zajęciem było wytwarzanie świec.

Wyrabiał po kolei gromnice, świece liturgiczne, świeczki

do żyrandoli i

lichtarzy, te służące do celów religijnych, jak i do oświetlenia. Dzięki

owemu zajęciu zetknął się po raz pierwszy ze sztuką wytłaczania: z gliny

wyrabiał formy do świec, wosk pozwalał mu uchwycić kształt różnych

wizerunków. W przekonaniu, że nie da się poznać ludzkiej duszy bez

kontaktu z prostymi ludźmi i ich codziennymi troskami, postanowił

zrzucić habit i poświęcić się doczesnym zajęciom: na roli dzielił mozolne

dni z chłopami, pracując na postny powszedni chleb; został karczmarzem

w podrzędnej oberży, gdzie poznał dusze przestępców i ubogich duchem,

którzy topili swoje smutki w alkoholu, rozpacz cierpiących na

bezsenność, korupcję możnych, którzy opłacali usługi opryszków i

wykorzystywali zrozpaczonych. Pełnił funkcję strażnika w Haarlemie i

doszedł nawet do stopnia kapitana. Był skarbnikiem, stolarzem,

kowalem, złotnikiem, szmelcerzem i rytownikiem. Był uczniem i

nauczycielem. Dopiero kiedy jego ręce stały się szorstkie, ogorzałe i

silne, a dusza poznała potrzeby, cierpienia i brak miłosierdzia, których

doświadczała większość prostych ludzi, zdecydował się przywdziać z

powrotem habit, żeby wyglądać na mnicha, którym nigdy nie przestał

być.

Po powrocie do katedry Laurens Koster poświęcił się krzewieniu

Słowa Bożego wśród niepiśmiennego ludu, wykonując ryciny

przedstawiające sceny biblijne. Odkrycie, że najlepsi gracze w karty w

tawernie nie rozumieją liter, choć z liczbami

czy figurami nie mają najmniejszych problemów, było dla niego

ogromnym zaskoczeniem. Aby dotrzeć do duszy najbardziej

potrzebujących Słowa Bożego, należało więc uciec się do obrazów.

Opracował talię kart, które zamiast pogańskich figur prezentowały

postaci świętych: zamiast mieczy były na nich krzyże; zamiast króla

widniał Jezus; królowa była Matką Boską. Każda figura ze zwykłej talii

kart została zastąpiona odpowiednim czcigodnym wizerunkiem.

W tamtych czasach gra w karty była zabroniona w niemal wszystkich

większych miastach Europy: w tysiąc trzysta dziesiątym roku zakazano

jej w Barcelonie, w tysiąc trzysta trzydziestym siódmym za nielegalną

uznała ją Marsylia, a zaraz potem w jej ślady poszła Wenecja. Władze

Haarlemu wielokrotnie próbowały ścigać graczy, którym i tak zawsze

udawało się znaleźć nowe kryjówki. Talia Kostera, paradoksalnie, miała

zbożny wpływ: to nie gracze łamali normy moralne, to normy moralne

przenikały ukradkiem do ich uzależnionych dusz. Zadziwieni podróżnicy

nie wierzyli własnym oczom, słysząc hazardzistów wzywających imienia

Jezusa, Maryi i Józefa, kiedy karty z trzaskiem lądowały na stole.

Niezależnie od duchowej skuteczności talii Kosterera trzeba przyznać,

że karty wyróżniały się niezrównanym pięknem. W przeciwieństwie do

zwykłych, powszechnie używanych kart te, które wytwarzał mnich,

wydawały się wykonane ręką wytrawnego artysty. Nie ustępowały

najlepszym rycinom odzwierciedlającym sceny z fresków, a nawet je

przewyższały.

Produkcja składała się z kilku etapów. Kosterer dłutem rzeźbił figury na

klocku drewna w kształcie karty. Po ukończeniu czterdziestu klocków

dzielił je na cztery grupy po dziesięć sztuk, a następnie pokrywał

przygotowanymi przez siebie farbami. Potem na każdej dziesiątce

rozkładał gruby, sztywny, bawełniany papier i poddawał naciskowi w

prasie podobnej do tej,

jaką stosowano przy produkcji wina. Teraz zdejmował papier i,

czary-mary, otrzymywał dziesięć zadrukowanych kart, które następnie

wycinał ostrym, zamocowanym na ruchomym ramieniu nożem.

Powtarzał całą procedurę aż do skompletowania talii. Tą metodą mógł

wytwarzać dziesiątki talii dziennie. Oczywiście, to był dopiero początek;

później, stosując tę samą technikę, można będzie nie tylko drukować

wizerunki czy nawet słynne malowidła zdobiące ściany kościołów i

pałaców, ale także tanim kosztem rozpowszechniać je wśród maluczkich.

Laurens Koster przyjął Gutenberga na ucznia. Był
szczodrym

nauczycielem. Johannes zdobył zaufanie niderlandzkiego
zakonnika,

udowadniając mu, że ma talent, a przede wszystkim chęci
do pracy.

Nowy uczeń z Moguncji był niezmordowany. Mógł
spędzać całe dnie,

pracując, studiując i przeprowadzając doświadczenia,
zapominając o

śnie. W miarę jak Gutenberg angażował się coraz
bardziej, stary mistrz

odstaniał przed nim coraz to nowsze techniki, nieznane
nikomu więcej.

Johannes był prawdziwym szczęściarzem. Podejrzał
jednak, że stary

Laurens Janzoon Koster ukrywa tajemnicę, którą zachował
tylko dla

siebie. Gutenberg postanowił, że nie opuści Niderlandów,
dopóki nie

pozna najskrytszych arkanów rzemiosła rytownika.

Zygryd z Moguncji, widząc gniew Gutenberga, wywołany ostatnim

zarzutem, postanowił dążyć dalej.

— Pospolitymi złodziejami, panowie, oto czym są trzej oskarżeni! -

wykrzykiwał.

Potem, stając obok Johannesesa i wskazując na niego wyciągniętą ręką,

dramatycznym tonem, na granicy płaczu, dodał:

- Nie tylko zabrał mi wszystko, co posiadam, moje skromne zajęcie

kopisty, ale też nie zawahał się wykorzystać dorobku i narzędzi

niderlandzkiego mistrza Laurensa Kostera, który przyjął go pod swój

dach, dając mu wikt i opierunek, i traktował go jak ukochanego ucznia.

Gutenberg, stojąc przed sądem, wspomniął dni spędzone w

Niderlandach i związek łączący go z nauczycielem, który bywał

wielkoduszny, choć czasem, proszony o wyjaśnienia, potrafił milczeć jak

głaz. Johannes zorientował się, że za każdym razem, kiedy wypytywał o

szczegóły technik drzeworytowych przy odbijaniu ksiąg, Laurens Koster

odpowiadał z zagadkową lakonicznością. Gdy Johannes nalegał, stary

zakonnik wykręcał się, odpowiadając wymijająco, bez zwykłego

entuzjazmu, który go cechował, kiedy pokazywał inne tajniki

rytownictwa. Jednak upór ucznia z Moguncji był tak wielki, że kiedyś

zniecierpliwiony zakonnik powiedział tajemniczo, acz stanowczo:

- Jeśli chcesz uniknąć problemów, poświęć się wykonywaniu rycin.

Księgi to delikatna sprawa, która może ci przynieść jedynie kłopoty.

Ta przestroga pobudziła jeszcze bardziej ciekawość Johannesesa. Po tej

rozmowie Gutenberg zdwoił wysiłki. Chodził chyłkiem za mistrzem i

szpiegował go, usiłując wyśledzić wszystkie skrytki, jakich nie

brakowało w katedrze. Nie było kościoła, który nie miałby klapy w

podłodze maskującej przejście do piwnicy, świetlika pod sufitem

prowadzącego na zakamuflowany strych lub drzwi ukrytych za jakimś

meblem, wiodących do sekretnej sali. Johannes deptał starem

Koste-rowi po piętach, nigdy jednak nie udało mu się go złapać na

żadnym potajemnym działaniu.

Pewnego dnia, kiedy mnich musiał się udać w swoich sprawach do

pobliskiego Amsterdamu, Johannes skorzystał

z okazji i wszedł do jego celi. Przejrzał szuflady, w których zakonnik

trzymał swój skromny dobytek, zapiski Kostera, wewnątrz szafy, a nawet

szpary w deskach skromnego łóża i podłogi. Nic. Wychodził już z pokoju,

przekonany, że jego nauczyciel nie ma nic do ukrycia, kiedy stało się coś

nieoczekiwanego. Mała pieczęć leżąca na nocnym stoliku ześlizgnęła się

z okładki książki, kiedy Johannes układał przesunięte przez siebie

przedmioty, i spadła na podłogę. Widział ją już wcześniej, ale nie zwrócił

na nią uwagi. Kiedy wziął ją do ręki, zaintrygowały go

dwie rzeczy:

pieczęć miała bardzo wydłużoną formę, a co bardziej zastanawiające,

początkowa litera nie była literą „K” jak Koster, ani „L” jak Laurens, ani

nawet „J” od Janzoon. Z niewyjaśnionych powodów widniała na niej

mała litera „a”. Nie było w katedrze nikogo o nazwisku zaczynającym się

od litery „A”. Z drugiej strony, jaki człowiek, choćby najskromniejszy,

chciałby używać pieczęci z inicjałami pisanymi małą literą? Gutenberg

ukrył w ubraniu tajemniczy drewniany klocek, zdecydowany rozwiązać

tę małą zagadkę.

Przekonany, że wyryta litera, pozornie bez znaczenia, jest częścią

czegoś większego, Johannes czekał na powrót zakonnika,

licząc, że

doprowadzi go do wyjaśnienia tajemnicy. Obracał kawałek drewna na

wszystkie strony, ale nie udało mu się odkryć, co to jest i do czego może

służyć. Kiedy wreszcie Koster wrócił ze swej krótkiej podróży,

Gutenberg postanowił wznowić dochodzenie. Miał dwa wyjścia:

powiedzieć mistrzowi, że znalazł drewnienko przypadkiem, i zapytać go

wprost, bez ogródek, co to jest, albo ukryć drewnianą literę i czekać, aż

Koster po bezskutecznych poszukiwaniach jak drapieźnik wróci do nory,

w której produkuje tajemnicze przedmioty. Pierwszy sposób był proszszy,

ale z pewnością mniej bezpieczny: Johannes ryzykował, że mnich

odmówi odpowiedzi i pozbawi go znaleziska. Ponadto mógł wzbu-

dzić podejrzenia, że myszkuje po celi mnicha. Drugi sposób nie

gwarantował sukcesu, ale Johannes uznał, że nawet jeśli nie uda mu się

wyszpiegować ukrytego warsztatu Kostera, zachowa tajemniczy kawałek

i spróbuje dociec, do czego służy. A może, pomyślał, wszystkie te

spekulacje nie mają żadnego sensu; może litera jest pozostałością po

jakiejś rycinie, drzeworycie lub po prostu została wyrzeźbiona, żeby

ćwiczyć kaligrafię? Jednak z jakiejś niezrozumiałej przyczyny Johannes

czuł, że ta prosta, mała, pozornie nieistotna litera „a” jest podstawowym

elementem nieznanego wszechświata.

Zaledwie kilka dni po powrocie Kostera z Amsterdamu
Gutenberg

zauważył, że stary opat chodzi tam i z powrotem z
wyjątkowo

pochmurnym obliczem, przeglądając wszystkie szuflady,
szafy i półki w

katedrze. Zgięty wpół, zaglądał pod klęczniki, za figury,
przeszukał

atrium, ołtarz, ambonę, całe schody, stopień po stopniu,
sprawdził każdy

zakamarek bazyliki. Znając przedmiot poszukiwań,
Johannes zapytał:

- Zgubiliście coś?

- A i owszem... - odpowiedział opat, nie podając dalszych
szczegółów.

- Mogę wam pomóc?

- Raczej nie...

- Może gdybyście raczyli mi powiedzieć, czego szukacie...

- Niczego ważnego - odrzekł Koster, nie mogąc jednak ukryć

determinacji, z jaką przeszukiwał każdy kąt.

- Raczcie mi zdradzić, co to jest, a pomogę. Gutenberg przez chwilę

miał nadzieję, że stary Koster

uchyli chociaż rąbka tajemnicy.

- Kawalek drewna, nic specjalnego, pamiątka... krótko mówiąc, nic

takiego, drewniany klocek tej wielkości - odrzekł mnich, rozstawiając

kciuk i palec wskazujący.

Gutenberg zrozumiał, że przedmiot, którego nazwy opat nie chciał mu

ujawnić, ma dlań wielką wartość.

Gdy zapadła noc, Johannes utwierdził się w przekonaniu, że jest

bardzo blisko odnalezienia tego, czego tak długo szukał,

nawet jeśli nie

bardzo wiedział, co to dokładnie jest. Posiłek zjadł sam w celi,

zadowolając się postnym ziemniakiem bez okraszy. Posiłki w katedrze

były bardzo skromne, ale i tak wnętrzości miał napięte jak struny harfy.

Koster zrobił to samo w swojej celi, zaspokajając głód miską zupy i

kawałkiem suchego chleba. Jeden, ponieważ go zgubił, drugi, ponieważ

go znalazł, obaj, zarówno mistrz, jak i uczeń, mieli myśli zajęte

kawałkiem drewna z małą wrytą literką. Po skromnej, samotnie spożytej

kolacji obaj położyli się na posłaniach i niemal równocześnie zgasili

świece.

Jakby katedrę nawiedziły inkuby, Johannes i opat, każdy

na własnej

pryczy, przewracali się z boku na bok, nie mogąc zasnąć.
Wstrząsani

nagłymi dreszczami, opatulali się po szyję, żeby zaraz
potem odrzucać na

bok przesiąknięte potem koce. Przez ich myśli przebiegały
chaotyczne,

niepokojące obrazy. Serca waliły z taką siłą, że obaj,
zupełnie rozbudzeni,

przewracali się z boku na bok, żeby nie słyszeć ich bicia.
Nagle

Gutenberga zaalarmowało skrzypnięcie zawiasów; zaraz
potem usłyszał

odgłos zamykanych drzwi i w końcu kroki kierujące się w
stronę

krużganków, przyspieszające przed jego drzwiami. Uniósł
się na

łokciach. Cicho i błyskawicznie zeskoczył z pośłania,
narzucił płaszcz,

otworzył bezszelestnie drzwi i wyjrzawszy, zobaczył niewyraźną postać

starego Kostera, który oddalał się nawą łączącą krużganki w stronę

przylegającego do niej dziedzińca. Postanowił pójść za nim. Opat podążał

zdecydowanym i, jak na jego wiek, dość lekkim krokiem. Obszedł dokoła

zewnątrzny mur, zbliżył się do

jednej z bocznych furt prowadzących na zewnątrz bazyliki, wyjął

duży żelazny klucz, przekręcił go w zamku i wyszedł, zamykając z

powrotem furtę na klucz.

Johannes chodził tam i z powrotem, nie wiedząc, co robić; nie udało

mu się otworzyć żadnej furty. W końcu z młodzieńczą zwinnością wspiał

się na mur po grubych pnączach porastającego go

bluszczu. Po drugiej

stronie jednak nie było żadnych roślin ani niczego, co mogłoby ułatwić

mu zejście. Przez chwilę patrzył z góry, jak Koster znika w głębi

brukowanej uliczki, po czym z determinacją zamknął oczy, przeżegnał się

i powierzając swój los boskiej Opatrzności, rzucił się w dół.

Wylądował na dole z hukiem, zderzenie z ziemią było bolesne.

Spadając, zaczepił o wystający kamień i zaplątawszy się we własne szaty,

runął na ziemię. Nie połamał kości tylko dlatego, że zaczepione poły

spowolniły upadek. Upewniwszy się, że jest cały i zdrowy, wstał,

poprawił ubranie i podążył śladami opata.

Ulica była pusta, słychać było tylko szum wody żłobiącej

miasto.

Johannes musiał skradać się cicho, żeby nie zostać zdemaskowanym.

Jeden po drugim, opat i jego uczeń, przecięli na ukos plac targowy,

przeszli po moście nad kanałem, przemknęli kilkoma uliczkami, aż w

końcu stary Koster, zdyszany, dotarł do miejsca przeznaczenia. Radość

Johannesa, jaką napawało go odkrycie kryjówki opata, ustąpiła miejsca

zduńczeniu, kiedy zobaczył budowlę, do której zmierzał niderlandzki

rytownik.

Sędziowie słuchali z uwagą wywodów prokuratora.
Notariusz Ulrich

Helmasperger całą swoją uwagę skupiał na słowach
Zygryda z

Moguncji, jego gorączkowym tonie i ostrym języ-

ku. Oskarżenia nie mieli żadnej nadziei na ujście z życiem
po tak ciętej

tyradzie oskarżyciela.

Zatopiony we wspomnieniach Gutenberg, błędzący po
meandrach

pamięci, przywoływał w pamięci pobyt w Niderlandach.
Zaskoczyła go

mała liczba kobiet w Haarlemie. Na ulicach, na placach i
w sklepach,

wszędzie było więcej mężczyzn. Ze zdziwieniem przyjął
więc

wiadomość, że liczba kobiet prawie dwukrotnie

przewyższa liczbę

mężczyzn. „Gdzie się ukrywają?” - zastanawiał się, zanim poznał prawdę.

Sekret tkwił w *hofes*.

Hof es było instytucją zakorzenioną w Haarlemie od dawna.

Zazwyczaj była to budowla w kształcie podkowy, okalająca duży ogród

pełen kwiatów i drzew; czasem owe parki zajmowały teren równy

powierzchni małego lasu. Niektóre otoczone były pięknymi kanałami i

wysokimi, majestatycznymi murami. Drzwi, ozdobne i zwykle

pomalowane na intensywny niebieski kolor, wieńczył najczęściej

wizerunek Matki Boskiej pod osłoną niewielkiego kapitelu.

Najciekawsza w tych budynkach była jednak nie

architektura, lecz ich

mieszkańcy; były to małe miasta, zamieszkane przez same kobiety. W

przeciwieństwie do klasztorów *hojjes* nie dawały schronienia

zakonnicom, nie istniał tu też żaden hierarchiczny porządek; życia w nim

nie regulowała twarda dyscyplina kościelna, nie rządziła nim też

nieugięta matka przełożona. Zamieszkiwały je bogobojne, acz świeckie

kobiety, a struktura opierała się na zasadach bardziej laickich niż

zakonnych. *Hof es* pojawiły się w Liège w Belgii w XII wieku pod nazwą

beginek, na cześć ich założyciela, Lamberta Bégue, i szybko

rozprzestrzeniły się po całym terytorium Niderlandów. Ale w żadnym

innym mieście nie było ich tyle, co w Haarlemie. Te
swoiste cytadele

powstały jako przytułki, będące ostoją dla biednych
kobiet, wdów,

wszystkich tych, które z różnych powodów pozostały bez
dachu

nad głową lub bez rodziny, albo po prostu tych, które
chciały nauczyć

się jakiegoś fachu czy poświęcić się duchowemu życiu
bez żadnych

wyrzeczeń. We wszystkich przypadkach beginki, jak
zwykło się nazywać

to świeckie zgromadzenie, mogły opuszczać *hofs*, kiedy
tylko chciały, i

nie musiały się przed nikim tłumaczyć, gdy postanawiały
porzucić

begiński stan, wstępując w związek małżeński. W
przeciwieństwie do

klasztorów, gdzie mniszki żyły w surowej klauzurze, a
niekiedy nawet

były biczowane, *hofs* tętniło radosnym życiem poza
obrębem

klasztornych cel, na świeżym powietrzu w dużym
ogrodzie.

Wykonywano w nim powszednie przyjemne prace w
warsztatach, w

których kobiety uczyły się i zdobywały doświadczenie w
różnych

zawodach. Zakładane najczęściej przez bogate filantropki,
domy

begińskie utrzymywały się z pracy rąk swoich mieszkanek
i pomocy

władz. W owym czasie w Haarlemie istniało kilkadziesiąt
hofes,

rozrzuconych po całym mieście. Cudzoziemców te
świeckie klasztory

wprawiały w osłupienie, rozbudzając najróżniejsze
fantazje, w wielu

przypadkach oparte na krążących pogłoskach. Niektórzy
widzieli w nich

świątynie rozpusty; może dlatego, że otaczała je woda, wielu kojarzyło je

z wyspą Lesbos, mityczną krainą, w której poetka Saffo sławiła swoją

miłość do kobiet. Przyczynił się do tych spekulacji interesujący również

dla niektórych przedstawicielei duchowieństwa naganny fakt, że wśród

beginek, naśladowniczek Saffo, wiele było poetek, pisarek i

miłośniczek ksiąg. Najbardziej znaną beginką była Hadewijch z

Antwerpii, żyjąca w połowie XIII wieku, która pozostawiła po sobie

obszerną spuściznę poetycką, epistolarną oraz wiele kronik opisujących

jej doświadczenia duchowe w domu beginek. Ku oburzeniu wielu

duchownych Hadewijch nie używała łaciny, języka Świętego Cesarstwa

Rzymskiego, ale własnego, niderlandzkiego, uważanego przez Kościół za

wulgarny. Poza tym

wiele spośród jej wierszy było utworami nie tylko świeckimi, ale

wręcz całkowicie i bezdyskusyjnie heretyckimi. Najbardziej znany

wiersz, *Ukochać miłość*, był prawdziwą apoteozą miłości ziemskiej,

cielesnej, daleką od zakonnej koncepcji, która dopuszczała wielbienie

tylko jednego mężczyzny: Jezusa. Wiele z jej wierszy dokonało żywota

na stosie.

Niewiele lepszy los spotkał dzieła Matyldy z Magdeburga, beginki i

poetki, której dzieło *Strumień światła boskości*1, zostało potępione przez

Kościół. Hierarchia kościelna nie godziła się na to, żeby

świeckie kobiety,

pisarki, pozwalały sobie na mówienie o sprawach ziemskich lub, co

gorsza, pisanie o rzeczach świętych bez ich wcześniejszej zgody czy

późniejszej egzegezy. Duchowni z zasady nie tolerowali świeckich

kobiet, pisarek szerzących heretyckie albo, nie daj Boże, religijne

urojenia w tak wulgarnych językach jak niderlandzki, francuski czy

niemiecki.

Ze wszystkich potępianych beginek tą, która wycierpiała najwięcej,

była Marguerite Porrette. Autorka cudownego dzieła *Zwierciadło dusz*

prostych razem ze swoimi wierszami została przez Świętą Inkwizycję

skazana na stos. Wyklęta przez biskupa Châlons, została

spalona żywcem

pierwszego czerwca tysiąc trzysta dziesiątego roku na rynku w Greve.

Wskutek długiej listy wyroków i uprzedzeń, jakie ciążyły na

beginkach, wielu wędrowców, łącznie z Johannesem, mijając niebieskie

bramy fortec zamieszkanymi przez same kobiety, puszczało wodze

fantazji. Oczami wyobraźni Gutenberg widział już swój triumfalny wjazd

i hordy zdesperowanych kobiet, które rzucą się na niego, jedyne

przedstawiciela płci męskiej, zaraz po przekroczeniu muru, po czym,

spragnione

8 Vliessende licht minergotheid (około 1250).

9 Mirouer des simples arnes anienties (1305).

seksu, zedrą z niego ubranie i sprawią, że dozna przyjemności, jakich

nie doświadczył nigdy żaden inny mężczyzna. Z tych samych powodów

Johannes nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia, widząc Kostera

szycującego się do wejścia do zakazanego przybytku. Zapomniał

zupełnie o małym kawałku drewna z wyrytą pierwszą literą alfabetu, jego

myśli podążyły w zupełnie innym kierunku.

Ukryty za ligustrem wyrastającym ponad krawędź kanału, patrzył, jak

stary mnich podnosi kilka drobnych kamyczków i rzuca je po kolei, w

krótkich odstępach, na dach wystający ponad murem, jakby chciał dać

tym komuś jakiś potajemny znak, a następnie cofa się i czeka w

bezpiecznej odległości. Zaraz potem Johannes usłyszał ruch w kobiecej

twierdzy, a kilka sekund później, zmartwiały, dostrzegł kobiecą postać

uchylającą niebieską bramę, żeby opat z Sint Bavokerk mógł wejść do

środką. Jak to możliwe, żeby stary, szanowany w całym Haarlemie

człowiek miał czelność zakradać się do azylu, który dawał kobietom

bezpieczne schronienie przed mężczyznami? A jeśli było odwrotnie i w

rzeczywistości to *hofes* chroniły mężczyzn przed lubieżnością beginiek?

Tak czy owak, jaki związek może istnieć między literą, którą wykradł

swojemu mistrzowi, a tajemnymi konszachtami w tym zakazanym

miejscu? Johannes nie potrafił odpowiedzieć sobie na te wszystkie

pytania.

20

Podczas gdy prokurator wygłaszał swoje rozwlekłe wywody,

Gutenberg, ze spojrzeniem skierowanym w głąb siebie, wracał myślami

do dnia, w którym wtargnął do owej niezwykłej kobiecej ostoji.

Obolały po niedawnym upadku z katedralnego muru, Johannes

pomyślał, że pewnie Bóg wystawia na próbę jego siły, stawiając mu na

drodze mury, w dosłownym tego słowa znaczeniu, żeby sprawdzić jego

wytrzymałość. Po raz kolejny zdecydował się na wspinaczkę. W

przeciwieństwie do poprzedniego wyczynu, tym razem nie mógł się

posłużyć pnączem: ściana była wysoka i zupełnie gładka. Rozejrzał się

wokół, szukając czegoś, co mogłoby mu ułatwić pokonanie przeszkody.

Na kanale, tuż przy nim, kołysała się zacumowana łódź. Bez

zastanowienia odwinął linę z pachołka i zręcznie rozwiązał węzeł

utrzymujący łódź przy nadbrzeżu. Nawet nie zauważył, że uwolniona z

uwięzi łajba, zdana na łaskę prądu, zaczęła dryfować, oddalając się

powoli kanałem. Pobiegł w kierunku *hofs* z liną w ręku, wykonał pętlę z

wprawą godną ujeżdżaczy koni i zarzucił ją na jedną z wieżyczek

wieńczących mur. Tak silna była jego ciekawość, że myśli o kon-

sekwencjach podobnego zuchwalstwa nawet nie pojawiła się w jego

głowie. Naruszenie prywatności azyłu kobiet mogło go kosztować życie.

Z drugiej strony wpuszczenie tam starego Kostera było odstępstwem,

które powinno dotyczyć także jego.

Pociągnął kilkakrotnie, upewniając się, że lina została solidnie

zamocowana i jest na tyle mocna, żeby wytrzymać ciężar jego ciała.

Uspokojony, owinął ją wokół przedramienia, zaparł się butami o mur i

rozpoczął powolną wspinaczkę. Dotarłszy na szczyt, zajrzał na drugą

stronę muru i zaniemówił z wrażenia. Poświata księżyca padała na patio,

którego białe oczka wodne błyszcząły jak otwarte szeroko oczy. Ujrzał

przed sobą rajski ogród: w środkowej części parku, na małym jeziorzku,

unosily się przeróżne fantastyczne rośliny: kwitnące nenufary, hiacynty i

lilie. Balkony i okna ugięły się pod ciężarem doniczek z kwiatami.

Drzwi, przyozdobione

kolorowymi wstążkami, były kwintesencją gos'cinności.

Przy

niektórych stały kosze owoców. Nie było niczego, co nie zostałoby

muśnięte delikatną dłonią mieszkanek. Wiatr niósł charakterystyczny

zapach kobiecych ciał. Gutenberg nie potrzebował niczego więcej, żeby

zrozumieć przepaść dzielącą *hofs* od klasztoru. Były jak dwa

przeciwległe bieguny: białe i czarne, jasne i ciemne, aromat i fetor, dobro

i zło, zdrowie i choroba, przejrzystość i mętność, mężczyzna i kobieta. O

tak, pomyślał Johannes, obecność mężczyzny zburzyłaby tę słodką

harmonię, którą tylko kobiety były w stanie stworzyć.

Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie wrócić po swoich śladach

i nie zaniechać popełnienia świętokradztwa, ale w tym momencie, stojąc

za wieżyczką, dostrzegł opata w towarzystwie kobiety, która otworzyła

mu drzwi. Nie wyglądali na osoby, które próbują się ukrywać. Wręcz

przeciwnie, stary Koster podążał z rękami założonymi na plecach, a

kobieta rozprawiała żywo z uśmiechem na ustach. Otoczyli stawek,

przeięli ogród i znikli w krążgankach prowadzących do jednego z

budynków. Widząc to, Johannes przerzucił linę na drugą stronę muru i

opuścił się cicho. Przekradając się od drzewa do drzewa, od ściany do

ściany, dotarł do miejsca, do którego chwilę wcześniej weszli jego mistrz

i towarzyska mistrza. Zgięty wpół podszedł do parapetu okna i zajrzał

ostrożnie, chowając się za roślinami. Oczom jego ukazała się

niewiarygodna wprost scena.

Pomieszczenie urządzone było w sposób przypominający salę

kopistów w mennicy zarządzanej przez jego ojca. Tyle tylko, że zamiast

brodatych, statecznych mężczyzn pracowały w nim pełne wdzięku,

uśmiechnięte kobiety, pochylone nad ogromnymi, pięknymi księgami.

Jego zaskoczenie było jeszcze większe, kiedy zobaczył, że litery nie

wychodzą spod piór kopistek, ale spod tablic złożonych z małych,

wyrzeźbio-

nych w drewnie liter. Litery były dokładnie takie jak ta, którą znalazł

w celi mistrza! Cały alfabet wyryto na oddzielnych, wymiennalnych

klockach. Używając różnych elementów, Koster składał w ramkach

słowa, tworząc w ten sposób stronice w lustrzanym odbiciu. Ze swojej

kryjówki Johannes mógł obserwować cały proces. Kiedy ramki

zawierające przyszłe strony książki były gotowe, jedna z kobiet

rozprowadzała na powierzchni liter farbę zwiniętą w kulkę szmatką.

Następnie przenosiła posmarowaną ramkę do prasy, rozpościerała na niej

papier, po czym trzy kobiety wspólnymi siłami uruchamiały dźwignię. Na

rozkaz Kostera podnosiły stempel i jak za magicznym zaklęciem

wyjmowały zadrukowany papier. Proces nie różnił się praktycznie od

procesu bicia monet; je też można by pokryć farbą, papierem, a potem

odcisnąć.

Gutenberg, zobaczywszy gotową stronę, musiał się dosłownie ugryźć

w język, żeby nie krzyknąć. Skulony, przytrzymywał dłońmi stopy, żeby

nie wskoczyć do warsztatu przez okno. Nikt nie miałby wątpliwości,

pomyślał Johannes, że to prawdziwy sabat czarownic. Pod habitem

Kostera musiał się ukrywać sam Szatan. Czymże były te księgi, jeśli nie

dziełem Złego, wielokrotnie potępianym przez Ojców Kościoła! Te

ogromne, ozdobne woluminy były zapewne zakazaną spuścizną

heretyckich beginek. Czuł, że spod diabelskiej prasy wychodzą wersety

Hadewijch z Antwerpii, Heilwige Bloemart czy Matyldy z Magdeburga.

Nie miał żadnych wątpliwości, że te córki zła usiłują rozpowszechniać

dzieła Marii z Oignes, Lutgardy z Tongeren, Julianny z Cornillon,

Beatrice z Nazaretu i oczywiście Małgorzaty Porete.

Gutenberg był przekonany, że Bóg przywiódł go do tego miejsca,

żeby spełnił swoją misję. Owa pewność pozwoliła mu wyzbyć się strachu

przed profanacją, choć pozostał w ukryciu jak złodziej, szpiegując grupę

kobiet. Zrobiło się późno, ale

był gotów trwać na swoim miejscu, aż Koster i jego

pomocnice

zakończą pracę, nawet gdyby miał tam tkwić do świtu.

Nie musiał jednak czekać tak długo. Kiedy wydrukowano ostatnią

stronę książki, mnich pożegnał się krótko, acz serdecznie, wyszedł z

warsztatu i w towarzystwie tej samej kobiety, która otworzyła mu

wcześniej drzwi, opuścił *h ofe*. Kobiety sprzątnęły warsztat,

uporządkowały strony i powiesiły je na sznurze jak ubranie,

pozostawiając do wyschnięcia. Zrobiwszy to, zdmuchnęły świece i

również opuściły pomieszczenie. Johannes odczekał odpowiednią chwilę,

a gdy już się upewnił, że nikogo na zewnątrz nie ma, pchnął skrzydła

okna i cicho jak kot wślizgnął się do środka.

21

Obszedł dokoła warsztat, oświetlony jedynie blaskiem księżycy w

pełni wpadającym przez okno. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do

ciemności, dzięki swojej wyjątkowej pamięci orientował się doskonale w

przestrzeni i był w stanie zidentyfikować wszystkie najdrobniejsze

szczegóły, które zaobserwował, zaglądając ukradkiem do środka.

Johannes wiedział, czego szuka; na jednym z wielkich blatów przy prasie

leżał spokojnie w długim pudełku kompletny zestaw drewnianych

klocków, takich jak ten, który znalazł w celi Kostera, zawierający

wszystkie litery alfabetu i liczby od 0 do 9. Postanowił upewnić się też co

do swoich podejrzeń dotyczących tytułów ksiąg
piętrzących się na
półkach.

Jakież było jego zdziwienie, kiedy zobaczył, że zamiast
zakazanych

utworów Małgorzaty Porete, heretyckich wersetów
Hadewijch z

Antwerpii czy innych, objętych ekskomuniką dzieł, których
nie

brakowało w nieczystej tradycji beginek,

trzyma w dłoniach przepiękny egzemplarz *Grammatica
Lati-na*.

Nerwowo przejrzał pozostałe tytuły: wszystkie były
świętymi księgami.

Pełen podziwu oglądał *Biblia Pauperum*. Ko-sterowi,
wybitnemu

rytownikowi, udało się połączyć sztukę ksylografii z
kaligrafią; *Biblia*

Pauperum z jego prasy ukazywała sekwencję obrazów ze

Starego

Testamentu zapowiadających nadejście Mesjasza i sceny z życia Jezusa

Chrystusa ilustrujące słowa proroków. To nie była księga z ilustracjami,

tylko ciąg scen z krótkimi przypowieściami umieszczonymi w ten

sposób, że poszczególne słowa wydawały się wychodzić z ust różnych

postaci. *Biblia Pauperum* miała pomóc każdemu, nawet tym, którzy

czytali z trudem, zrozumieć treść przekazu.

Znajdował się tam też egzemplarz skróconej wersji *Ars Moriendi*,

składający się z szeregu zaleceń dla chrześcijanina chcącego dostąpić

godnej śmierci. Podobnie jak *Biblia Pauperum*, księga ta składała się z

jedenastu rycin: pięć pierwszych ukazywało Szatana pod

postać

różnych pokus, a kolejne ilustrowały sposoby pozwalające się przed nimi

bronić. Ostatnia ilustracja przedstawiała człowieka na łożu śmierci,

obojętnego na pokusy zła, którego Bóg przyjmował na swe łono, podczas

gdy inkuby i sukuby czmychały do piekła. W owych czasach była to

jedna z ksiąg o ogromnym oddziaływaniu, została zresztą przetłumaczona

na wiele języków europejskich. Ta była wersją niderlandzką.

Księga, która przed chwilą opuściła prasę i której strony, jeszcze

mokre, nadal wisały na sznurze jak suszące się ubrania, nosiła tytułów

Memorandi i miała, zgodnie z tytułem, kształcić w sztuce zapamiętywania Biblii. W prosty i zwięzły sposób

streszczała na

trzydziestu stronach, piętnastu ilustrowanych i piętnastu z tekstami,

kolejne sceny i fakty opowiadane przez apostołów. Koster posługiwał się

Ars Memorandi, nauczając seminarzystów.

Johannes był przekonany, że warsztat ukryty w kobiecej twierdzy

musi kryć w sobie coś mrocznego. Tak długo myszkował po wszystkich

kątach, aż dojrzał w półmroku słowo *Speculum*, stanowiące część

jakiegoś tytułu. Oto dowód herezji, pomyślał. Z pewnością to nic innego

jak *Zwierciadło dusz prostych*, w dodatku, jakby profanacji nie było

dosyć, przetłumaczone na łacinę, na wzór świętych dzieł. Jednak kiedy

zbliżył księgę do oczu, odkrył niemal z rozczarowaniem,

że jest to

Speculum Humanae Salvationis, wybitny anonim z XIV wieku, który

naonczas był wśród duchowieństwa najczęściej czytany po Biblii

dziełem. Był to w rzeczywistości praktyczny podręcznik, dający

wskazówki, w jaki sposób osiągnąć zbawienie duszy, napisany w prosty i

zrozumiały sposób, daleki od skomplikowanych klasycznych rozpraw

teologicznych.

Johannesowi udało się przekonać samego siebie, że nie kieruje nim

nikczemna chęć skradzenia Kosterowi kompletu ruchomych liter, tylko

heroiczny cel uwolnienia świata od narzędzia Szatana, służącego

szerzeniu jego dzieła. Jednak odkrycie, że księgi nie mają

z Antychrystem

nie wspólnego, wręcz przeciwnie, pozbawiło go argumentów

uświęcających środki. Szukał ich więc gdzie indziej. Badając w bladym

świetle księżycy jedną z wydrukowanych stron, stwierdził, że jest to

bezsporne fałszerstwo: nie trzeba było sprawdzać pod słońce, aby

stwierdzić, że litery nie zostały wykonane ludzką ręką. Oszustwo było tak

prymitywne, że nie zadano sobie nawet trudu wyrycia litery „m”, do

której podrobienia użyto dwóch liter „n” stojących obok siebie: sztuczka,

którą widać było gołym okiem ze względu na przerwę między literami.

Johannes nie brał nawet pod uwagę, że celem Kostera nie było

podrabianie rękopisu, tylko uproszczenie prac nad kopiowaniem książek.

Z drugiej strony, pomyślał, użyta farba nie wydaje się najodpowiedniejsza do wyrzeźbionych klocków: zanim nałożono papier, została wchłonięta przez drewno i wydruk był słaby,

nierówny jak zużyta pieczęć. Ponadto litery były przesadnie duże, co

Johannes przypisywał trudnościom, jakie sprawiało wyrycie w drewnie z

drobiazgową dokładnością wykonanych piórem liter.

Zdecydowany wymierzyć sprawiedliwość, wziął kawałek tkaniny,

ułożył na nim zestaw liter, wydrukowane kartki, słoiczek farby i zawiązał

w tobołek. Zarzucił zawiniątko na ramię, spojrzął na prasę po raz ostatni,

aby zapamiętać każdy szczegół, i wyszedł przez to samo okno, przez

które dostał się do środka. Wydostawszy się na zewnątrz, przebiegł przez

ogród i odetchnął z ulgą, widząc sznur wiszący na ścianie. Wspiął się po

nim na mur i opuścił *hofs* ze swoim cennym łupem.

Gnając jak na złamanie karku uliczkami Haarlemu, Gutenberg

obawiał się, że ktoś go może pomylić ze zwykłym złodziejem.¹⁰

Zanim nastał świt, Gutenberg, nie żegnając się z mistrzem, wyruszył

w drogę powrotną do Strasburga. Usprawiedliwiając sam przed sobą

kradzież zestawu liter, utwierdzał się w przekonaniu, że Laurens Koster

nie jest godnym szacunku mnichem, jak by się mogło wydawać, tylko

heretykiem w przebraniu duchownego. Jedynie sojusznik Złego mógł

wejść do gniazda wiedźm i wykorzystać je do praktykowania

10 Hadrianus Junius w swoim dziele *Batavia*, opublikowanym

pośmiertnie w 1568 roku, wspomina o kradzieży zestawu liter z

warsztatu Kostera pod koniec 1441 roku i przypisuje ją uczniowi

Kostera imieniem Johannes.

czarnej magii. Nie miało znaczenia, że księgi, które widział w

warsztacie, nie tylko nie były bluźniercze, ale wręcz przeciwnie,

stanowiły część kanonu Świętego Cesarstwa. Musiał w tym być jakiś

podstęp, myślał Johannes, inaczej bowiem z jakiego powodu Koster

czynił to potajemnie w *hojjeł* Niemniej dyskrecję, którą tak chętnie

potępiał u opata, w swoim własnym śledztwie uważał za uzasadnioną. To,

co w swoim przypadku miał za dalekowzroczną przezorność, u mistrza

brał za spiskowanie i knowania.

Laurens Koster, pędząc przez lata świeckie życie, zanim przywdział

habit, nauczył się, że na przekór temu, co zwykle się mówić, kobiety są

znacznie bardziej powściągliwe i godne zaufania niż mężczyźni, a

sposób, w jaki uczeń z Moguncji odplacił mu za jego nauki i gościnność,

utwierdził go tylko w tym przekonaniu. Kobiety nie tylko potrafiły

dochować tajemnicy, ale zazwyczaj były też dużo bardziej pracowite,

odpowiedzialne i skrupulatne w wykonywaniu nawet tych zawodów,

które były zarezerwowane dla mężczyzn. Sam Johannes powinien

wiedzieć to lepiej niż ktokolwiek inny, jego matka bowiem była

najbliższym i najbardziej wymownym tego przykładem. Gutenberg

jednakże, próbując zmniejszyć swoje poczucie winy i oczyścić sumienie,

usiłował oczernić swojego mistrza.

Johannes uczepił się kurczowo skarbu, wydartego podstępnie

Kosterowi, jakby uwolnił ludzkość od wiszącej nad nią groźby. Po

powrocie do Strasburga wrócił do pracy w magistracie. Wszystkie

techniki, jakich się nauczył od starego rytownika z Haarlemu, znalazły

odzwierciedlenie w jego nowych rycinach, pod którymi zamieszczał teraz

teksty, a których delikatna faktura wydawała się nakreślona piórem

wyśmienitych kaligrafów. Burmistrz Strasburga, zachwycony pracami

Gutenberga, wieszował sobie decyzji o wysłaniu

Johannesa na naukę do Niderlandów. Nie wiedział jednak, że prace

wykonywane przez Johannesa potajemnie w domowym

zaczyszu są

znacznie bardziej zadziwiająca niż jego ryciny.

Gutenberg szybko odkrył niedoskonałości techniki druku książek

Kostera. Po pierwsze, farba, choć nieco gęstsza niż atrament stosowany w

ręcznym piśmie, nie miała konsystencji wystarczającej do

odwzorowywania subtelnej kaligrafii. Po drugie, po drobiazgowym

zbadaniu klocków stwierdził, że bez względu na twardość drewna, w

którym je wyrzeźbiono, narażone są na nadmierne zużycie: siła docisku

prasy powodowała lekkie rysy i spłaszczenia, które z czasem

zniekształcały litery. Ponadto zauważył, że pomimo umieszczenia ich w

ramie elementy nie dają się do końca wyrównać. Aby rozwiązać ten

problem, Gutenberg opracował prosty, acz skuteczny sposób: w

bocznych ściankach czcionek zrobił otwory, przez które przeciągnął

napiętą nić, tak że wszystkie wyryte litery zostały ustawione w jednym

rzędzie. Wtedy pojawiła się kolejna trudność: prawy margines. Sztuka

mistrzowskiego rozłożenia liter i słów, umożliwiająca wyśrodkowanie

tekstu dokładnie między obydwoma marginesami była jednym z tajników

rzemiosła kopistów. Ale ruchome części sprawiały pewną trudność:

ponieważ wszystkie drewniane klocki były tej samej wielkości, odległość

między literami nigdy się nie zmieniała, co sprawiało, że ostatnie słowa

każdego wiersza nie kończyły się równo wzdłuż prawego marginesu.

Johannes znalazł rozwiązanie: wyrzeźbił małe ślepe klocki różnej

wielkości i, niezauważalnie dla oka, uzupełniał nimi odstępy między

literami, słowami i znakami interpunkcyjnymi, tak że tekst pomiędzy

marginesami pozostawał wyjustowany.

Co więcej, wszystkie znaki przedstawiające tę samą literę były

identyczne, szczególnie niepozbawiony znaczenia, zdradzający falsyfikat.

Nie trzeba być znawcą ksiąg, aby dostrzec

w tym fałszerstwo. Poza tym, niezależnie od wad, które można dość

łatwo usunąć, tworząc litery nieznacznie różniące się od siebie, było coś

w całym systemie Kostera, co nie do końca przekonywało: niderlandzki

grawer nie potrafił wyjść poza wąskie granice ksylografii

i rytownictwa.

Johannes uznał, że trzeba pójść o krok dalej. Ale w jakim kierunku?

Ksylografia stanowiła niewątpliwy postęp ułatwiający pracę przy

odbitkach, niemniej, zdaniem Gutenberga, było to zarówno jej zaletą, jak

i wadą. Doszedł do wniosku, że drukowanie ksiąg doskonałych będzie

możliwe tylko po odrzuceniu technik ksylograficznych i oswobodzeniu

się z więzów drzeworytu. Wiedział zresztą, że Koster i on nie są jedynymi

ludźmi, którzy zmierzają do tego celu. Wśród kopistów magistratu

krążyła pogłoska, która dotarła do jego uszu, że Maso Finiguerra z Italii,

złotnik stosujący technikę *niello*, pracuje nad metodą wycinania rylcem

rowków w miedzi, co pozwala na dokładniejsze odwzorowanie obrazu.

Jego ryciny w baptysterium we Florencji były, jak twierdzili ci, którzy je

widzieli, wprost niezwykle, a jego dzieła *Ukrzyżowanie*, *Pax* i *Koronacja*

Najświętszej Marii Panny przewyższały jakością wszystkie drzeworyty.

Drzeworyt zaprowadził Koster do ksiąg blokowych, ze stronami

odbijanymi z jednego klocka, a następnie do pojedynczych ruchomych

czcionek, więc Gutenberg musiał się spieszyć, żeby włoscy złotnicy nie

prześcignęli go w przejściu z techniki miedziorytu do druku z

zastosowaniem metalowych blach.

Mówiło się między rytownikami, że pewien złotnik z Pragi, Prokope

Waldfoghel, wymyślił nową technikę, którą nazwał *Art Scribendi*

artificialiter, czyli sztuką pisania sztucznym pismem. Dzięki tej metodzie

udało mu się doskonale podrobić wygląd rękopisu za pomocą liter

wyrytych z metalu.

I jakby tego wszystkiego było mało, żeby wzbudzić niepokój

Gutenberga, kiedy wypytywał swoich kolegów w innych krajach o ich

dokonania, dowiedział się, że niejaki Panfilo Castaldi pracuje w

Mediolanie nad rozwojem metod druku, jakie Wenecjanin Marco Polo

opisał w kronikach z podróży po Chinach. Na podstawie jego relacji

Castaldi zaprojektował pieczęcie ze słynnego szkła z Murano. Każda z

nich zawierała jedną literę alfabetu, a ułożone w odpowiedni sposób, two-

rzyły różne znaki, słowa, linie, a nawet całe strony. Ułatwiając sobie

pracę, wpadł na pomysł wykorzystania prasy. Jednak Johannesowi

wydało się mało prawdopodobne, żeby szkło wytrzymało jej nacisk.

Postanowił to sprawdzić, poddając naciskowi zbliżonemu do nacisku

stosowanego przy tłoczeniu oliwy z oliwek ustawioną pionowo zwykłą

butelkę po winie. Wynik testu był zaskakujący: szkło wytrzymało dużo

większy nacisk niż drewno.

Gutenberg wiedział, że jeśli chce utrzymać się w czołówce, musi

rozpocząć pracę bezzwłocznie.

23

Wierne pradawnemu zwyczajowi, wywodzącemu się z prostytucji

rytualnej, służebnice Kosza Najświętszego nigdy nie rozbierały się przed

klientami. Zamiast zdejmować odzienie, przyoblekały się w

ceremonialne szaty i przyozdabiały klejnotami noszonymi przez

jawnogrzesznice w świątyniach babilońskich. Egzotyczny przyodziewek

był jedną z głównych atrakcji zamtuza. Zazwyczaj kobiety zjawiały się w

alkowie, gdzie na łożu oczekiwali klienci, owinięte w zwyczajowe

kaunakes, które spowijało ramiona i ręce, oplatało tors i spadało z pleców

niczym peleryna. Czasami nosiły też klasyczną

zwiewną tunikę z gazy. Prostokątny pas materiału, zakładany przez

głowę, podtrzymywały poduchy ukryte wśród fałd.

Na oczach przygodnego kochanka, stojąc przy łóżku, zdejmowały

tunikę, odkrywając kształty obleczone w skórę antylopy. Dopasowane

stroje miały otwory w górnej części, przez które wystawały piersi lub

jedynie sutki; w okolicach krocza widniało długie pęknięcie, zaczynające

się na wysokości łechtaczki i biegnące przez całą długość półkolistej

granicy, oddzielającej pośladki. Skórzany strój był tak cienki i miękki, że

powielał mięśnie, krągłości i dołeczki, a nawet najdrobniejsze włókna.

Mógł być czerwony, połyskliwie czarny, a nawet cielisty. Tekstura

skórzanego kostiumu, nad wyraz delikatna, niejednokrotnie kazała

klientom myśleć, że kobiety są zupełnie nagie. W innych przypadkach

przeciwnie, skóra antylopy była bogato zdobiona metalowymi

elementami, a złote sznury i ozdoby z brązu otaczały szyje, ramiona i

kostki kobiet. Skóra bywała też zdobiona pawimi piórami lub łuskami

układającymi się w kształt węża pełzającego w kierunku genitaliów.

Kolejnym kostiumem był sumeryjski *kaunakes*, uwypuklający zadki

rodzajem pompona, z wygarbowanej koziej skóry wypełnionej bawełną,

który mocowano wokół bioder za pomocą szerokiego czarnego pasa,

ozdobionego błyszczącymi metalowymi detalami.

Kobiety nosiły włosy przewiązane złotymi wstążkami lub czepce

przypięte ostrymi agrafami. Z płatków ich uszu zwisały do ramion

kolczyki w kształcie półksiężyca lub kół. Wchodziły do alkowy z twarzą

ukrytą pod woalką, zgodnie z wymogami prawa babilońskiego. Ale kiedy

rytuał się rozpoczynał, zarzucały go sobie na głowę, żeby mieć wolne usta

i odsłonięte uważne oczy, zawsze wpatrzone w mężczyznę. Przy

specjalnych okazjach ubierały się jak mniszki w chrześcijańskich

klasztarach klauzurowych, mając jednak pod habirem obcisły kostium ze

skóry antylopy.

- Dobra nierządnicą musi się nauczyć, jak pozostać nieczułą na uroki

rozkoszy - powtarzała często Ulva niedoświadczonym córkom, które

oblewały się rumieńcem przed imponującym posągiem Priapa. Skoro

zwykła rzeźba wywoływała u nich takie podniecenie, wiele z nich

zastanawiało się, czy będą w stanie nie ulec przyjemności w kontakcie z

człowiekiem z krwi i kości.

- Po pierwsze, musicie wiedzieć, że ciałem mężczyźni zostali

obdarzeni równie niesprawiedliwie, jak świat bogactwem. Te części,

które powinny opływać w dostatek, cierpią na niedobór - mówiła Ulva,

wskazując monumentalny członek boga pożądania - a te, które powinien

cechować umiar, mają wszystkiego za dużo - dodawała, wskazując

umięśniony brzuch figury.

Żeby zobrazować tę tezę, polecała dziewczętom, by wychyliły się

przez okno na ulicę, pełną o tej porze przechodniów kręcących się między

straganami, i przyjrzały mężczyznom. Wszyscy byli albo starzy i otyli,

albo przeciwnie, wyglądali mizernie, prawie chorobliwie. Nie brakowało

też chromych, kalekich i obszarpanych.

- Zapewniam was, że choćbyście stały tu godzinami, nie tylko nie

zobaczycie waszego adonisa, ale trudno wam nawet będzie znaleźć

jednego wartego zaciągnięcia do łóżka. A jeśli jakimś cudem go ujrzycie,

zapewniam was, że nie będzie skłonny płacić za coś, co może dostać za

darmo.

Obserwując przechodniów, młode praktykantki mogły się przekonać,

że tak jak twierdziła matka nierządnic, żaden nie budzi w nich ani krzty

pożądania. Rodziło to w nich dwa sprzeczne uczucia: po pierwsze,

niepokój na myśl o tym, jak bardzo niewdzięczna może się okazać ich

praca, a po drugie, obawę, że na zasadzie przeciwieństwa, jeśli

kiedykolwiek zdarzy im się przyjąć przystojnego młodego człowieka, nie

zdolają uniknąć pokusy oddania się przyjemności. Niepokój ten

powodowały pogłoski szerzące się wśród początkujących nierządnic.

Mówiło się, że niewiasty, które nie były w stanie pohamować swoich

żądź, w obawie, że mogłyby uciec z jakimś klientem, poddawano ablacji

łechtaczki, jedyne go narzędzie rozkoszy, jaki posiadała istota ludzka.

Opowieści te nie były zupełnie bezpodstawne. Stary obraz, dekorujący

pokoje Ulvy, przedstawiał akt powstania, być może mityczny,

Kongregacji Kosza Najświętszego.

Był to obraz świecki, na którym widniała grupa kobiet otaczająca

nowo narodzoną dziewczynkę. Analogia do licznych przedstawień

obrzezania Chrystusa była ewidentna, tyle że zamiast Dzieciątka Jezus

namalowano na nim dziewczynkę, na miejscu Maryi inną, równie młodą

kobietę, a tam, gdzie normalnie stał Józef, widniała stara kobieta,

trzymająca zakrwawiony nóż, a u jej stóp leżał kosz, do którego wrzuciła

dopiero co wycięty maleńki organ. Wszystkie kobiety nosiły białe, niemal

przezroczyste tuniki, a miejsce, w którym rozgrywała się scena, niewiele

mające wspólnego z atmosferą świętości, przypominało jeden z

legendarnych babilońskich ogrodów, w których uprawiano kult Isztar.

Tak naprawdę nie praktykowano już klitoridektomii. Zastąpiono ją

rytualną ceremonią, w której trakcie wycinano ostrym skalpelem znak,

który po zabliźnieniu się lub odpadnięciu strupa świadczył o

przynależności nowo narodzonej dziewczynki do sekty. Historia

Kongregacji Świętego Kosza miała swoje korzenie w Babilonie i sięgała

tysiąc osiemsetnego roku przed narodzeniem Chrystusa. Po Moguncji

krążyła czarna legenda związana z tym osobliwym przybytkiem rozpusty:

wszyscy wiedzieli, że w jego murach mieszkają staruszki, młode kobiety,

dziewczynki, a nawet niemowlęta. Wiele razy można było usłyszeć

piskliwy płacz noworodków. I było

też wiadomo, że wszystkie mieszkanki zgromadzenia, niezależnie od

wieku, są kobietami. Jak we wszystkich lupanarach, podopieczne czasami

zachodziły w ciążę. Tylko jak to możliwe, żeby w zamtuzie

prowadzonym przez Ulwę rodziły się same dziewczynki? Niektórzy

twierdzili, że dzieci płci męskiej kobiety zabijają, gdy tylko opuszczą one

łono matki. Pogłoska ta również nie była pozbawiona podstaw: w jednej z

sal wisiał inny obraz, z jasną analogią do obrazów przedstawiających rzeź

niewiniątek, na którym widniała grupa kobiet, ta sama, jaką

przedstawiono na „obrzezaniu”, zabijająca noworodka. Najstarsza z

kobiet trzymała maleństwo za szyję i, z podobnym zamiarem jak Herod,

przebijała mieczem jego pierś.

Ile prawdy przedstawiał ten obraz? To samo niewypowiedziane

pytanie zadawały sobie młode uczennice Ulvy.

24

Zygfryd z Moguncji, stojąc na podwyższeniu w blasku słońca

wpadającego przez okna sali, w której odbywał się proces, umiejętnie

pobudzał emocje sędziów. Wiedział, jakimi argumentami przywołać na

ich oblicza ponury wyraz oburzenia, jak pozostawić ich z ustami

otwartymi ze zdumienia czy wywołać głucho westchnienia z trudem

hamowanej wściekłości. Wiedział, że nic nie przyniesie lepszego

rezultatu niż przedstawienie Johannes'a Gutenberga jako szalbierza, który

pod osłoną Boga i Pisma Świętego usiłował oszukać bogobojnych

chrześcijan, aby się wzbogacić. Fakt, że sędziowie byli najwyższej rangi

duchownymi, ułatwiał oskarżycielowi sprowadzenie oskarżenia na

właściwe tory. W swoim kącie, po jednej stronie sędziów, znacznie

poniżej podwyższenia, na ciemnym drugim planie, notariusz Ulrich

Helmasperger kontynuował

niewdzięczne zadanie zapisywania każdego słowa wypowiedzianego

przez Zygryda z Moguncji.

- Ekszelencje! Kimże jest w rzeczywistości ten człowiek? Azali jest

on synem szanowanego i uczciwego urzędnika, który mając w zasięgu

ręki wszystkie skarby miasta, w całym swoim życiu nie tknął ani grosza z

tego, co do niego nie należało, czy też, odwrotnie, jest może jego

niewiernym uczniem, który studiował sztuki piękne, żeby

uczynić z nich

sztuki nikczemne, złe? Jestli pobożnym człowiekiem, który stara się was

przekonać, iż zamiarem jego było szerzyć Słowo Boże, czy nędznikiem

pomnażającym Biblię z pomocą odrażających szponów Złego?

Słuchając pytań oskarżyciela, Gutenberg nie mógł się pozbyć

wrażenia, że chociaż Zygfyrd z Moguncji patrzy na sędziów, w

rzeczywistości zwraca się do niego.

Gutenberg miał dwie różne twarze: jedną publiczną, twarz urzędnika

magistratu, ukazującą utalentowanego, miłego i skromnego rytownika.

Ci, którzy znali starego Frielego, przekonani byli, że widzą w jego

dziecku najwierniejszy portret ojca. Ukryta twarz

Gutenberg była

wszakże dokładnym przeciwieństwem tej, którą demonstrował światu: za

każdym razem, kiedy potakiwał uniżenie, z pokorą, jego druga strona

przeczyła z irytacją; kiedy okazywał uprzejme zainteresowanie

pomysłem jakiegoś kolegi, w widocznym grymasie przebijało się

poczucie wyższości. Kiedy śmiał się uprzejmie, pod jego powiekami

kryły się gorycz i wrogość. Robił wrażenie hojnego i bezinteresownego,

ale na widok pieniędzy intensywny blask bił z jego oczu i dopiero wtedy

ujawniało się jego prawdziwe oblicze. Ale tej drugiej twarzy nikt jeszcze

nie widział. Moneta z wybitymi na awersie i rewersie obiema twarzami

Gutenbergga obracała się na razie w powietrzu. Opatrzność miała

zdecydować, która z nich zdecyduje o jego losie.

Podobnie jak, zgodnie z prawem Archimedesesa, dwa przedmioty nie

mogą zajmować tej samej przestrzeni, było niemożliwością, żeby dwie

dusze mogły współistnieć w jednym ciele. Niepowstrzymana dwoistość

natury przepełni wkrótce duszę Gutenbergga, który wykona pierwszy krok

na drodze ku własnemu okrzykowi „Eureka!”. Miał już swoją przestrzeń

publiczną, powszechnie znaną, w magistracie, oraz przestronny warsztat,

gdzie wykonywał najpiękniejsze ryciny w całych Niemczech, teraz

potrzebował innego miejsca, w którym jego ciemna strona mogłaby się

rozwijać swobodnie, realizując potajemne plany. Jego mroczne

zamierzenia potrzebowały oczywiście miejsca na miarę jego aspiracji. Na

kupno warsztatu nie pozwalały mu ograniczone zasoby finansowe.

Zresztą nawet gdyby miał pieniądze, musiałby szukać czegoś z dala od

ludzkich oczu. Warsztat rytowniczy zostałby natychmiast zauważony

przez sąsiadów, a tym bardziej przez bezlitosnych poborców

podatkowych. Gutenberg objechał wszystkie zakątki Strasburga, szukając

miejsca odpowiadającego jego potrzebom. Rozczarowany, utwierdził się

w przekonaniu, że w całym mieście nie znajdzie odpowiedniego miejsca.

Podniósł wzrok ku niebu i wtedy niespodziewanie los objawił przed nim

kolejną możliwość. Na granicy dawnej twierdzy wznosiła się wysoka,

spowita mgłą góra. Dzięki złej sławie, którą się cieszyła, stała się dla

niego upragnioną mekką. Johannes nie mógł nie przypisać nagłego

odkrycia boskiemu objawieniu.

Ponure wzniesienie, na które niewielu śmiazków odważało się wspiąć,

znajdowało się na nierównym, pofałdowanym obszarze, co znacznie

utrudniało do niego dostęp. Za zboczem, pokrytym ostrymi kamieniami,

rosły krzaki, których powyginane, wijące się gałęzie zawładnęły

całkowicie terenem przypominającym ruiny starej budowli. W oddali

rysowała

się zielonkawoszara lita skała; na jej szczycie,

odcinającym się na tle

nieba, można się było dopatrzeć wydłużonych kształtów wieży, a poniżej

resztek muru z rzędem łuków. Niemniej równie dobrze można to było

uznać za kaprys natury, co w połączeniu z wyobraźnią patrzącego mogło

stworzyć wrażenie, że ów krajobraz nie został dotknięty ręką człowieka.

Krążyło wiele plotek o tym kamienistym pustkowiu. Mówiło się, że na

samej górze został pochowany mnich Arascach. Zgodnie z legendą

chrześcijański pustelnik przybył do Alzacji i Niemiec w VII wieku jako

misjonarz z Irlandii. Mianowany biskupem Strasburga, naonczas

zwanego Argentoratum, przyjął łacińskie imię Arbogast. Po śmierci,

zgodnie ze swoją wolą, został pochowany na górze, na której grzebano

włóczęgów, o których ciała nikt się nie

upominał.

Zgodnie z tradycją na grobie świętego wzniesiono klasztor poświęcony jego pamięci. Jednak w tysiąc dwieście dziewięćdziesiątym

ósmym roku pożar, który wybuchł w małej wiosce położonej na stoku

góry, zmiotł go z powierzchni ziemi. Płomienie szybko rozprzestrzeniły

się po wyschniętych na wiór po długiej suszy badyłach i dotarły do

zachodniego skrzydła opactwa, z którego pozostały tylko zgliszcza. Kilka

lat później, kiedy klasztor został odbudowany, surowy klimat ponownie

dał się we znaki świętemu Arbogastowi; tym razem winna

nie była susza,

lecz przeciwnie, obfite deszcze, które spadły jak potop
dokładnie w

chwili, kiedy murarze kładli ostatnie karpiówki.
Spowodowało to

obsunięcie terenu i błotną lawinę, która pogrzebała
klasztor na zawsze.

Niezależnie od wiarygodności tych opowieści,
niewyraźne kształty

rysujące się u podnóża góry zwane były ruinami Świętego
Arbogasta, a

samo ich wspomnienie budziło nabożny strach. Krążyły
też niezliczone

legandy o duchach. Wielu

twierdziło, że słyszeli w tym lesie karłowatych zarośli
krzyki i

błagania wisielców, proszących świętego, żeby zlitował
się nad ich

duszami. Inni mówili, że widzieli upiorne szubienice, z

których zwisały

poranione ciała, wątłym głosem błagające przechodzących o ratunek. Nie

brakowało i takich, którzy zapewniali o straszliwym duchu świętego

Arbogasta, który snuł się pod łukami starego klasztoru, grożąc płonącym

pastorałem każdemu, kto śmiałby zakłócić wieczny spoczynek

pustelnika.

Johannes Gutenberg, biegły w sprawach nauki i wiary, nigdy nie

pochwalał zabobonów pogan i bałwochwalców. Niemniej zdawał sobie

sprawę, że większość ludzi, niezależnie od tego, za jak pobożnych i

religijnych się uważa, w głębi duszy daje wiarę odwiecznym przesądom:

duchy, czary, kabały, nekromancja i okultyzm wzbudzały

przerażenie w

umysłach większości śmiertelników. Gutenberg wiedział, że Kościół,

daleki od zwalczania obskurantyzmu kagankiem oświaty, wykorzystuje

łatwowierność kosztem prawdziwej wiary. Jakkolwiek jest, myślał

Johannes, jeśli opowieści o duchach trzymają ludzi z dala od ruin

Świętego Arbogasta, ponure, urwiste wzgórze jest doskonałym miejscem

gwarantującym całkowitą prywatność.

Pewnego wieczoru o zachodzie słońca Gutenberg upewniwszy się, że

żaden chłop z pobliskich zagród nie zauważył, jak zagłębia się w ów teren

z pasterskim kijem i lampą oliwną w ręku, postanowił wspiąć się na

wzgórze i przekonać na własne oczy, czym są w

rzeczywistości

tajemnicze ruiny. Zgodnie z jego przewidywaniami w miarę jak szedł,

wspinaczka stawała się coraz trudniejsza, bowiem ostre krawędzie skał

wbijały mu się w podeszwy butów, kalecząc stopy. Kiedy wreszcie

pokonał kamienisty odcinek, okazało się, że zielone chaszczki czynią

wspinaczkę jeszcze uciążliwszą.

Przypominające włosy Meduzy gałęzie pełzały jak węże we

wszystkich kierunkach, oplatając wszystko, co stało im na drodze.

Poskręcane łodygi najeżone były cierniami. Wiatr był wysoko w

koronach drzew. Słońce zaszło za poszarpany wzgórzami horyzont,

pozostawiwszy po sobie fioletową smugę, stapiającą się

w jedno z

ciężkimi, ciemnymi, groźnymi chmurami.

Kiedy Johannes docierał na szczyt, światło dało za
wygraną. Słaby

płomień lampy, kołysząc się, wywoływał wśród gałęzi
niesamowite

efekty; tętnu Gutenberga udzielało się niepewne drzenie
cieni. Nagle

wszystko wydawało się ożywać siłami niezgodnymi z
naturą, jakby

delikatne

ruchy

gałęzi

nie

były

spowodowane

wiatrem.

Niewypowiedziana trwoga zagnieździła się w gardle
Johannesa. Nogi

plątały się w pełzających gałęziach, które jak długie,
zdeformowane

ramiona obdarzone własnym życiem próbowały
powstrzymać

niechcianego gościa przed zagłębianiem się w las. Tętno
Gutenberga

uderzało jak oszalone, a powodem nie była tylko
wspinaczka. Zaczynał go

ogarniać strach. Próbował odnaleźć spokój ducha,
tłumacząc sobie, że

jego nastawienie wypływa z zasłyszanych historii,
krążących o tym

miejscu. Nagle potknął się o coś wystającego z liści i
mimo iż próbował

podeprzeć się laską, stracił równowagę i zaczął się
staczać w przepaść.

Przez chwilę bał się, że spadnie w otchłań, ale coś
chwyciło go za ubranie

i zatrzymało w pół drogi.

Kiedy się obejrzał, żeby zobaczyć, co Opatrzność postawiła na jego

drodze, serce mu stanęło: była to ręka. Biała, zimna, trupia. Próbował

usiąść i odsunąć się od tego czegoś trzymającego go za połą, ale palce

zaciskały się tak mocno, że nie mógł się uwolnić. Jak owad próbujący

wyplątać się z pajęczyny, Johannes z każdym ruchem coraz bardziej

komplikował swoje położenie: ręce zaplątywały mu się w gałęzie, a spod

nóg, którymi wierzgał rozpaczliwie, usuwał mu się grunt.

Nagle przez gąszcz dojrzał twarz, która dosłownie wynurzyła się z

ziemi i wpatrywała w niego marrwymi, zaszłymi bielmem oczami,

pozbawionymi tęczówek i źrenic. Twarz miała ten sam

marmurowy

kolor, co ręką trzymająca go za kaftan. Próbował walczyć, wyswobodzić

się z uścisku, waląc na oślep pięściami, ale było to tak, jakby zadawał

ciosy twardej skale. Pogodził się z tym, że czeka go śmierć.

25

Genealogia służebnic Kosza Najświętszego była starsza,
niż mogły to

sobie wyobrazić tworzące zgromadzenie nierządnic. Ich
korzenie ginęły

w tak zamierzchłych czasach, że nawet najstarsze dynastie
nie wybiegały

tak daleko pamięcią. Była to prawdziwa sukcesja rodów.
Ich początki

sięgały zarania Babilonu za panowania Amorytów, kiedy
był on jeszcze

miastem bez znaczenia.

W nędznym zamtuzie na obrzeżach miasta parała się
swoim fachem

grupka wolnych ladacznic zarządzanych przez Shuanę,
najstarszą z

nich. Mały lupanar, sześcian podzielony wysłużonymi
zasłonkami,

pozbawiony innych wygód poza obskurnymi dywanami
pokrywającymi

klepisko, nie różnił się niczym od pozostałych lupanarów
tworzących

nieregularny gliniany kordon opasujący nowo powstałe
miasto. W

skromnych klitkach podopieczne Shuanny oferowały seks
handlarzom

świecidełek, pasterzom i mieszkańcom miasta, którzy
odważyli się

zapuścić poza mury, gdzie rozciągały się siedliska nędzy,
zamieszkane

przez złodziei i bandytów najgorszego rodzaju.

Sytuacja małego lupanaru, podobnie jak innych, była
bardzo

niepewna; jego los zależał od nastawienia
pośledniejszych

urzędników będących u władzy: bez najmniejszego
powodu licha

chatynka pewnego pięknego dnia mogła zostać zrównana z ziemią, a jej

mieszkańki uwięzione. Niekiedy kamienowano też dla przykładu jakąś

starą ladacznicę. Kobiety jednak stopniowo odbudowywały ściany i dach

i bez przeszkód wracały do pracy, aż do następnej zmiany nastroju władz.

Głównym celem rządzących było gromadzenie pieniędzy, którymi

zaspokajali własne zachcianki. Jeśli były nadwyżki, przeznaczano je na

cele publiczne w obawie, że niezadowolenie ludu wzrośnie do tego

stopnia, że ich głowy potoczą się daleko od reszty ciała. Nierządnicze nie

tylko poprawiały samopoczucie mężczyzn, ale też płacąc podatki,

pomnażały środki publiczne. W czasach krów tłustych rządzący stawiali

się przykładnymi paladynami moralności i zmiotali z powierzchni ziemi

lupanary, które odbierały miastu splendor. Ale gdy krowy zaczynały

chudnąć i trzeba było ściągać daniny skądkolwiek się dało, poborcy

podatkowi zapominali o wstydzie i pukali do drzwi lupanarów po

bezbożny haracz.

Pierwsza babilońska dynastia, założona przez Sumuabuma,

postanowiła pogodzić dwa antagonistyczne elementy. W celu uniknięcia

konfliktów moralnych nie tylko zalegalizowała prostytutkę, ale też

ogłosiła jej święty charakter. Wyprowadziła ladacznicę z nędznych

izdebek, nadała im godność kapłanek i upoważniła do uprawiania seksu w

świątyniach. Shuannie i jej podopiecznym powierzono rolę strażniczek

świątyni Isztar, szybko również stały się ulubienicami arystokracji.

Wraz z nastaniem rządów Hammurabiego prostytucja utrzymała swój

prawny i religijny status, a jej sakralny charakter wyryty został pismem

klinowym w kamieniu węgielnym ku pamięci potomnych; kodeks

Hammurabiego legitymizował prostytucję rytualną.

Coraz liczniejsi wielbiciele kapłanek świątyni Iszrar płacili fortuny,

żeby zaznać rozkoszy i cieszyć się dobrodziejstwami bogini płodności,

życia i miłości. Ale dobrobyt nie miał trwać wiecznie: Isztar była również

boginią wojny. I nadszedł dzień, gdy lud potrzebował opieki swojej

bogini, żeby stawić czoło najeźdźcom.

Po śmierci Hammurabiego wewnętrzna jedność się rozpadła, a siły

obronne miasta osłabły. Wrogie hordy rozpoczęły oblężenie Babilonu, a

królestwo zostało podzielone między wiele dynastii.

Od północy srożyli się Huryci, od południa Sumerowie, od wschodu

Kasyci, a od zachodu Ariowie. Babilon został upokorzony najpierw przez

Aguma, a następnie przez Mursila II. Zaatakowane, splądrowane, a

następnie spalone miasto przestało istnieć. Nie pozostał kamień na

kamieniu. Z wyjątkiem świątyni Isztar: Shuanna i jej nierządnicze były

jedynymi, które przetrwały inwazję, uszły z życiem, uratowały świątynię

i swoje dobra, nie dysponując inną bronią poza własnymi

ciałami i nie

stosując żadnej innej sztuki walki poza sztuką dawania rozkoszy.

Od tamtej chwili Shuanna i jej rozpustne kapłanki stały się bastionem

Babilonu podczas niezliczonych kolejnych najazdów. Shuanna żyła sto

dziesięć lat, uprawiała zawód do ostatniego dnia i namaściła

następczynię, której przekazała spisane pismem klinowym na glinianych

tabliczkach tajniki sprawiania rozkoszy mężczyznom. Babilon pustoszyli

Asy-ryjczycy, Chaldejczycy, Persowie i Grecy. W końcu miasto zostało

starte z powierzchni ziemi, ale potomkinie Shuanny przetrwały nawet

zniszczenie świątyni Isztar.

Kobiety ruszyły w długą wędrówkę, osiedlając się w

różnych

miastach. Obywały się zawsze bez mężczyzn, których wykorzystywały

jedynie do tego, żeby trwać z pokolenia na

pokolenie. Dziewczęta urodzone w społeczności były wychowywane

zgodnie z dogmatami starej księgi Shuanny. Chłopcy byli porzucani albo

składani w ofierze Isztar lub innym jej wcieleniom: sumeryjskiej Inanie,

armeńskiej Anahicie, kananejskiej i fenickiej Astarte, greckiej Afrodycie

czy egipskiej Izydzie. Potomkinie Shuanny składały ofiary ze swoich

synów tak długo, aż dzięki wiedzy lub czarom zaczęły rodzić tylko dzieci

płci żeńskiej. Nowa tajemna umiejętność uzupełniła księgę,

odziedziczoną po założycielce zgromadzenia, zawierającą

arkana ich

sztuki gromadzone przez kolejne pokolenia.

Przez lata swojej historii, w zależności od różnych okoliczności, były

zwykłymi dziwkami, by zaraz potem stać się kapłankami w świątyniach,

a w pewnym okresie nawet mniszkami dalekimi od prostytucji, ale

zawsze wiernymi nakazom Shuanny. Dokądkolwiek szły, zabierały ze

sobą kruche tablice strzeżone zazdrośnie przed spojrzzeniami wszystkich

spoza sekty. W późniejszym okresie zamieniają gliniane tablice na

pergaminowe zwoje, wyrabiane ze skór zwierzęcych, dużo bardziej

odporne, łatwe do przenoszenia i ukrycia.

Niezliczone pokolenia kobiet, potomkiń założycielek maleńkiego

lupanaru na obrzeżach Babilonu, były prześladowane, uświęcane,

mordowane, upragnione i ponownie czczone. W Grecji były pyłami,

wieszczkami wyroczni, w Pompejach największymi nierządnicami ze

wszystkich pompejariskich nierządnic, w Rzymie dziewczycami

westalkami, odpowiedzialnymi za utrzymanie *ignis fatuus*, dopóki nie

porzuciły swego nieprzydatnego zajęcia, żeby oddać się płomieniom

rozkoszy. W Judei ponownie zostały okrzyknięte nierządnicami, na czele

z Marią Magdaleną. Przyjęły chrześcijaństwo, ale nigdy nie porzuciły

nauk Shuanny. Święty Paweł w swoich listach zwrócił się do nich,

przyznając im status kapłanek.

Były zakonnicami w różnych klasztorach, a nawet osiągnęły

najwyższy splendor w czasie pontyfikatu papieżycy Joanny 11, urodzonej

w Moguncji, która udając mężczyznę, przybrała imię Benedykta III. Od

tego czasu osiadły w Moguncji, gdzie założyły Zgromadzenie Kosza

Najświętszego.

Oto linia sukcesji rodu, założonego w Babilonie w tysiąc osiemsetnym

roku przed Chrystusem, od Shuanny do Ulvy, jej godnej następczyni po

wielu stuleciach, odpowiedzialnej za pilnowanie tajnej księgi i strzeżenie

jej przed wzrokiem ciekawskich, złodziei, a przede wszystkim

morderców.

26

Prokurator zszedł z podium i w milczeniu ruszył wzdłuż długiej

barierki, za którą siedzieli rzędem sędziowie. Mijając ich, obdarzył

każdego spojrzeniem pełnym troski, jakby chciał

11 „Papieżycyca Joanna (Joannes Anglicus) urodziła się w Moguncji, piastowała

urząd papieski przez dwa lata, sześć miesięcy i cztery dni; zmarła w Rzymie,

pozostawiając urząd papieski nieobsadzony przez miesiąc. Udowodniono, że Joanna

była kobietą, która w młodości, przebrana za mężczyznę, pojechała za kochankiem

do Aten. Zdobyła tam wszechstronne wykształcenie w wielu dziedzinach, do tego

stopnia, że nikt nie mógł się z nią równać, a po przyjeździe do Rzymu pogłębiła

swoją wiedzę w zakresie siedmiu sztuk wyzwolonych (*trivium i quadrivium*) i jako

magister siedmiu sztuk wyzwolonych cieszyła się powszechną estymą. Prestiż, jaki

zdobyła wśród Rzymian, sprawił, że wybrali ją na papieża. Sprawując pontyfikat,

zaszła w ciążę. Nie potrafiąc określić czasu porodu, urodziła w trakcie procesji z

Bazyliki św. Piotra do Lateranu, w wąskim zaułku między Koloseum a bazyliką San

Clemente. Mówiono, że po śmierci została pochowana w tym miejscu. Ojciec

Święty zawsze unika tej uliczki, podobno z powodu awersji, jaką czuje do tego

miejsca wskutek owego zdarzenia. Jej imię nie znajduje się w wykazie papieży ze

względu na jej płeć i zszarganie świętości urzędu". Martin de Opava, *Chronicon*

Pontificum et Imperatum.

ich obarczyć odpowiedzialnością za mroczną przyszłość całej

ludzkości. Następnie zbliżył się do więźniów i stojąc przed

Gutenbergiem, zwrócił się do sądu:

- Kim naprawdę jest ten człowiek? Czy jak sam twierdzi, jest ręką

Boga i narzędziem prawdy? Ekscelencje, spieszę wyjaśnić, że oskarżony

będzie obstawał przy stwierdzeniu przemawiającym na jego korzyść,

jakoby jego wynalazek miał na celu jedynie szerzenie Słowa Bożego

wśród prostaczków.

Zygfryd z Moguncji zręcznie pozbawił oskarżonych jedyne

argumentu, którym mogliby się bronić: nie chodziło o fałszerstwo, ale o

nową technikę ułatwiającą wytwarzanie ksiąg. Prokurator

postanowił

zdusić tę dyskusję w załączku.

- Ekscelencje, jeśli tak było, zastanawiam się, dlaczego działali

potajemnie, kryjąc się przed światłem dnia i trzymając swoje haniebne

działania w tajemnicy przed władzami?! Szlachetni mężowie, dowodem

na moje słowa jest niewyobrażalna profanacja, jakiej dopuścił się

oskarżony, wznosząc swoją piekielną świątynię na świętej ziemi

opactwa. Miał czelność wprowadzić Szatana do najświętszego Bożego

przybytku! Jak nazwać, Ekscelencje, taką zbrodnię?

Słowa te przypomniały Gutenbergowi ów dzień, gdy wspiął się na

stromie wzgórze, które wyglądało raczej na domenę diabelską niż boską.

Uwięziony w górskiej rozpadlinie, zauważywszy, że
krwawią mu

kostki, uświadomił sobie, że domniemany nieboszczyk, z
którym się

szarpie, jest zwykłym kamieniem. Nieco później
zorientował się, że ma

do czynienia ze szczątkami obalonego posągu, na wpół
zagrzebanego w

ziemi i zarośniętego chaszczami. Płaszcz Gutenberga
zaczepił o ramię

sterczące z krzaków. Kiedy Johannes ostatecznie
rozpoznał postać

świętego Arbogasta, wybuchnął głośnym śmiechem, w
którym mieszały

się ze sobą ledwie trzymane na wodzy

nerwy i ogromna ulga. Jakimż był głupcem! Jednak euforia
była

krótka.

Gdy tylko udało mu się wydostać spod gruzów starożytnej

rzeźby,

chwycił kaganek i podjął wspinaczkę. Musiał być już blisko szczytu

wzgórza. Nadal wstrząśnięty i nieco oszołomiony, za późno zauważył, że

nie stąpa już po twardym gruncie, tylko po miękkim poszyciu z pnączy.

Próbował się uchwycić wystającej skały, ale robiąc krok w jej kierunku,

usłyszał trzask łamiących się gałęzi i runął w głąb czarnej dziury, która

wydawała się nie mieć dna. Spadając, zaczął

0 gęsto zarośnięte boki studni, co zamortyzowało upadek, kiedy

wreszcie jego ciało uderzyło o twarde, jednolite podłoże, w niczym

nieprzypominające nierównego poszycia lasu.

Obolały, nie mogąc się podnieść, uniósł kaganek nad głowę

1 oczom jego ukazał się makabryczny, niewyobrażalny wprost widok:

wszędzie wałały się kości. Stosy czaszek, żeber, kręgosłupów i trudne do

zidentyfikowania odłamki szkieletów słały się na wilgotnym, pokrytym

pleśnią podłożu. Ten podziemny las przypominał upiorny, piekielny raj, o

ile coś takiego jest w ogóle możliwe: sklepienie z pnączy, lian i jałowca,

jak w ogrodach Edenu, służyło za zielony całun niezliczonym,

zniekształconym przez czas i podziemne bestie ludzkim szczątkom.

Gutenberg, odsunąwszy nogą jakąś czaszkę, która zdawała mu się

przyglądać pustymi oczodołami, a wraz z nią warstwę ziemi, odkrył ze

zdumieniem, że leży na podłodze, wykonanej z płytek ułożonych w

szachownicę. I wtedy rozpoznał to miejsce: znajdował się w dawnym

klasztorze Świętego Arbogasta.

Roślinność całkowicie objęła w posiadanie ruiny starego domu

modlitwy. Johannes podniósł się z trudem i pokuśtykał, torując sobie

drogę przez makabryczne cmentarzysko kości. W istocie, zgodnie z

legendami, które wielokrotnie

słyszał, miejsce to, przed budową klasztoru, w jej trakcie i po

zakończeniu było cmentarzem, w którym spoczywały pochodzące z

różnych okresów szczątki złodziei, włóczęgów, nędzarzy i zakonników.

Gutenberg wywnioskował, że zgodnie z zasadami budowli

cenobitycznej powinien się znajdować na centralnym dziedzińcu.

Zbliżywszy się do czegoś, co wyglądało jak kolumna, potwierdził swoje

przypuszczenia: była to galeria, za którą znajdowały się cele zakonników.

Wszystkie dachy były w ruinie, a karpiówki ustąpiły miejsca naturalnym

pergolom, utworzonym przez współzawodniczące ze sobą bluszcz, dzikie

wino i innego rodzaju pnącza. Tam, gdzie kiedyś musiały być drzwi, teraz

widniały osierocone framugi prowadzące w czarną nicość.

Nie tylko natura pastwiła się nad starym opactwem; wszędzie widać

było liczne ślady grabieży: ludzie, rośliny i zwierzęta następowały po

sobie, pustosząc wszystko, co mogły. Trwoga, która ogarnęła Johanna

na widok tego ponurego miejsca, ustąpiła nagle podnieceniu, w którym

strach mieszał się z budzącą się euforią. Nareszcie znalazł idealne miejsce

dla swoich sekretnych planów. Obszedł zrujnowany klasztor, a jego

twarz, wykrzywiona w szaleńczym grymasie, oświetlona światłem

kaganka, byłaby w stanie przerazić dusze wszystkich zmarłych. Nawet

gdyby jakiś ukryty w kącie niebezpieczny morderca stał się świadkiem tej

sceny, wzięłby nogi za pas: ten kulawy obdartus przechadzający się

wśród szkieletów, wybuchający przeraźliwym śmiechem, budził grozę.

Nie było lepszego miejsca na świecie: Gutenberg miał dla siebie cały

klasztor i mógł w nim zainstalować ogromny warsztat, nieustępujący

samej mennicy. Poza tym Johannes nie mógł nawet marzyć o lepszej

straży niż wojsko obmierzłych czaszek, makabrycznych gargulców

wyzierających spośród liści i gotyckich kolumn, które już od dawna

niczego

nie podtrzymywały, za to wyglądały jak ostre lance, gotowe przeszyć

każdego, kto odważy się tu zapuścić.

Myśl, że miejsce to było opactwem, utwierdzała Johannes w

przekonaniu, że Opatrzność nad nim czuwa; zawsze był wierzący, ale w

owej chwili czuł obecność i wolę Najwyższego w szczególny sposób. Nie

tylko odpuścił sobie wszystkie winy, ale też przekonał samego siebie, że

spełnia wzniosłe, najszlachetniejsze zadanie, które Bóg tylko jemu mógł

powierzyć. Musi złamać ludzkie prawa i pozostać w

ukryciu tylko

dlatego, że większość współczesnych nie będzie go w stanie zrozumieć.

27

I tak, wysoko ponad Strasburgiem, z dala od śmiertelników, ale blisko

Boga i świętego Arbogasta, Johannes doznał mistycznego uniesienia.

Podobnie jak anachoreci, poczuł, że Wszechmogący wynosi go ponad

resztę ludzi, zlecając mu misję. Rzucił się na kolana i pochylił głowę, a

wtedy usłyszał błogi, niebiański głos:

-Johannesie, spójrz na mnie, otwórz oczy. Oto jestem.

Powieki Gutenberga, zalane łzami, rozwarły się z trudem. Zobaczył

świętego Arbogasta we własnej osobie, stojącego tuż obok, w idealnie

kolistej aureoli, wieńczącej jego brodatą głowę. To nie był obalony posąg,

który odkrył chwilę temu, ale zjawą, która poruszała się i

przemawiała do

niego.

- Błogosławione imię twoje, Johannesie, od tej chwili
będziesz

nieśmiertelny. Przywróć do życia to święte miejsce,
wydrzyj je

ciemnościom i zwróć światłu. Nie chowaj się w norze jak
złodziej.

Odbuduj je i przekształć w świątynię, w której narodzi się
i mnożyć się

będzie Słowo dla dobra wszystkich ludzi na świecie.

Usłyszawszy te słowa, Gutenberg zaniósł się płaczem jak
dziecko.

Wstrząsany szlochem, nie mógł wymówić słowa. Wtedy
święty Arbogast

pochylił się, dotknął jego pleców, żeby go uspokoić, i
mówił dalej:

- Będziesz niósł kaganek, który rzuci światło na ziemię na
chwałę

niebu i ludziom. Wszystkie narody zamieszkujące ziemski padół, aż po

jego krańce, nawet bałwochwalczy z najdalszych stron świata, do których

nie dotarło jeszcze Słowo, będą mogli czytać i zrozumieć święte prawdy,

szerzyć je i pomnażać jak ogień przenoszony z pochodni na pochodnię.

Dzięki swojej pracy zdobędziesz uznanie, a święci, którym dasz

wieczność, obdarzą cię nieśmiertelnością.

Nagle zapadła cisza. Johannes podniósł głowę i stwierdził, że widmo

znikło w ten sam tajemniczy sposób, w jaki się pojawiło. Wtedy usłyszał

inny głos. Nie potrafił określić, skąd dobiega. Wydawał się dochodzić

zewsząd i znikąd jednocześnie, jakby jego źródło znajdowało się w jego

głowie:

- Nie słuchaj go, Johannesie. Zapomnij o swoim wynalazku raz na

zawsze. Chcesz być nieśmiertelny, żeby ludzie pamiętali cię po wsze

czasy? To rozumiałe. Ale jaką cenę jesteś gotów zapłacić? Czy myśli

twoich bliźnich są zawsze tak czyste i święte, że warto je przekazywać

ludzkości? A czyż objawienia opisywane w prawdziwych księgach nie są

zbyt wzniosłe, żeby nieść je między plebs? Czy pospólstwo jest w stanie

je zrozumieć? Nie potrafi nawet czytać! A w ogóle, ileż ksiąg warto

pomnażać? Nie dostrzegasz w tym niebezpieczeństwa?

„Johannesie, więcej jest ludzi podłych i okrutnych niżli mądrych i

dobrych. Twój wynalazek czeka profanacja. Dobro,

którego pragniesz,

przerodzi się w zło. Imię twoje, miast być wysławiane,
będzie szkalowane

najgorszymi przekleństwami. Znajdą się i tacy, dla których
sztuka pisania

będzie równie

kusząca, jak trująca. Ich aroganckie i zatrute serca sączyć
będą

arogancję i truciznę w serca tych, którzy dadzą się omamić
ich pięknym

słowom. Bez twojego wynalazku zaś pozostaną zamknięci
w swoich

ciasnych ciemnościach, nie będą szerzyć trucizny po całej
ziemi, ani

przez wszystkie pokolenia, ani po wsze czasy. Atoli, jeśli
ujawnisz swój

wynalazek, zanosą nieszczęście i zbrodnię wszystkim
ludziom,

niezależnie od ich wieku i pozycji. Zobacysz, jak od

jednej jedynej

przegniłej duszy gnije tysiące innych. Zło płynące z czytania

rozprzestrzeni się jak zaraza".

„Ujrzysz młodych ludzi zdeprawowanych przez książki, których

stronice wleją w ich dusze truciznę".

„Ujrzysz młodzieńców grzeszących pychą, cudzołóstwem i perfidią i

będzie to dzieło tych książek, które nikczemnością przesycą ich serca".

„Ujrzysz matki oplakujące swoje dzieci".

„Ujrzysz ojców wstydzających się za swoje córki".

„Johannesie, czyż nieśmiertelność warta jest tylu łez i udręki?

Pragniesz chwały za taką cenę? Nie przeraża cię odpowiedzialność, jaką

ta sława obarczy twoją duszę? Zaprawdę, błagam cię,

Johannesie, porzuć

myśl o nowej technice i żyj dalej swoim życiem. Uznaj swój wynalazek

za ponętne, ale zgubne marzenie, którego realizacja byłaby przydatnym i

błogosławnym przedsięwzięciem, gdyby człowiek był istotą dobrą. Ale

człowiek jest zły. Czyż dostarczanie broni złoczyńcom nie jest

równoznaczne ze współudziałem w ich zbrodni!?"¹².

¹²Wersja snu Gutenberga, na który powołuje się Alphonse de

Lamartine w *Le Civilisateur, Histoire de l'humanité par les grands hommes*

(1892) w wolnym przekładzie autora (tekst polski pochodzi od tłumacza).

Tłumaczenie i wolna wersja snu Gutenberga za Le Civilisateur, Histoire

de l'humanité par les grands hommes (1852r), Alphonse

de Lamartine.

Gutenberg usiadł, zdezorientowany, i próbował ustalić, skąd dochodzi

głos. Jednakże nie widział nikogo. Obrócił się wokół własnej osi,

oszołomiony, ale świadom moralnego dylematu. Co powinien zrobić? W

tym momencie usłyszał straszliwy hałas, obejrzał się, żeby ku swemu

przerażeniu ujrzeć, jak porozrzucane na podłodze kości zbierają się,

tworząc kompletny ludzki szkielet. Kościotrup stanął na nogi i podszedł

do Johanna. Jego kroki brzmiały jak uderzenia wydrążonego drewna o

kamień. Odrażający szkielet usiadł na parapecie rozpadającego się okna i

poruszając obnażoną szczęką, zaczął przemawiać wysokim, piskliwym i

drwiącym głosem:

- Nie słuchaj ich, Johannesie, nieśmiertelność jest ułudą.
Jestem na to

dowodem. Chciałbyś wyglądać tak jak ja przez całą
wieczność? Sam

Chrystus powiedział: jeśli uczynkami na niebo chcesz
zasłużyć, na pewno

je utracisz. Wszystko da się kupić za pieniądze: prestiż,
uznanie, tytuły

szlacheckie i odpusty.

W tym momencie kościotrup podniósł się, podszedł do
Gutenberg'a i

zionać lodowatym, cuchnącym oddechem, szepnął mu do
ucha:

- Niebo też można kupić.

Johannes cofnął się, czując obrzydzenie i strach, na co
martwy potwór

wybuchnął chrapliwym śmiechem i ciągnął:

- Skoro święty Kościół dotarł na szczyt świata, zbudowany na złotych

filarach, na niezmiernych bogactwach, czego można się spodziewać po

zwykłym śmiertelniku? Aby osiągnąć swój cel, Johannesie, będziesz

potrzebował pieniędzy, które, nie muszę ci tego przypominać, możesz

wybić sam. Chcesz służyć Bogu? Nie zrobisz tego ani nie dokonasz

swojego dzieła bez pieniędzy. Spójrz tylko na ojca: wygnany, w

żałosnym ubóstwie, przepuścił okazję jak wodę przez palce.

Myślisz zatem, że stary Friele ma miejsce po prawicy Najwyższego? -

Tu martwy rzezimieszek zaśmiał się szyderczo. - Nawet nieśmiertelność

ma swoją cenę.

Szkielet przerwał, po czym porzucając kąśliwy ton, powiedział

surowo:

- Johannesie, nie dziel się wynalazkiem z nikim, zachowaj go dla

siebie i wyciągnij z niego korzyść. Powielaj księgi, niezależnie od ich

treści, nie jesteś niczym sędzią. Powielaj je dziesiątkami, setkami,

tysiącami, nie kieruj się tym, czy są święte, czy wyklęte, bogobojne, czy

heretyckie; kieruj się tym, czy mają wartość i czy jest ktoś, kto za nie

zapłaci.

CZEŚĆ DRUGA

1

Ulewny deszcz spadł na Moguncję. Nawałnica przyspieszyła

nadejście nocy, zmuszając kupców do zamknięcia sklepików.

Straganiarze na rynku bezskutecznie szarpali się z markizami targanymi

przez wiatr, niejednokrotnie razem z całymi kramami. W powietrzu

wirowały porwane przez zawieruchę liście warzyw. Po bruku toczyły się

dynie, a wiszące barany kołysały się na wszystkie strony jak żywe.

Pioruny uderzały w wieże katedry, a bliskie grzmoty szły niemal w parze

z oślepiającymi błyskawicami.

Przerażeni ludzie rozbiegli się, szukając schronienia. Niektórzy

potykali się, ślizgając na mokrym bruku, inni zderzali się ze sobą. Nie był

to tylko atawistyczny strach przed burzą. Miasto podszyte było strachem,

który eksplodował przy każdym nieoczekiwanym wydarzeniu. Od kiedy

śmierć wślizgnęła się do klasztoru Kosza Najświętszego, kładąc się

cieniem na Moguncję, każdy czuł na sobie jej złowieszczy oddech. Noc

przestała być bezpiecznym azylem na czas odpoczynku, nawet

najbardziej ufni ryglowali drzwi, zatykali skoble w oknach i trzymali pod

ręką nóż ukryty między poduszkami.

Pomimo piorunów uderzających w iglice bazyliki i ciężkich,

ogłuszających kropli bębniących o dach sąd konrynu-

ował kolejny dzień rozprawy. Prokurator Zygfryd z

Moguncji

sposobił się właśnie do rozpoczęcia mowy oskarżycielskiej, a protokolant

do skrzętnego jej notowania, kiedy głos zabrał przewodniczący

trybunału. Najstarszy z duchownych, łysy mężczyzna o głowie dosłownie

zapadniętej w ramiona, odchrząknął i zwracając się do oskarżonych,

oznajmił, że jeden z sędziów, którego tożsamości nie ujawni, uznał, iż nie

ma powodu, aby oskarżeni pozostawali uwięzieni. Jako że podstawowy

zarzut, jaki się im stawia, polegający na fałszowaniu ksiąg, nie niesie

większych zagrożeń, proces może być kontynuowany bez konieczności

skazywania oskarżonych na więzienie przed udowodnieniem im winy.

- Sąd zdecydował niniejszym większością głosów, że oskarżeni

zostaną uwolnieni po uiszczeniu kaucji w wysokości dwustu guldenów.

Słowa te były jak wiadro wody, zimniejszej niż strugi szalejącej

ulewy. Nie spodziewał się ich ani prokurator, ani publiczność, ani tym

bardziej oskarżeni. Ulrichowi Helmas-pergerowi ręka zadrżała ze

zdumienia i skryba dopiero po chwili mógł zaprotokołować decyzję w

pełnym jej brzmieniu. Do tego momentu Zygfryd z Moguncji był pewny

skuteczności użytych argumentów i swojego daru przekonywania. Jego

krasomówcze talenty odnosiły zazwyczaj oczekiwany skutek w danej

chwili, nawet jeśli później, w czasie posiedzeń trybunału, poza salą

sądową, jego idee przesiewano przez sito rozumu i oddzielano od

gwałtownych emocji. W końcu bez względu na to, ile razy oskarżyciel

wykrzyczał słowo „śmierć”, pozostawało ono metaforą użytą w

kontekście ksiąg. Oblicze oskarżyciela stało się bardziej ponure i

groźniejsze niż czarne niebo przecinane błyskawicami. Zygfryd z

Moguncji skłonił głowę, zamknął oczy i wysyczał przez zaciśnięte zęby:

- Wybacz im, Ojczy, bo nie wiedzą, co czynią.

Przewodniczący trybunału udzielił prokuratorowi upomnienia. Choć

nie usłyszał jego słów, nikomu nie wolno się było odezwać, dopóki nie

udzielono mu oficjalnie głosu. Z charakterystyczną dla siebie afektacją

Zygfyrd z Moguncji westchnął i splótłszy palce, zaczął chodzić tam i z

powrotem, zachowując wymowne milczenie, którego patos podkreślały

odgłosy burzy. Notariuszowi, który miał niezmiernie wyczulony słuch,

nie umknęło wszakże wypowiedziane przez kopistę zdanie i choć

wiedział, że nie odda mu tym przysługi, zaprotekował nieszczęsną

wypowiedź, w której ów porównywał się, bądź co bądź, do Chrystusa.

Odegrał się w ten sposób na wyniosłym kaligrafie, pretendującym do

miana oskarżyciela, za milczącą pogardę, którą ów okazywał mu przy

każdej sposobności.

Fust i Schöffler spojrzeli po sobie, próbując ukryć euforię. Ale twarz

Gutenbergu pozostała niezmienną. Od owej odległej nocy, kiedy na

szczyt góry, kryjącej ruiny Świętego Arbogasta, martwi, ku jego

osłupieniu, powstał z grobu na jego oczach, nieobecny wyraz na zawsze

zagościł na twarzy Johannesesa.

Grzmoty, błyskawice, przerażający huk deszczu bębniącego o dach i

wspomnienie upiorów nie pozwoliły Gutenbergowi cieszyć się radosną

wieścią o odzyskaniu wolności.

Johannes rozpamiętywał tamtą głęboką, samotną i przerażającą noc,

gdy obolały, oszołomiony i niezdolny stanąć na nogi, pojął ogrom

swojego przedsięwzięcia i moralne dylematy, jakie przed nim stały. A

jeśli, pomyślał, każda z trzech zjaw miała po części rację?

Tak czy

inaczej, nie powinien pochopnie podejmować decyzji. Musi odzyskać

siły i przemyśleć sprawę na spokojnie. Jediną rzeczą, jaka nie ulegała

wątpliwości, było to, że ruiny klasztoru stanowią kryjówkę, w której musi

się zabrać do pracy bez względu na ostateczny jej kształt.

Od tej pory Gutenberg poświęcił się całkowicie swojej tajnej misji. W

ciągu dnia był niezawodnym i sumiennym urzędnikiem, jakiego wszyscy

znali, najbardziej wyrafinowanym rytownikiem w magistracie

Strasburga. Ale kiedy słońce zachodziło, stawał się cieniem, nocnym

pustelnikiem, który zagłębiał się samotnie w mroczne wnętrza

opactwa świętego Arbogasta.

Wykonywał tytaniczną pracę; jak Chrystus dźwigał na swoich

barkach wszystko, co było potrzebne do założenia warsztatu. Każdej nocy

pokonywał krętą ścieżkę na szczyt, taszcząc belki i inne materiały,

toporne meble, prasy do wyciskania oliwy, kawałki metalu i maszyny

rolnicze niewiadomej proveniencji. Pracował niestrudzenie. Mało spał,

jadł niewiele.

Wspinał się na górę z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca,

schodził w dół wraz z pierwszymi przebłyskami świtu. Żaden

przypadkowy wędrowiec nie zauważyłby najmniejszej różnicy w

poszyciu stromego zbocza. Pozornie wszystko wyglądało tak samo. Jeśli

przez przypadek jakiś zagubiony włóczęga zagłębiłby się w gąszcz

kryjący opactwo, w przerażeniu wracałby tą samą drogą szybciej, niż się

tam pojawił: Johannes zadbał już o to, ustawiając ze swojej armii trupów

pierwszą linię obrony. Co dziesięć kroków umieścił rząd ludzkich

czaszek, które wystając zza skał, stały na straży, ziejąc pustymi

oczodołami. Zadbał też o to, żeby zatrzeć ślady ścieżki prowadzącej do

klasztoru, najeżając ją przeszkodami pozornie nie do pokonania, choć w

istocie stanowiących po prostu kamuflaż. Ogromne, wydrążone pnie na

pierwszy rzut oka nie dawały się ruszyć, choć dla Johannaesa, który

przesuwał je z łatwością przy wchodzeniu i wychodzeniu, były jak

zwykła zamaskowana kłapa. Natomiast zmiana, jakiej dokonał w samym

sercu góry, była prawdziwym

cudem; ukryte przed oczami świata stare opactwo odzyskało

niezwykłe życie.

Pod kopułą, którą tworzyły splątane pnącza, z ruin opactwa i

materiałów przydźwiganych z mrówczą wytrwałością Jonannes wzniósł

swoistą cytadelę. Drewnianymi belkami podparł zawalone dachy

krużganków i główną nawę starej kaplicy. Oczyszczył z paproci, chwastów,

bluszczu i pasożytniczych roślin cały teren klasztoru, wskutek czego

idealnie prostokątne kamienne bloki tworzące ściany i piękne mozaiki na

posadzkach po raz pierwszy od wieków ujrzały światło

dzienne. W

poszczególnych kruzgankach urządził warsztaty, mające dać życie jego

projektowi.

Naśladując rozkład mennicy w Moguncji, w pierwszej celi

zainstalował szmelcarnię: pośrodku postawił piec do odlewania

krusców. Efekt był dość dziwny, piec bowiem składał się z dwóch

kadzi umieszczonych jedna w drugiej. Masywny kocioł wpasowywał się

znakomicie w proporcje pomieszczenia. Żaden z mnichów, którzy

zamieszkiwali w przeszłości ten skromny klasztor, nie byłby w stanie

wyobrazić sobie jego obecnego przeznaczenia. Z tyłu pieca wznosił się

komin, przechodzący przez dach i wznoszący się ponad

zielone

sklepienie, utworzone przez pnącza i krzewy. Johannes musiał rozniecić

wolno tłący się ogień z bardzo suchych polan, żeby uniknąć kłębow

dymu, widocznych z miasta i okolic.

Kolejną wnękę Johannes przeznaczył na prasę. Stosując technikę

opracowaną przez ojca, zamontował ogromną prasę, taką, jakiej używano

do tłoczenia oliwy z oliwek, tyle tylko że w miejscu pojemnika do

zbierania płynu umieścił płaską metalową podstawę. Korba,

zamontowana na nagwintowanej osi, opuszczała ciężki żelazny blat,

naciskając na postument. Komuś nieorientowanemu cała konstrukcja

mogłaby się wydawać całkowicie bezużytecznym

żelastwem.

Idąc kruzgankami, dochodziło się do następnej celi: przypominała salę

kopistów w mennicy: Gutenberg zgromadził w niej ogromne ilości

czarnego i czerwonego tuszu i stosy arkuszy papieru używanego do

sporządzania manuskryptów. Podstawową cechą różniącą ją od sali

skryptorów było to, że, o dziwo, nie znalazło się w niej żadne miejsce dla

kopistów. Nie było pulpitów ani *scriptorias*, nawet skromnej tabliczki czy

krzesła, żeby zasiąść do pisania. Nie było też piór, rysików ani pędzli.

Jednym słowem, żadnych narzędzi do pisania, które pasowałyby do

ludzkiej dłoni.

W nawie głównej powstałej z popiołów kaplicy można

było zobaczyć

scenę jak ze snu: w miejscu, gdzie powinien być ołtarz, leżał wielki stos

starych, poskręcanych, metalowych kawałków, odpadów różnych metali:

ułożone jedne na drugich, ciężkie, zardzewiałe łańcuchy, nieużywane

okucia, zepsute kłódki, klucze, połamane podkowy i przedmioty

niewiadomego pochodzenia sięgały sufitu. Była to karykaturalna wersja

złotej piramidy w mennicy; zamiast wspaniałych złotych sztab wznosił

się tu metalowy pomnik śmieci. Każdy, kto znał imponujący budynek w

Moguncji, zarządzany przez starego Frielego, przysięgłby, że jego syn

zupełnie oszalał, że ta parodia mennicy wśród ruin, ukryta pod rośliną

kopułą, jest nędzną imitacją, z której nic dobrego nie może wynikać.

Gutenberg nie tylko nie miał świadomości profanacji, jakiej się

dopuszczał, urządzając potajemny warsztat do podrabiania ksiąg, ale też

każdej nocy, zaglądając do niego, utwierdzał się w przekonaniu, że ma do

wykonania boską misję. Jak obłąkany opat obchodził podziemne włości,

sprawdzając każdy najdrobniejszy szczegół.

Sytuacja finansowa Johannesesa była dramatyczna: wszystkie

pieniądze, jakie udało mu się zaoszczędzić dzięki wykonywanym

zleceniom, wydał na papier, farbę, drewno i me-

talowe odpady, które kupował w kuźniach położonych poza

Strasburgiem, żeby nie wzbudzać podejrzeń wśród

sąsiadów.

Wynędzniały, wyglądający jak szkielet obleczony skórą,
spragniony snu,

wyglądający, bez grosza przy duszy, musiał jak
najszybciej uruchomić

swoje tajemne przedsięwzięcie. Sama myśl, że może
skończyć jak ojciec,

budziła w nim przerażenie. W głębi serca uważał się za
stworzonego do

wielkich celów. Tak więc kiedy uznał, że wszystko jest
gotowe, wydobyl

z pudełka zestaw drewnianych liter Kostera jak ktoś, kto
otwiera skrzynię

pełną skarbów, i przystąpił do pierwszych prób.

2

Krzyk rozdarł poranną ciszę Korbstrasse. Krzyk, który odbił się

echem od murów domów, docierając do samego rynku, wydobył się z

otwartego okna Klasztoru Kosza Najświętszego. Słońce jeszcze nie

wzeszło, kiedy jedna z młodych niewiast, wiedziona niewytłumaczalnym

niepokojem, weszła do sypialni starszej siostry Hannah. Zapukała

nieśmiało do drzwi. Nie usłyszała odpowiedzi. Nacisnęła klamkę, ale

drzwi zamknięte były od środka na rygiel. Dziewczyna w panice pobiegła

po Ulvę, która jeszcze spała. Z oczami pełnymi łez, łkając, powiedziała

jej o swoich złych przeczuciach. Matka nierządnic wyskoczyła z łóża i z

takim samym impetem pobiegła na górę. Ponownie zapukały do drzwi,

tym razem mocniej. Cisza. Ulva wiedziała, że Hannah była następna w

linii sukcesyjnej. Pobiegła do kuchni i wróciła z pogrzebaczem.

Wsunąwszy cieńszy koniec między drzwi a futrynę, dotąd naciskała na

tak skonstruowaną dźwignię, aż wyłamała skobel. Kiedy weszły do

środka, zastały scenę, której najbardziej się obawiały: górna połowa ciała

Hannah leżała

na łóżku, a stopy dotykały podłogi. To właśnie wtedy z piersi

młodszej siostry ofiary wyrwał się krzyk, który obudził pozostałe kobiety.

W przeciwieństwie do poprzednich trzech morderstw, tym razem nie było

kropli krwi. Ponadto Hannah nie została obdarta ze skóry jak pozostałe

ofiary. Jej ciało pozostawało nienaruszone: nie miała żadnych obrażeń,

stłuczeń, siniaków ani ran. Ulva przez chwilę miała nawet nadzieję, że

kobieta jeszcze żyje. Położyła Hannah na łóżku i szukała pulsu, bicia

serca, tchnienia. Nic. Najwyraźniej morderca udusił ją w taki sam sposób

jak pozostałe dziewczęta. Alabastrowa skóra pozostawała nieskazitelna.

Nosiła jedynie małeńki znak na łopacie, jaki nierządnicom tego

przybytku wycinano po narodzinach, odróżniający je od innych, a

przedstawiający ośmioramienną gwiazdę, symbol Isztar i miasta Babilon.

Może się to wydawać dziwne, ale kobiety, które szlochając, otoczyły

zwłoki, zastanawiały się, dlaczego Hannah nie obdarła ze skóry, choć

pytanie równie dobrze mogło brzmieć inaczej: dlaczego obdarła ze skóry

poprzednie trzy ofiary? Być może mordercy zabrakło czasu. Być może

przezucie, które doprowadziło młodszą siostrę pod drzwi alkowy,

zepsuło mu plan i musiał uciekać przez okno, unikając zdemaskowania.

Tylko dwie osoby znały odpowiedź na to pytanie: Ulva i morderca.

W odróżnieniu od pierwszego dnia procesu Gutenberg i jego

wspólnicy mieli teraz stawać przed trybunałem bez eskorty gwardii. Po

decyzji sędziów o ich uwolnieniu oskarżeni do końca procesu nie będą

już doprowadzani z celi przez strażników, tylko sami mają stawać się na

miejscu. Trzydzieści minut przed tym, zanim dzwony wybiły siódmą,

godzinę, na którą wyznaczono przesłuchanie, przybyli do katedry Fust i

Schófter. Trybunał zebrał się kwadrans przed czasem. Zygfryd z

Moguncji pojawił się w sali pierwszy; przybył o szó-

stej, obładowany papierami, które przeglądał z uwagą w kącie

pomieszczenia. Chwilę później wszedł Ulrich Helmasperger. Notariusz

ukłonił się sztywno, oficjalnie; odpowiedziało mu nieprzyjazne

milczenie. Przełknął irytację, udał się prosto do pulpitu, zasiadł przy nim,

przygotował rożek, pióro i papier, po czym zawczasu zaopatrzył

dokument w nagłówek i tytuł. Po chwili prokurator wstał i z założonymi z

tyłu rękami zaczął się przechadzać po sali. Znalazłszy się na wysokości

małego pulpitu, zatrzymał się przy skrybie i rzucił bezlitośnie: - Możesz

pisać wyraźniej?

Ulrich zamknął oczy, zacisnął pięści, z trudem się powstrzymując, by

nie skoczyć Zygfydowi do gardła. W innych okolicznościach chybaby

go zabił. Tym razem jednak spojrzał mu tylko uważnie w oczy, jakby

chciał go ostrzec, że właśnie przekroczył wszelkie granice. Po raz

pierwszy prokurator miał okazję zobaczyć twarz notariusza, która dotąd

wciśnięta w ramiona, zawsze pochylała się nad papierami. Wydała mu się

znajoma; musiał się z nim mijać przy innych okazjach. Czując, że został

zdemaskowany, notariusz opuścił szybko wzrok. Przestraszył się, że

prokurator mógł go kiedyś widzieć, jak wchodził do zamtuza przy ulicy

wyplataczy koszy. Ulrich życzył prokuratorowi nagłej śmierci. Wejście

członków trybunału przerwało niezręczną sytuację.

Jedynym, który się dotąd nie stawił, był Johannes Gutenberg. W sali

panowała wymowna cisza. Prokurator odmierzał czas, stukając

wskazującym palcem o pulpit, dokumentując każdą minutę spóźnienia.

Jeśli oskarżony nie spełni obywatelskiego obowiązku, zostanie uznany za

zbiega i zacznie go ścigać gwardia, a pojmany będzie miał nikłe szanse na

uniknięcie kary śmierci. Po pierwsze, jego nieobecność zostanie

potraktowana jako milcząca przyznanie się do zarzucanych mu czynów,

po drugie zaś, sędziowie byli bezwzględni wobec

tych, którzy nadużywali ich dobrej woli. Brakowało dwóch minut.

Członkowie trybunału wymieniali ukradkowe spojrzenia, jakby milcząco

wyrzucając sobie nawzajem podjęcie decyzji uzgodnionej po długich

dyskusjach. Fust i Schóffer nie wiedzieli, czy dać wyraz rados'ci, czy

konsternacji; z jednej strony zakładali, że skoro Gutenberg, uciekając,

przyzna się do winy, obaj będą mogli zrzucić pełną odpowiedzialność na

nieobecnego. Niemniej mogło się również zdarzyć, że uznając

Gutenberga za winnego, sąd zastosuje tę samą karę w przypadku jego

dwóch współników. Brakowało jednej minuty. Zygryd z Moguncji był

gotów zwrócić się do sędziów z wnioskiem o zaoczne osądzenie zbiega i

skazanie go bez dalszego procesu na śmierć na stosie. Uruchomiono już

klasztorny *carillon*, ale właśnie w chwili kiedy miało się rozleć pierwsze

uderzenie, wzburzony i spocony Gutenberg wkroczył do sali.

Jednocześnie zabrzmiał pierwszy z siedmiu dzwonów. Zygryd z

Moguncji spojrział na Johanna nienawistnie, z rozbudzoną na nowo

wrogością, i rozpoczął mowę:

- Panowie, jeden z oskarżonych postanowił najwyraźniej stanąć przed

wysokim sądem w ostatnim momencie. Być może, ze względu na

przytłaczające dowody przeciwko niemu, do ostatniej chwili rozważał

możliwość opuszczenia Moguncji.

Gutenberg, zasapany po biegu, ocierając rękawem pot z czoła, osunął

się na siedzenie i próbował złapać oddech. Powietrze opornie wchodziło

mu do płuc, dyszał więc jak pies. Stopniowo jednak jego puls się

uspokoił, a twarz odzyskała normalną barwę. Ale gdy tylko dotarły do

niego słowa, którymi prokurator rozpoczął wystąpienie, poczuł, jak serce

ponownie mu przyspiesza.

- Nie byłaby to pierwsza ucieczka oskarżonego. Uciekł już wcześniej

z Haarlemu, zanim zosrał uwięziony za okradzenie

swojego mistrza, mojego czcigodnego kolegi Laurensa Kostera -

grzmiał Zygfyrd z Moguncji.

Słowa oskarżyciela przypomniały Gutenbergowi jego błyskawiczną

ucieczkę z Niderlandów z odebranym mistrzowi zestawem liter. Przez

długi czas myślał, że nie ma nic bardziej wartościowego w warsztacie

wśród ruin Świętego Arbogasta niż zestaw liter Kostera. Aby uchronić

swój skarb przed przypadkowym intruzem, trzymał go w sekretnej

piwniczce, do której zejście zamaskowane było klapą ukrytą pod

odrażającymi resztkami splądrowanego grobowca. Żaden inny przedmiot

nie był niezbędny i gdyby coś się stało, można go było zastąpić innym, ale

cennych klocków przywiezionych z Niderlandów nie dałoby się zastąpić

niczym.

Johannes przygotowywał się do generalnej próby. Po pierwsze, musiał

wprowadzić wszystkie rozwiązania, jakie wymyślił, pracując nad

niedociągnięciami metody Laurensa Kostera. Bacząc, by nie uszkodzić

klocków, nawiercił je, dokładając starań, żeby otwór przechodził

dokładnie w połowie każdej litery. Następnie ułożył pierwszy wers

Genesis i litery, które go tworzyły, połączył mocnym i dobrze napiętym

cienkim sznurkiem. Następnie ułożył drugi wers, wstawiając małe,

wycięte wcześniej puste klocki, żeby oba wersy były właściwie

wyjustowane. Podobnie postąpił z kolejnymi liniami tekstu składającymi

się na pierwszą stronę. Serce zabiło mu z radości, kiedy przekonał się, że

wszystkie wiersze są równoległe, a ponadto formują centralnie blok

tekstu wyrównany idealnie do obu marginesów. Nie spieszył się wszakże.

Miał do rozwiązania jeszcze jeden problem, a mianowicie kwestię farby.

Nadal był w posiadaniu pojemnika z inkaustem, którego używał

Koster. Nie mógł się nadziwić, że czarna farba wciąż zachowuje

świeżość, głębię, połysk i odpowiednie wysycenie. Jednak na papierze

traciła konsystencję i wyrazistość. Brzegi

liter były niewyraźne i rozmazane. A kiedy wysychała całkowicie,

stawała się szara i wodnista. Johannes nie potrafił określić, czy przyczyną

jest jakość farby, czy papieru, choć podejrzewał, że być może jedno i

drugie. Czuł, że drewno wchłania za dużo czarnego płynu. Aby

opracować idealny tusz, musi najpierw wyjaśnić te wątpliwości.

Istniały trzy sposoby wytwarzania czarnej farby. Najbardziej

rozpowszechnionym rodzajem był inkaust otrzymywany z mieszaniny

proszku węglowego z wodą i gumą arabską. W innej metodzie zmielony

węgiel zastępowano cząsteczkami sadzy powstałej w wyniku spalania

żywicy. Czarna smoła nadawała tuszowi głęboką barwę i gęstą

konsystencję, choć ta mogła się zmieniać w zależności od ilości gumy

arabskiej dodanej do mieszaniny. Wielu artystów wyrabiało czarną farbę,

zeskrobując sadzę z wewnętrznych ścian komina, które pokrywała gruba

warstwa kopcia i resztek węgla. Gumę arabską z kolei wyrabiano z soku,

jaki wydziela akacja, zablizniając nacięcia na korze. Istniał też trzeci

sposób wytwarzania farb na bazie metali. Techniki te znało niewiele

osób, wymagały one bowiem specjalnej wiedzy o reakcjach minerałów i

związków roślinnych. Uważano, że formuły chemiczne, stosowane do

wyrobu farb otrzymywanych z metali, są rezultatem eksperymentów

alchemicznych: szukając sposobu na otrzymanie złota z metali

nieszlachetnych, alchemicy przypadkowo odkryli królewską żółć, którą

spisywali swoje najcenniejsze sekrety. Zatem, poprzez mieszanie soli

żelaza, zielonego witiolu, czyli *sal martis*, z taniną z galasów

tworzonych na dębach do ochrony larw przez niektóre owady,

otrzymywano wyjątkowo czysty inkaust. Można było również stosować

taninę z nasion czarnych winogron i skorupki orzecha.

Bazując na czerni, otrzymywanej z sadzy, pyłu węglowego lub metali,

każdy skryba sporządzał własne tajemne re-

ceptury. Wiele z nich Gutenberg miał okazję poznać w sali kopistów

w mennicy. Tradycyjnie dodawano też wyciąg z czosnku, żeby nadać

atramentowi połysk i odpowiednią przyczepność. Wszystkie czernidła,

od najbardziej prymitywnych do najbardziej wyszukanych, miały swoje

wady i zalety. Jednak największym zmartwieniem

Johannesa, z którym

najwyraźniej borykał się również Koster, było to, że wszystkie te

roztwory służyły do pisania piórem, a nie odbijania na prasie. Drewno i

papier wchłaniały farby zbyt wodniste, a te, które miały lepszą gęstość i

pryczepność, przywierały do papieru tak mocno, że nie sposób je było

odkleić.

Gutenberg wypróbował setki mieszanek i proporcji, ale nieudane

pergaminy nieodmiennie lądowały w ogniu. Doszedł więc do wniosku, że

musi odrzucić tradycyjne metody i zapomnieć o wszystkich znanych mu

barwnikach. Nagle doznał olśnienia: podczas podróży do Niderlandów

odkrył wspaniały flamandzki obraz, wykonany zupełnie

nieznaną w

pozostałej części Europy techniką. Flamandzkim malarzom udało się

osiągnąć doskonałość wzbudzającą zawiść najznamienitszych artystów

niemieckich, a nawet genialnych malarzy królestw Italii. Johannes

dostał wyjątkowego przywileju ujżenia na własne oczy obrazów Jana

van Eycka i Roberta Campina, a także Hansa Memlinga i Rogiera van der

Weydena. Nie wyobrażał sobie, że ludzka inwencja jest w stanie stworzyć

podobne kolory. Stary Koster zabrał ucznia do katedry Świętego Bawona

w Gandawie, żeby mógł podziwiać poliptyk namalowany przez braci van

Eycków. Widząc, że jego uczeń z Moguncji zaniemówił z wrażenia,

mistrz ryownik wyjaśnił, że niezwykle malowidła mają swoją nazwę:

malarstwo olejne. Teraz, w opactwie świętego Arbogasta, Johannes po

raz pierwszy od owego dnia przypomniał sobie ten odkrywczy termin.

Malarstwo olejne.

To były magiczne słowa, klucz otwierający drzwi, które wcześniej

wydawały się nie do sforsowania. Gutenberg nie miał pojęcia, jakie

sekretne formuły zastosowano we flamandzkich płótnach, ale samo słowo

olej było już wskazówką, której nie należało lekceważyć. Nie musi znać

tajników krwistych czerwieni, niebiańsko świetlistych błękitów,

promiennych jak słońce żółcieni. Zadowoli się kolorem czarnym,

czarniejszym niż śmierć, niż niebyt, niż nicość.
Potrzebował tej

absolutnej nicości, żeby przelać na papier całą wiedzę
świata.

Johannes przeprowadził setki prób, łącząc oleje z
metalami, węglem i

przeróżnymi innymi składnikami. Stosował olej z pestek
winogron jako

bazę dla sadzy; mieszał olej z orzechów z pyłem
węglowym; łączył oliwę

z oliwek z solami metali; opiłki żelaza, tlenek miedzi,
ołowiu i tytanu z

olejem lnianym, żeby zaraz potem mieszać to wszystko
ponownie we

wszystkich

możliwych

kombinacjach.

Z

doświadczenia

na

doświadczenie torował sobie mroczną drogę, czarną i piękną jak struga

atramentu. Johannes czuł się szczęśliwy w cudownych ciemnościach, w

których tylko on swobodnie się poruszał. Pływał jak ryba w czarnym

oceanie. Im głębszy i czarniejszy był ów ocean, tym bardziej jaśniała jego

nadzieja. Po wielu dniach i nocach intensywnej pracy opracował wreszcie

doskonałą formułę: potrafił otrzymać pożądaną gęstość, podgrzewając

olej. Dla większego połysku wystarczyło dodać więcej witriolu. Tusz

posłuszny był woli Gutenberga jak pies, oddany, wierny, a przede

wszystkim czarny.

Johannes rozprowadził farbę na literach Kostera skórzaną poduszeczką, delikatnie rozłożył na nich papier, jak matka okrywająca

dziecko, i z surowością ojca poddał je dyscyplinie prasy. Gdy zwolnił

nacisk, jego przypuszczenia w pełni się potwierdziły: papier odklejał się z

łatwością, a litery odbite

były doskonale. Trzymał w ręku pierwszą stronę Biblii. Oto miał

przed sobą genezę *Genesis*, pierwociny pierwocin.

Udało mu się otrzymać idealny tusz. Jednak jego szczęście było tak

krótkie jak czas pomiędzy błyskawicą a grzmotem. Kiedy uważniej

przyjrzał się stronie, spostrzegł, że drewniane litery nie dorównują jego

geniuszowi: doskonała farba w połączeniu z topornym drewnem

sprawiła, że pęknięcia, niewielkie odpryski i wszelkie inne deformacje

spowodowane zużyciem wyraźnie odbijały się na papierze.

W przyływie złości i euforii Gutenberg wrzucił do ognia litery

Kostera.

3

Przybycie Gutenberga na przesłuchanie w ostatniej chwili nastawiło

trybunał wrogo do oskarżonych. W Niemczech nieuzasadnione

spóźnienie uznawano za obrazę. Fakt, że pozwany przybywa późno przed

oblicze sądu, który dopiero co zwrócił mu wolność, był nie do

wybaczenia. Zygfryd, zauważywszy gniew na twarzach sędziów,

postanowił wykorzystać sytuację najlepiej, jak umiał.

- Ekscelencje, główny oskarżony śmieje się wam prosto w twarz. Ten

sam prowokujący, wrogi i pogardliwy stosunek do prawa popchnął go na

ścieżkę kariery fałszerza, złodzieja, oszusta i heretyka. Kiedy tylko zdjęto

mu pęta, skorzystał z okazji, żeby nadużyć waszego nieocenionego

zaufania.

Gutenberg, poirytowany bufonadą prokuratora, starał się odtworzyć w

pamięci każde ogniwo z łańcucha faktów, który doprowadził go przed

trybunał. Górnołotny ton Zygryda z Moguncji, bezustannie

przechadzającego się z jednej strony na drugą, był dla Johanna torturą

coraz trudniejszą do znie-

sienia. Oskarżyciel, uzdolniony aktorsko, posiadał wyjątkową

umiejętność naśladowania głosów: za każdym razem, kiedy przytaczał

powiedzenia jednej czy drugiej strony, niepokojąco trafnie imitował głos,

sposób mówienia i powiedzonka.

Uwolnwszy się z oków ksylografii, Johannes postanowił podążyć

nową drogą, która miała go doprowadzić do doskonałych odbitek. Po

rozwiązaniu problemu tuszu następnym krokiem, jaki postanowił

wykonać, było skopiowanie pisma najwytrawniejszego kopisty. Klocki

Kostera były tak duże, że na jednej stronie mieściło się tylko piętnaście

linijek tekstu, podczas gdy dobre rękopisy liczyły ich zazwyczaj około

czterdziestu, w dwóch kolumnach. Chcąc otrzymać nieskazitelną kopię,

Johannes musiał najpierw zdobyć najlepszy oryginał. Ale księga tej klasy

była dlań nieosiągalna. Koszt jednego manuskryptu wynosił co najmniej

sto złotych guldenów.

Strasburski magistrat przechowywał najpiękniejszą Biblię, jaką

widział Gutenberg. A widział wiele. Z mennicy, którą przez tyle lat

zarządzał jego ojciec, wyszły ich setki i wszystkie były doskonałej

jakości. Biblie z Moguncji ceniono w całej Europie. Jednakże Pismo

Święte, znajdujące się w zbiorach biblioteki w Strasburgu, było unikatem.

Nawet Bóg, gdyby spisał ją boską prawicą, uczyniłby to kaligrafią

podobną do tej, jaka zdobiła jej stronice. Johannes pociągało w niej

właśnie to, że nie wyglądała na dzieło rąk ludzkich. Pismo było tak

doskonałe, że trudno było dostrzec jakąkolwiek różnicę między dwiema

takimi samymi literami. Znakami, które sprawiały najwięcej trudności,

były zazwyczaj litery łączące w sobie linie zaokrąglone i proste, takie jak

wielkie litery „G”, „B”, małe „b” czy „e”, litera „P” i mała „d” oraz liczby 2, 5, 6 i 9. Największym wyzwaniem dla kaligrafa było niedopuszczenie

do tego, żeby czytelnik zauważył różnice między tymi samymi znakami.

Wiele liter miało charakter antropomor-

ficzny, co czyniło je szczególnie skomplikowanymi. Liczba 8

wyglądała jak głowa i tułów, „X” jak człowiek z rozpostartymi

ramionami i nogami, „O” jak głowa lub otwarte usta, „Y” jak człowiek z

ramionami wyciągniętymi do nieba. Niepiśmienni skrypcy,

nieświadomi znaczenia liter, widzieli w nich ludzkie kształty. Natomiast

dla tych, którzy umieli czytać, litery nie były jedynie czystą formą, ale

dźwiękiem. Tak więc dla tych, którzy znali alfabet, litera „P” brzmiała

zawsze tak samo, niezależnie od tego, jak bardzo różniły się od siebie jej

poszczególne wersje graficzne, ponieważ wszystkie reprezentowały ten

sam dźwięk. Ale jeśli analfabeta widział w „P” najedzonego mężczyznę

stojącego bokiem, kolejne „P”, bardziej wydłużone, postrzegał jako

mężczyznę szczuplejszego. Niepiśmienni znacznie częściej dostrzegali

wady, ponieważ nie znali znaczenia liter. Właśnie z tego powodu Friele

wolał, żeby jego kopiści nie umieli czytać.

Kopia przechowywana w bibliotece magistratu była zadziwiająco

bliska perfekcji, i to nie ze względu na wspaniałą oprawę ani kunsztowną

iluminację inicjałów, tylko wyjątkowo piękną kaligrafię. Gutenberg mógł

odróżnić litery każdego z kopistów ojca, bo jak można się było

spodziewać, każdy miał swój specyficzny sposób pisania. Ale tym, co w

oczach Johannesesa czyniło Biblię z magistratu niezwykłą, był fakt, że nie

miała żadnych cech szczególnych. Jego zdaniem owa księga była

platońską kwintesencją litery, to znaczy - jej idea. Litera w swojej

najczystszej postaci. Nie przypadkiem autor tej cudownej Biblii był

uważany za jednego z najlepszych na świecie kopistów. I był nim przeor

Zygfried z Moguncji.

Pewnego ranka, jak zawsze po nieprzespanej nocy w opactwie

Świętego Arbogasta, Gutenberg dotarł do magistratu z jasnym zamysłem

i mrocznym celem. Ci, którzy widzieli, jak wchodzi, zauważyli czarną

chmurę rzucającą cień na jego i tak

już mroczną postać: bledszy niż zwykle, chodził tam i z powrotem z

nieobecny wzrokiem, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Zasiadał przy

pulpicie, trzymając w powietrzu bezużyteczny rylec, ze wzrokiem

utkwionym w nieokreślonym bliżej punkcie wszechświata. Zaraz potem

przytomniał, kręcąc głową na prawo i lewo, jakby się bał, że ktoś może

odczytać jego myśli. Zmieszanie ustępowało miejsca popłochowi, a

drżenie cmentarnemu letargowi. Podwładni nie śmieli się do niego

odezwać, a widząc groźne spojrzenia, jakie im ciskał, kiedy czuł się

obserwowany, woleli zostawić go w spokoju.

Johannes rozejrzał się wokół, a upewniwszy się, że w pobliżu nie ma

nikogo, jak kot zakradł się do schodów prowadzących do biblioteki.

Wsparty całym ciężarem na poręczy, żeby stawiać lżejsze kroki,

pokonywał bezszelestnie kolejne stopnie. Dotarł do przestronnego holu, a

kiedy kierował się do wysokich wrót archiwum, zobaczył, jak stary

bibliotekarz wchodzi do środka i zamyka je za sobą. Zazwyczaj staruszek

sprawował pieczę nad zbiorami, drzemiąc na krześle z głową opadającą

na piersi. Był co prawda głuchy jak pień, a jego oczy nie były tak sprawne

jak w dobrych czasach, co jednak nie miało znaczenia, bowiem nikt tak

dobrze jak on nie znał porządku, w jakim ułożono niezliczone archiwa,

dokumenty i księgi spoczywające na półkach tej ogromnej sali. Za każ-

dym razem, kiedy potrzebowano jakiegoś rękopisu, nie zastanawiał się

ani minuty; bez cienia wątpliwości udawał się do odpowiedniego miejsca,

wyciągał rękę, brał właściwy wolumin, wręczał zainteresowanemu i

wracał na miejsce.

Księgi pod żadnym pozorem nie mogły opuszczać pomieszczeń

bibliotecznych. Nikt, bez względu na swoje stanowisko, nie miał prawa

wynosić manuskryptów, niezależnie od tego, czy był to burmistrz, król,

czy nawet Jego Świątobliwość Papież Rzymu. Żaden śmiertelnik nie miał

w archiwum

większych uprawnień niż stary stróż. Gutenberg, ukryty za kolumną,

odczekał dłuższą chwilę, potrzebną staruszkowi do zajęcia miejsca i

zapadnięcia w drzemkę, po czym zbliżył się do drzwi, przyłożył do nich

ucho i usłyszał chrapanie. Przekręcił delikatnie gałkę i uśmiechnął się z

zadowoleniem, gdy się okazało, że zrządzeniem boskim nie zostały

zamknięte na klucz. Popchnął lekko jedno skrzydło i jak cień wśliznął się

do środka, nie domykając go za sobą, żeby uniknąć hałasu przy

ponownym otwieraniu.

Jak zwykle starzec pogrążony był w głębokim śnie. Z

sercem

walącym jak młot Gutenberg skierował się ku miejscu, w którym

spoczywała Biblia, tuż nad głową bibliotekarza. Podeszedł na palcach i

stwierdził z rozczarowaniem, że księga stoi dużo wyżej, niż pamiętał.

Wyciągnął ramię najdalej, jak potrafił, naprężył palce, ale nawet jej nie

dotknął. Może jak podskoczę, uda mi się ją zdjąć, pomyślał. Nie był to

bezpieczny ruch, gdyż całym ciałem dosłownie wisił nad śpiącym

mężczyzną. Ugiął kolana, ale kiedy sposobił się do skoku, stracił

równowagę i przechylił się w bok. Niewiele brakowało, a runąłby na

starca, ale na szczęście udało mu się złapać się półki, dzięki czemu

uniknął upadku. Poła jego szaty musnęła jednak policzek bibliotekarza.

Przerażony Johannes patrzył, jak śpiący porusza głową i unosi rękę do

policzka, próbując odgonić nieistniejącą muchę. Starzec obudził się, ale

nie otworzył oczu.

Podeksytowanie ukradkowego gościa było tak wielkie, iż był

przekonany, że słyhać, jak wali mu serce. Zamarł i nie oddychał, dopóki

ponownie nie usłyszał pochrapywania stróża. Wtedy wykonał jeszcze

bardziej ryzykowny manewr: podniósł nogę, postawił na pierwszej półce,

uchwycił się drugiej i podciągnął do góry nad siedzącym bibliotekarzem.

Wolną ręką udało mu się w końcu dosięgnąć Biblii. Równie

cicho opuścił się w dół, postawił obie stopy na ziemi i odetchnął z

ulgą. W tym momencie do pomieszczenia wpadł silny powiew wiatru. Na

oczach przerażonego Gutenberga na wpół uchylone drzwi zaczęły się

zamykać tak gwałtownie, że uniknięcie huków było praktycznie

nierozważalne. Gutenberg pomknął ku nim długimi i tak lekkimi susami,

jakby był długonogim ptakiem, i dokładnie w chwili kiedy drzwi miały

się zatrzasnąć, rzucił się na posadzkę i zapobiegł nieszczęściu, wkładając

Pismo Święte w szparę między skrzydłami. Leżąc, przeżegnał się i

podziękował Bogu, przepraszając Go jednocześnie za wykorzystanie

Jego Pisma w tak przyziemnym celu. Bibliotekarz spał nadal.

Wreszcie Johannes opuścił archiwum, zamykając delikatnie drzwi.

Właśnie odwracał się na pięcie z zamiarem odejścia, gdy zderzył się z

człowiekiem nadchodzącym z przeciwnej strony. Kiedy tylko obaj

otrząsnęli się po nieoczekiwanej kolizji, Johannes uświadomił sobie, że

mężczyzną tym jest sam burmistrz Strasburga. Nie miałby powodu, żeby

czuć, że nadchodzi koniec, gdyby nie to, że w prawicy dzierzył naj-

piękniejszą w całym mieście Biblię, która, gdyby nie on, nigdy nie

opuściłaby murów biblioteki. Udało mu się jakoś ukryć Pismo Święte za

plecami. Bładość, wyraz twarzy i żalosny wygląd Gutenberga sprawiły,

że zaniepokojony burmistrz spytał, czy dobrze się czuje.

- Tak... to znaczy nie... tak naprawdę... - wyjął złodziej Biblii,

niemał tracąc równowagę.

- Powinniście odpocząć - powiedział burmistrz. - Wyglądacie

doprawdy nietęgo.

Gutenberg podziękował burmistrzowi za troskę i chwilowe

zwolnienie z obowiązków, kłaniając się i bijąc dziwaczne pokłony,

których jedynym celem było ukrycie bezcennej księgi. Gdy dostojnik

wszedł do biblioteki, Johannes wsunął Biblię

pod połę szaty i opuścił budynek z takim samym nieobecny

wyrazem na twarzy, jaki miał, kiedy się w nim pojawił.

Nikt by się nie spodziewał, że pod szatami ukrywa fortunę wartą

ponad sto złotych guldenów.

4

Prokurator wstał, podszedł do pulpitu i wziął do ręki Biblię, które

pokazywał sędziom w pierwszych dniach procesu. Po tym, jak Ulrich

Helmasperger po raz pierwszy stanął twarzą w twarz z oskarżycielem,

ręka nie przestawała mu drżeć, a stawiane litery były mniej wyraźne i

nico mniejsze, choć mogło to być zauważone jedynie przez mistrzów

kaligrafii i nie zmieniało faktu, że pozostawiała wierny zapis wszystkich

słów wypowiedzianych przez prokuratora.

- Ekszelencje, mówiłem wam już, jak byłem zaskoczony, kiedy

odkryłem, że z podziemnych warsztatów, założonych przez oskarżonych,

wyszła Biblia identyczna z tą, którą własnoręcznie
spisałem. Pytałem

was, czy potraficie znaleźć różnice między oryginałem a
falsyfikatem,

ponieważ ja, skromny kopista, który ją przepisał, nie
potrafiłem się ich

doszukać. Moje zdziwienie było wówczas ogromne, ale
jakież musi być

teraz, kiedy udało mi się ustalić, że żadna z tych dwóch
ksiąg nie jest

oryginałem.

Przeprowadzany wzrokiem skonsternowanych sędziów,
Zygfryd z

Moguncji wrócił do pulpitu i wziął do ręki trzeci
egzemplarz, z wyglądu

identyczny jak dwa poprzednie. Zachowywał się jak
nadworny błazen.

Uniósł Biblię nad głowę i powiedział:

- Po skrupulatnych badaniach wszystkich trzech

egzemplarzy

doszedłem do wniosku, że ten oto jest moim rękopisem. Stwierdzicie to,

ponieważ tamte dwie księgi są identyczne, a w tej, na którą teraz

patrzycie, można znaleźć nieznaczne

różnice, charakterystyczne dla pisma, jakie wychodzi spod ręki

ludzkiej, a nie z diabelskiej maszyny, która jest w stanie wypluć ze

swoich wnętrzności setki, tysiące i miliony takich samych mechanicznych fałszyfikatów.

Kolejna rewelacja wprawiła sędziów w osłupienie. Zanim zdążyli się

po niej otrząsnąć, prokurator, korzystając z panującej ciszy, sformułował

następne oskarżenie.

- Ekscelencje, oskarżam pozwanych o kradzież, ponieważ

w celu

dokonania fałszerstwa zawłaszczyli moje manuskrypty. Ta Biblia,

przepisana przeze mnie, została znaleziona w sekretnym warsztacie

Johannesa

Gutenbergga

i

jest

niepodważalnym

dowodem

potwierdzającym moje słowa.

Gutenberg nie zamierzał zatrzymać cudownej Biblii z magistratu.

Zamierzał ją zwrócić, zanim ktokolwiek zauważy jej brak. Oczywiście

sto złotych guldenów było fortuną nie do pogardzenia.

Wiedział jednak,

że kiedy zrealizuje swoje przedsięwzięcie, suma ta będzie się mnożyć *ad*

infinitum. Mnożenie było tu słowem jak najbardziej na miejscu.

Nie potrzebował mogunckiej Biblii, tylko pisma Zygryda z

Moguncji. W związku z ograniczeniami, jakie narzucały drewniane

klocki, Johannes postanowił wykonać je w metalu. Wszystkim znany był

jego wielki talent i umiejętności, jakie posiadał w różnych dziedzinach,

niestety talent kopistów nie był mu dany. Próbował kilkakrotnie

skopiować litery najlepszego kaligrafa Niemiec, posługując się papierem,

piórem i inkaustem. Najpierw przepisywał całe rozdziały Księgi, potem

przepisywał ten sam wers, wypełniając nim całą stronę, na koniec

ograniczył się do przepisywania litery po literze, powtarzając każdą z

nich wielokrotnie jak dzieci, które uczą się pisać.

Z rozczarowaniem stwierdził, że jego znaki nie tylko różnią się od

znaków Zygryda z Moguncji, nie zachowują

również podobieństw między sobą. Zastanawiał się, w jaki sposób

wykona litery w metalu, skoro nawet nie jest w stanie odwzorować

kaligrafii kopisty na papierze. Niepowodzenie kosztowało go co najmniej

sto kart papieru, kilka butelek inkaustu i wiele piór. Niewielki,

wydawałoby się, koszt w porównaniu z wcześniejszymi wydatkami, ale

dla kogoś, kto wydał wszystkie oszczędności, nawet jedno

pióro było

nieosiągalną fortuną.

Gutenberg próbował różnych technik kalkowania wykorzystywanych

w rytownictwie. Rozpościerał dziewiczy papier na stronicy Pisma

Świętego i próbował przenieść kształt oryginalnych liter, naciskając

lekko tępym, zaokrąglonym ostrzem, znak po znaku. Rezultat był

katastrofalny: na cennej Biblii z Moguncji pozostały nieusuwalne ślady.

Kolejną próbę przeprowadził z gęstym, przezroczystym tiulem. Rozciągnął

nańszy go na oryginale, kopiował kształty cienkim pędzelkiem. Chociaż

w ten sposób udawało mu się odwzorowywać litery niemal idealnie, nie

mógł ich przenieść na dziewiczą powierzchnię, ponieważ

tiul marszczył

się pod naciskiem pióra. Szybciej, niż zakładał, nadeszło nieuniknione:

zabrakło mu papieru, drogiego półproduktu.

W Strasburgu mieściła się tylko jedna fabryka papieru, fabryka braci

Heilmann. Jednego z nich, Andreasa, Johannes znał dość dobrze. Choć

nigdy się nie zaprzyjaźnili, utrzymywali serdeczne stosunki. Zakład

Heilmanna dostarczał papier do magistratu, a odpowiedzialność za

sprawy handlowe spoczywała na barkach Gutenberga: to on decydował,

jaka ilość papieru potrzebna jest do robienia rycin. Andreas był

zainteresowany, jak reagują poszczególne gatunki papieru na różne farby,

ich stopniem absorpcji, czasem schnięcia i odpornością,

jaką wykazywały

przy nacisku prasy na drewno i metal. Gutenberg ze swojej strony

zapoznawał się z tajnikami produkcji

papieru. Chciał poznać techniki wytwarzania, począwszy od jego

egipskiego poprzednika, wyrabianego z łodyg rosnącego nad Nilem

papirusu, i starego dobrego pergaminu.

Heilmann wytłumaczył mu, że zwoje wykonane ze skór cielęcych

stosowane były od najdawniejszych czasów i że pierwsze egzemplarze

Biblii spisano właśnie na pergaminowych zwojach. Johannes dowiedział

się od niego, że w swojej księdze *Opisanie świata* Marco Polo

przedstawił sposób, w jaki Chińczycy wyrabiali papier z ryżu, konopi,

bawełny, a nawet resztek jedwabiu. Andreas twierdził, że papier z lnu,

którego wynalezienie przypisuje się Francuzom, jest imitacją wyrobu

przywiezionego z Dalekiego Wschodu.

Heilmann zwrócił uwagę, że Gutenberg zamawia coraz większe ilości

papieru, chociaż liczba ilustracji nie rośnie. Ponieważ Andreas osobiście

dostarczał papier do składu magistratu, nie mógł zrozumieć, dlaczego

zużywa się go tak szybko. Zarządca magistratu również był tym faktem

zaskoczony. Żaden z nich nie przypuszczał, że Johannes podbiera

ukradkiem nadwyżki papieru i mozolnie jak mrówka wynosi karty, ukryte

pod ubraniem do kryjówki w ruinach Świętego Arbogasta.

Gutenberg wiedział, że mocno ryzykuje, że ubytki papieru

nie mogą

pozostać niezauważone i nie uda mu się dłużej uprawiać tego procederu

bez wzbudzania podejrzeń. Jego projekt wydawał się skazany na porażkę,

o ile szybko nie zdobędzie potrzebnego półproduktu. Heilmann, człowiek

z głową do interesów, wyczuł, że utalentowanemu rytownikowi

magistratu chodzi po głowie jakieś lukratywne przedsięwzięcie. Jawne

zainteresowanie Johanna kwestiami technicznymi, nienasycona

potrzeba papieru i zadawane z uporem pytania, wybiegające poza zwykłe

zainteresowania ryownika, sprawiły, że Andreas postanowił wyjaśnić,

co tak naprawdę zaprzęta umysł tego skrytego mężczyzny.

Pewnego dnia, po zrzuceniu z barków ciężkiej paczki

przed

wniebowziętym Johannesem, który patrzył na arkusze jak wygłodzony

włóczęga na suto zastawiony stół, Heilmann wypalił bez ogródek:

-Jakież to dziwne interesy was zajmują? Możecie mi zaufać. Widzę

przecież, że wasze zainteresowanie papierem wykracza poza ramy

zwykłych obowiązków w magistracie.

Gutenberg zbladł, przełknął ślinę i próbował wykrztusić jakieś słowa,

maskując zmieszanie głupawym uśmiechem.

Andreas ponowił próbę:

- Nie chcę się mieszać w coś, co mnie nie dotyczy, ale trudno nie

zauważyć, że magistrat nie potrzebuje takiej ilości papieru, jaką

zamawiacie każdego tygodnia.

Widząc piorunujące wrażenie, jakie jego ostatnie słowa wywarły na

rozmówcy, Heilmann przybrał uspokajający, poufny ton:

- Sam zarządca zwierzył mi się ze swoich podejrzeń, ale, oczywiście,

udało mi się rozwiać jego wątpliwości.

Johannes pojął w mig, że Andreas jest gotów dochować tajemnicy w

zamian za udział w przedsięwzięciu. Wciągnięcie do spółki jedyne

fabrykanta papieru w Strasburgu wydało mu się nagle zrzędzeniem

Opatrzności Bożej. Czegóż więcej mógł chcieć? Nie chciał jednak

zdradzić mu tajemnicy. Nie ufał nawet własnemu cieniowi.

Andreas domyślił się, jakie rozterki targają rytownikiem z Moguncji.

Wiedział, że milczenie będzie w tej chwili najlepszym rozwiązaniem.

Poklepał czule stos papieru, jakby głaskał psa, dając do zrozumienia, że

jest jego absolutnym władcą. Ten prosty ruch odniósł natychmiastowy

skutek; Johannes odetchnął głęboko i zaczął mówić:

- Relikwie - wyszeptał Heilmannowi do ucha -
najbardziej

zadziwiające relikwie, jakie można sobie wyobrazić.

Twarz Andreasa pojaśniała. Mimo że wielu fałszerzy poświęcało swój

wątpliwy talent na produkcję gwoździ Chrystusowych, świętych

napletków, płócien, całunów, koron cierniowych, kawałków Krzyża

Świętego, a nawet całych krzyży, wiedział, że z rąk Gutenberga mogą

wyjsc tylko niezwykle dzieła.

- Relikwie? To ciekawe. A jakiegoż to rodzaju, jeśli można wiedzieć?

- zapytał.

Z przekonaniem, płynącym z głębi serca, Johannes odpowiedział

zdecydowanie:

- Autentyczne relikwie.

Andreas wybuchnął głośnym śmiechem.

- Czyż fałszerstwo może być autentyczne? - spytał, dławiąc się

własnym rechotem.

- Słowa Bożego nie da się sfalszować; można je tylko głosić,

rozsywać jak dobre nasiona na wietrze. Nasiono, które wyjdzie z moich

rąk, wyda owoce. Podrobione nasiono nigdy owoców nie wyda, ani

prawdziwych, ani fałszywych. Nic więcej nie powiem.

Gutenberg mówił z tak tajemniczym przekonaniem, że śmiech zamarł

Heilmannowi na ustach. Krótka odpowiedź Johannesesa brzmiała

autentycznie; cokolwiek knuł, musiało to być coś ważnego. Andreas

zrozumiał, że lepiej więcej nie pytać.

- Przyjdźcie jutro do fabryki, dam wam porządną ryzę papieru. Jeśli za

tydzień zobaczę ów tajemniczy owoc, dam więcej.

- Za miesiąc - odparł Johannes.

Kupiec pokiwał głową, pomyślał chwilę i podjął decyzję.

- Spółka - powiedział, wyciągając rękę.

- Spółka - odrzekł Gutenberg i uścisnęli sobie dłonie.

I tak w podziemnym składzie magistratu Johannes Gutenberg i

Andreas Heilmann przypieczętowali swój tajny sojusz.

5

Miasto było wstrząśnięte wiadomością o zabójstwie Hannah. Seria

straszliwych zgonów przyćmiła proces fałszerzy. Mieszkańcy czuli się

zupełnie bezbronni, tym bardziej że nie ujęto sprawcy zabójstw czy

choćby kogokolwiek podejrzanego o ich dokonanie. Mimo iż niektórzy

twierdzili, że morderca prostytutek wyświadcza nieocenioną przysługę

społeczności, oszczędzając władzom trudu, mało kto miał na tyle czyste

sumienie, żeby rzucić pierwszy kamień: większość mężczyzn w

Moguncji zadawała się z nierządnicami. Tawernę od zamtuza dzielił w

końcu dosłownie jeden krok. Młode niewiasty bały się, że zabójca może

je wziąć za nierządnicę albo, co gorsza, może wziąć za nierządnicę ich

córki, w końcu czym na pierwszy rzut oka różni się porządna kobieta od

jawnogrzesznicy? Ponadto bestialstwo, z jakim morderca zabijał i

obdzierał ofiary ze skóry, świadczyło o chorym umyśle, który kierując się

irracjonalnymi pobudkami, mógł rozszerzyć krąg zainteresowania poza

środowisko nierządnic. Sami sędziowie, prowadzący proces przeciwko

falszermom Biblii, wobec potworności zabójstw, paraliżujących całe

miasto, odnosili chwilami wrażenie, że tracą czas na trzech poślednich

oszustów. Zygfryd z Moguncji postanowił wykorzystać powszechne

współczucie wobec kobiet i dolewając oliwy do ognia, dołączył kolejne

oskarżenie przeciwko Gutenbergowi.

— Ekscelencje, główny oskarżony, nie zadowolając się kradzieżą i

fałszerstwem, do swych odrażających celów nie wahał się również

wykorzystać bezbronnej niewiasty.

Siedząc przed sędziami, Gutenberg wrócił myślami do dnia, w którym

poznał jedyną kobietę, która kochała go bezgranicznie i bezwarunkowo.

Próbując stawić czoło swojej coraz bardziej pogarszającej się sytuacji

finansowej, Johannes zdał sobie sprawę, że wszystkie jego zamierzenia

rozbijają się o mur nędzy. Rozwiązał problem tuszu, zdobył papier,

wymyślił system ruchomych metalowych elementów, wykradł najlepszy

z istniejących rękopisów, żeby posłużył mu za wzór, i

zbudował warsztat,

ukryty przed wzrokiem ciekawskich, a mimo to nadal nie był w stanie

podrobić pisma Zygryda z Moguncji. Potrzebował czasu, a przede

wszystkim pieniędzy. Był bankrutem, a jego raczkujący dorobek

przyniósł mu do tej pory jedynie same troski, zobowiązania i długi.

Po pierwsze, musiał jak najszybciej odnieść Biblię na miejsce do

biblioteki, zanim ktoś zauważy jej brak. Po drugie, papier dostarczany

przez Heilmanna był swego rodzaju zaliczką, udzieloną w ciemno na

poczet bliżej niesprecyzowanego projektu. Każda zmarnowana kartka

stawała się kolejnym długiem, dopisywanym do coraz bardziej rosnącej

wierzytelności.

Traf chciał, że właśnie wtedy Gutenberg poznał Ennelin von der Isern

Türe, najstarszą córkę jednego ze strasburskich patrycjuszy. Gdyby nie

arystokratyczne pochodzenie, nie pozostałoby jej nic innego, jak dokonać

żywota w klasztorze. Cieszyła się niekwestionowaną opinią najbrzydszej

panny w mieście. Niepisane jej było poznanie innej miłości niż miłość

Chrystusa ani poślubienie kogoś innego niż Bóg.

Jej brzydota była tematem licznych bezlitosnych komentarzy. Na

balach patrycjuszy do siedzącej gdzieś w kącie i ukrytej przed

spojrzeniami Ennelin nie raz docierały ukradkowe chichoty i drwiące

szepty:

- Opinia, jakoby Ennelin była niewiastą pozbawioną urody, jest moim

zdaniem niesprawiedliwa.

- Nie wydaje się wam brzydka?

- Ależ nie! Nie wydaje mi się niewiastą.

Chociaż okrutna, opinia ta nie była pozbawiona podstaw.

Twarz

Ennelin, zarówno w swoim wyrazie, jak i rysach, przypominała krowi

pysk, co, choć dalekie od kanonów piękna, nadawało jej fizjonomii nutkę

słodczy, niewinności i dobroduszości. Ten wygląd nie kłamał: Ennelin

była dobra do szpiku kości. Z rezygnacją słuchała gości, którzy szeptali

między sobą, zasłaniając dłonią usta:

- Ojciec, jak na to wskazuje ich nazwisko, powinien zamknąć ją za

*hem Tiire*13 i wyrzucić klucz do rzeki.

Ennelin spuszczała głowę, a jej duże, czarne, krowie oczy, otoczone

twardymi jak szczecina rzęsami, wilgotniały pod zaciśniętymi

powiekami. Figura dziewczyny przypomniała wrota, jakby dostosowano

ją do nazwiska: nie mogła się poszczycić żadnymi kobiecymi kształtami,

ani w pasie, ani w biodrach, ani w biuście. Ale jej serce i uczucia były

silne i mocne jak żelazo. Nauczyła się znosić okrucieństwo ze strony

bliźnich, oceniających wszystko przez pryzmat tego, co widzą. Ci, którzy

ją znali, okazywali jej serdeczność w tym samym stopniu, w jakim ona

darzyła nią innych, bezinteresownie i z oddaniem.

Ennelin było światłością oczu swojego ojca. W

dzieciństwie

wychowywano ją w miłości i czułości, więc kiedy stała się kobietą,

trudno jej było zrozumieć zło i brutalność, z jaką traktowano ją z powodu

jej wyglądu. Mimo wielu upokorzeń nie dopuściła do tego, żeby zatruł ją

jad urazy. Nie знаła goryczy ani nienawiści i choć na jej twarzy nierzadko

gościł smutek, nigdy nie okazywała gniewu. Miała pogodny charakter,

usta gotowe do śmiechu i radość życia. W przeciwieństwie do większości

dzieci patrycjusza, nie żyła w przekonaniu, że dobrobyt materialny i

uprzywilejowana pozycja są hojnymi

13 Isern Ttire (niem.) - żelazna brama.

darami otrzymanymi od Boga. Współczuła nieszczęściu ubogich, a jej

szczodre datki nie wynikały z dbałości o formy czy ze strachu przed

boskim wzrokiem. Doroślała i patrzyła, jak siostry, kuzynki, przyjaciółki,

a nawet niektóre z jej siostrzenic, dziewczynki niemal, wychodzą za mąż

zgodnie ze sztywnymi zasadami małżeńskich kontraktów, zawierających

niezliczone klauzule, warunki, formalności, obietnice, zobowiązania, a w

niektórych przypadkach nawet kary. Niewiele było takich, które miały

szczęście pokochać swoich mężów. Ennelin cieszyła się za każdym

razem, kiedy jedna z jej krewnych lub przyjaciółek wychodziła za mąż.

Nigdy nie czuła zazdrości czy zawiści i chociaż w głębi duszy pragnęła

poznać miłość mężczyzny, nie żywiła żadnej nadziei, że może tego

kiedykolwiek doświadczyć.

Było powszechnym zjawiskiem, że przyobiecane dziewczęta

wydawano w bardzo młodym wieku za znacznie starszych mężczyzn; na

porządku dziennym były małżeństwa sędziwych mężów dźwigających na

barkach więcej niż sześć dekad, z dwunasto-, trzynastolatkami. Żadna

niewiasta nie marzyła o młodym, nadobnym czy choćby uprzejmym

mężu, chyba że w snach. Wystarczało, gdy był sprawiedliwy, życzliwy, a

w najgorszym razie obojętny. Jedyłą zaletą mężów w podeszłym wieku

było to, że nie mieli już tyle wigoru, żeby wskakiwać często do łóżka żon

i spełniać małżeńskie obowiązki. Dla kobiet zaś nie było piękniejszej

muzyki nad głośne chrapanie, zapewniające im spokojny sen.

Sytuacja nieżonatych mężczyzn była mniej skomplikowana. W

przeciwieństwie do kobiet, niemających żadnej możliwości wyboru męża

ani przeciwstawienia się ojcowskiej decyzji, korzystali oni z większych

swobód. Rodzina kobiety nie wymagała od kandydata dobrej prezencji,

uroda dziewcząt była natomiast atutem, który miał swoją cenę przy

spisywaniu

umowy małżeńskiej i stanowił kapitał, którego Ennelin była

całkowicie pozbawiona. Niestety, jej piękno duchowe i wewnętrzne

zalety przy bezdusznych zasadach rodzinnej transakcji wymiennej, jaką

stanowiło małżeństwo, nie przedstawiały najmniejszej wartości. Jako że

głównym celem związku było zapewnienie trwałości rodu i fortuny

poprzez potomstwo, żadnych kwestii nie pozostawiano przypadkowi.

Matka, zgodnie z łacińskim terminem *mater*, wносиła do niego materię, a

ojciec, *in nomine Patris*, legat patrycjuszowski, czyli szlachecką krew. W

oczach arystokratycznych rodzin materia Ennelin nie nadawała się do

upiększania i przedłużania gałęzi dostojnego drzewa genealogicznego.

Z drugiej strony rodzina von der Isern Türe, mimo arystokratycznych

korzeni, nie należała do najbogatszych w Strasburgu; niektórzy z kupców,

przedstawicielei rodzącej się burżuazji, mogli pochwalić się fortuną

wielokrotnie większą, nawet jeśli ich krew nie miała nic wspólnego z

błękitem. Rodzinny zamek nad Renem, ongiś majestatyczny, stracił swój

blask i straszyl niezamieszkanymi skrzydłami i popękkanymi murami.

Jego okazałe żelazne bramy, które dały początek nazwisku, pokrywała

stuletnia rdza.

Ojciec Ennelin, Gustav von der Isern Türe, był dalekim krewnym i

bliskim przyjacielem burmistrza Strasburga. To połączyło Ennelin i

Johannesa. Zawsze gdy Gustav poznawał jakiegoś patrycjusza, pytał bez

ogródek, czy jest żonaty. Dowiedziawszy się, że młody rytownik z

magistratu jest kawalerem, pomyślał, że ma przed sobą idealnego

kandydata dla córki. Było jasne, że Gutenberg nie posiada niczego poza

rodowodem, bo jak inaczej dałoby się wytłumaczyć, dlaczego młody,

wykształcony człowiek musi zarabiać na skromne życie puncą i dłutem.

Już zanim poznał tragiczną kondycję finansową Johannes, Gustav von

der Isern Türe wiedział, że

w swojej sytuacji nie może wymagać zbyt wiele. Ponadto słyszał o

exodusie i prześladowaniach, jakie po rewolcie spadły na patrycjat

Moguncji. Wśród osób szlachetnie urodzonych z różnych miast

powszechne było poczucie solidarności klasowej; w końcu każdą rodzinę

wcześniej czy później dotykały podobne nieszczęścia.

Dumny właściciel zamku za żelazną bramą był

człowiekiem

uprzejmym, dobrze wychowanym i miłym w obejściu. Jednakowoż za

jego dwornymi manierami można było dostrzec twarde, nieugięty

charakter. Kiedy obdarzał kogoś zaufaniem, był zdolny do

najszlachetniejszych odruchów, ale gdy ktoś zawiódł jego przyjaźń,

zmieniał się w nieprzejednanego wroga.

Johannes ze swej strony nigdy nie uważał się za szlachetnie

urodzonego, póki jego rodziny nie zmuszono do ucieczki z Moguncji.

Przynależność do patrycjatu przyniosła mu zresztą więcej cierpień niż

korzyści, jakie mógłby czerpać z tego faktu. Mimo swego

nieposzlakowanego rodowodu rodzina Gensfleischów nie odziedziczyła

bogactw po swoich przodkach. Zresztą ojciec Johannesesa był mincerzem,

którego spracowane dłonie bardziej przypominały ręce prostego

rzemieślnika niż wysokiego rangą urzędnika, którym, nawiasem mówiąc,

również był. A syn, choć bardzo się przed tym wzbraniał, bał się, że czeka

go ten sam los. Nigdy nie wyobrażał sobie, żeby jego nazwisko mogło się

stać wartością samą w sobie.

Rodzina Gutenberga miała coś, czego brakowało rodzinie von der

Isern Türe, i vice versa. Gustav zaczął odwiedzać magistrat, więcej czasu

spędzając na rozmowach z Johannesem niż ze swoim przyjacielem

burmistrzem. Nagle stał się gorącym wielbicielem rytownictwa i

utalentowanego artysty z Moguncji, któremu nie szczędził pochwał.

Gutenberg

wypracował

sobie szczególny zmysł powonienia,

wychwytyjący

zapach świeżych pieniędzy, których tak bardzo potrzebował.

Przeczuwał, że zainteresowanie nowego przyjaciela jego osobą ma jakiś

nieznany mu jeszcze cel. Aż pewnego dnia Gustav von der Isern Türe

wyznał szczerze:

- Byłby to dla mnie zaszczyt, gdybyś się zgodził poślubić moją

najstarszą córkę, moją ukochaną Ennelin.

Johannes osłupiał. Nie był w stanie wykrztusić słowa. Nieczęsto się

zdarzało, żeby ktoś proponował rękę córki. Postępowano zazwyczaj

odwrotnie. Był świadom, oczywiście, że tak zwana dworska miłość, pełna

namiętnych wyznań, rycerska i platoniczna zdarza się tylko w wierszach i

pieśniach trubadurów. Potajemni kochankowie wspinający się na

balkony, przygody, które kończyły się śmiercią z rąk upokorzonego

małżonka lub samobójstwem z powodu nieszczęśliwych zrzędzeń losu z

uporem rozdzielającego kochanków, wszystko to było jedynie literaturą.

Zgodnie z kanonami dworskiej miłości zakochany winien traktować

swoją wybrankę w taki sam sposób, w jaki wasal odnosi się do swojego

pana. Podobnie jak epickie opowieści służyły książętom za maskującą

oprawę podłych paktów, mętnych kompromisów i nieczystych interesów,

tak miłość dworska była patetyczną maskaradą małżeńskich transakcji.

Gutenberg zdawał sobie sprawę, że Gustav von der Isern Türe składa

mu propozycję handlową. Nie wiedział jeszcze, jaka rola przypadła mu w

tym przedsięwzięciu, ale wiedział, że rozpaczliwie potrzebuje pieniędzy,

żeby zrealizować swoje plany. Dlatego też ze spokojem kogoś, kto

uzgadnia warunki kontraktu, Johannes bez chwili zastanowienia spytał

ojca Ennelin:

- Ile dajecie w posagu?

- Osiemset guldenów - odrzekł Gustav, jakby już wcześniej obliczył tę

sumę.

- Tysiąc dwieście.

- Dziewięćset.

- Tysiąc sto.

- Tysiąc.

- Niech będzie tysiąc - przystał Gutenberg i dodał: -
Pięćset guldenów

po podpisaniu zobowiązania i pięćset po ślubie.

- Dwieście po podpisaniu i osiemset po ślubie.

- Czterysta i sześćset.

- Trzysta i siedemset.

- Umowa stoi - zgodził się Gutenberg i wyciągnął prawicę
do

przyszłego teścia.

- Umowa stoi - odrzekł człowiek zza żelaznych wrót i
uścisnął

Johannesowi dłoń.

I oto w sali rytowników magistratu ojciec Ennelin wziął jedną z wielu

białych kart, których stos leżał na stole, poprosił gospodarza o pióro i

inkaust i zredagował małżeńską intercyzę. Uczyniwszy to, poszedł

odszukać swojego przyjaciela, burmistrza Strasburga, żeby w obecności

najlepiej umocowanego świadka w mieście podpisać stosowny

dokument.

Po złożeniu podpisów, ku całkowitemu zaskoczeniu Gutenberga,

Gustav von der Isern Türe wydobył z sakwy dokładnie odliczoną kwotę,

jakby z góry znał warunki kontraktu. Zapłacił złotymi monetami.

Ponownie uścisnęli sobie dłonie, po czym, zapłaciwszy za

kontynuację rodu, uspokojony ojciec Ennelin wycofał się,

zabierając ze

sobą zobowiązanie Johannaesa.

Kiedy zostali sami, burmistrz spytał rytownika:

- Poznałeś już Ennelin?

- Jeszcze nie - odpowiedział Gutenberg, chowając pieniądze.

Odwracając się na pięcie i kierując do drzwi, burmistrz

odchrząknął. Johannesowi wydało się, że usłyszał jego chichot, zanim

ten opuścił salę.

6

Podczas nieustających prób drukowania Gutenberg zauważył, że

zmodyfikowana przez niego prasa ma kilka wad. Urządzenie,

przeznaczone pierwotnie do wyciskania oliwy, było zbyt toporne na tak

precyzyjne przedsięwzięcie jak drukowanie liter, wyglądających, jakby

zostały nakreślone piórem. Trudno było również tak wypoziomować

prasę, żeby wywierała równomierny nacisk na całą powierzchnię płyty:

bywało, że litery po prawej stronie papieru wychodziły słabe, to znów

górną część stronicy była wyraźniejsza niż dolna, w zależności od tego,

jak uregulowano położenie nieruchomego i ruchomego stempla. Ponadto

prasa okazała się zbyt twarda dla drewnianych klocków, które często się

kruszyły; nie nadawała się również do pierwszych metalowych czcionek,

z którymi Johannes zaczął eksperymentować.

Gutenberg nie miał czasu do stracenia. Tego samego dnia, w którym

podpisał zobowiązanie zawarcia małżeństwa z Ennelin,
opuścił magistrat

i z zapadnięciem zmroku udał się do swojej sekretnej
kryjówki w

opactwie świętego Arbogasta. Nie myśląc ani przez
chwilę o swoim

przyszłym małżeństwie, nakreślił plany nowej prasy,
przystosowanej do

ruchomych metalowych czcionek, a zanim nastał świt,
dysponował już

miniaturowym modelem. Nie zmrużywszy oka, nie myśląc
o jedzeniu,

wczesnym rankiem zszedł do miasta i udał się do
warsztatu Konrada

Saspacha, najlepszego fabrykanta maszyn w Strasburgu.

Saspach mistrzowsko łączył rzemiosło ciesielskie z
kowlstwem i

tokarstwem. Potrafił wytwarzać maszyny rolnicze, takie
jak prasy, młyny

i młyńskie kamienie. Z jego gigantycznego warsztatu wychodził również

wyrafinowany bojowy

sprzęt: od precyzyjnych, lekkich kusz począwszy, a na ciężkich,

niszczycielskich katapultach skończywszy.

Gutenberg i Saspach darzyli się nawzajem zaufaniem i szacunkiem,

częstymi wśród rzemieślników różnych gildii, których światy stykały się,

ale nie konkurowały ze sobą. Każdy z nich był najlepszy w swojej

dziedzinie, nie było więc powodu do zazdrości ani konfliktów.

Utrzymywali dość oschłe, celowo szorstkie kontakty, jakby jeden chciał

udowodnić drugiemu, że jego zajęcie bardziej przystoi mężczyźnie.

Johannes wpadł do pracowni Konrada, wyglądając i

zachowując się

jak szalencie: oczy miał przekrwione z bezsenności,
zmęczenia i euforii,

jaką napełnił go wynik nocnej pracy. Cieśla wziął go za
żebraka i

niewiele brakowało, a byłby go wyrzucił. Kiedy w końcu
go rozpoznał,

pomyślał, że powszechnie szanowany moguncki rytownik
postradał

zmysły.

- Na Boga, na wasz widok sam diabeł dałby drapaka! -
wykrzyknął,

próbując ukryć zaniepokojenie.

- Jakoś nie widzę, żebyś uciekał - odparł Gutenberg tym
samym

tonem.

- Co cię sprowadza tak wczesną porą? Choć sądząc po
twoim

wyglądzie, powinienem rzec chyba: tak późno.

- Wyobraź sobie, że w przeciwieństwie do niektórych cieśli jestem

człowiekiem pracy...

Na dowód swych słów Gutenberg wyciągnął z sakwy miniaturowe

urządzenie i położył je na stole Konrada. O ile Johannes wyglądał

żałośnie, o tyle mały, złożony mechanizm, nawet dla doświadczonego

Saspacha, prezentował się wprost niezwykle.

- Chcę, żebyś jak najszybciej zbudował tę maszynę i, oczywiście,

zachował dyskrecję - powiedział Gutenberg.

- Dyskrecja jest droższa niż czas - odparł Konrad pół żartem, pół serio.

Wziął lupę i obejrzał dokładnie makietę. Obracał, przyglądając się jej

z każdej strony, po czym, jakby nagle postanowił się zabezpieczyć,

podsumował:

- Nie mogę tego zrobić.

- Ty stary lisie, zrobisz to z zamkniętymi oczami. Chyba nie chcesz,

żebym cię błagał na kolanach ani żebym zapłacił więcej, niż jest to warte.

- Mówię poważnie, Johannesie. Nie mogę - powtórzył Konrad ze

złośliwą miną.

Johannes zmienił się na twarzy. Z uśmiechem, którym próbował

pokryć złość, powiedział:

- Nie mogłem ci bardziej ułatwić zadania. Jest niemal gotowa.

Wystarczy ją powiększyć w skali jeden do dziesięciu.

- Nie rozumiesz - przerwał mu Saspach, zdejmując model

ze stołu i

wręczając z powrotem Gutenbergowi. - Nie wolno mi budować narzędzi

tortur bez polecenia archidiecezji lub królewskiego edyktu.

Johannes wybuchnął śmiechem. Dopiero teraz zauważył

podobieństwo do narzędzi tortur. Urządzenie przypominało siejące grozę

madejowe łoże: wąska, sztywna ława z poruszającym się po całej jej

długości ruchomym elementem. Jednakże korba, przymocowana

zazwyczaj wzdłuż, tym razem umieszczona została powyżej i

uruchamiała prostopadły suwak prasy, służący najwyraźniej do

miażdżenia głowy torturowanego.

- Jak mogłeś pomyśleć coś takiego? Czy ja wyglądam na Szatana? -

spytał Gutenberg, zanosząc się śmiechem przerywanym atakami kaszlu

świadczącym o wyczerpaniu.

- W takim razie, co to, do diabła, jest? - spytał Konrad Saspach z

poważną, dociekliwą miną.

Johannes nie liczył się z koniecznością ujawnienia cieśli swojej

tajemnicy. Ale wyglądało na to, że nie miał innego wyjścia.

- To prasa - oznajmił lakonicznie, nie wchodząc w szczegóły.

- To widzę, ale wygląda na prasę do zgniatania czaszek.

- To prasa ksylograficzna - skłamał Gutenberg. - Tutaj wkłada się

ryzę, a prasa uruchomiona za pomocą metalowej korby odciska formę na

papierze. Przypominam ci, że jestem rytownikiem, nie katem. Choć

myśle, że może by mi to wyszło na dobre - dodał żartobliwym tonem,

usiłując przebić lodowatą ścianę, jaka między nimi wyrosła.

Te ostatnie słowa przekonały Saspacha.

- Trzysta guldenów, połowa płatna z góry. Będzie gotowa za miesiąc -

podsumował.

- Mogę zapłacić trzysta guldenów teraz, jeśli obiecasz, że zrobisz ją w

dwa tygodnie.

Cieśla z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Zrobię, co się da - obiecał.

Konrad wystawił Johannesowi pokwitowanie, w którym zobowiązał

się do skończenia prasy w dwa tygodnie⁴.

Gutenberg zapłacił pieniędzmi, które otrzymał od przyszłego teścia, a

przed opuszczeniem warsztatu powiedział do cieśli:

-Jeśli prasa nie będzie działać jak trzeba, przysięgam, że osobiście

zmiżdżę ci nią czaszkę.

Ennelin była zdenerwowana; dziwny strach zawładnął tym z natury

pogodnym dziewczęciem.

Gustav von der Isern Türe i jego żona przygotowali się starannie na

tak długo oczekiwaną okazję. Po raz pierwszy od wielu lat zamek za

żelaznymi wrotami odzyskał część utra-

14 Dokument potwierdzający dokonanie płatności zachował się do

dziś.

conej świetności. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zapłonęły

wszystkie lampy, świeczniki, a nawet pochodnie u drzwi. Ennelin liczyła

dni, godziny i minuty do chwili, kiedy wreszcie usłyszy stukot kopyt

konia, który zatrzymał się przy wejściu. Serce waliło jej, jakby chciało

wyskoczyć z piersi.

Johannes doprowadził się już do porządku. Pewność, że jego nowa

prasa jest już w budowie, przywróciła mu po części spokój: po kilku

dniach i nocach nieprzerwanej pracy mógł wreszcie odpocząć i dojść do

siebie. Od dawna nie przespał sześciu godzin z rzędu. Bliskie zaślubiny z

nieznajomą kobietą w ogóle go nie niepokoiły; wręcz przeciwnie,

wiedział, że pewnego dnia będzie musiał zawrzeć związek małżeński, a

lepszej partii nie znajdzie nigdzie. Otrzymał z góry posag, który pozwolił

mu z pewną swobodą doprowadzić swój projekt do końca. Zapłacił

Konradowi Saspachowi za prasę, a po ślubie dostanie następne siedemset

guldenów, które włoży w swoje przedsięwzięcie. To był kapitał, którego

potrzebował do założenia własnego warsztatu. Ponadto wyobrażał sobie

radość matki, kiedy się dowie o jego małżeństwie. Czyż mogła pragnąć

czegoś więcej niż młodej, bogatej synowej, należącej do strasburskiej

arystokracji?

O tym wszystkim myślał Johannes, kierując kroki do zamku, którego

światła odbijały się w wodach Renu. Patrzył na blask tego, co miało być

jego nowym domem, znacznie bardziej wystawnego niż jego rodzinny

dom w Moguncji czy maleńkie gospodarstwo w Eltville nad Renem, nie

mówiąc już o skromnej izbie, w której mieszkał w Strasburgu. Zanim

przekroczył próg, jedno skrzydło ogromnych żelaznych wrót otworzyło

się przed Gustavem von der Isern Türe, który wyszedł mu na spotkanie

wystrojony jak król.

- Witaj w moich skromnych progach - powiedział ze szczerym

uśmiechem. Następnie ucałował Johanna w oba policzki i szerokim

gestem zaprosił do środka.

Johannes nie wiedział, na co patrzeć najpierw: wysokie mury,

półkoliste łuki, kamienne ściany, malowidła dekorujące ogromną salę,

perskie dywany, rzeźbione w szlachetnym drewnie meble, wszystko

urządzone z rozmachem typowym dla katedry i

przepychem, którego nie

powstydzilby się królewski pałac. Gutenberg był tak olśniony

wszechobecnym blichtrzem, że jego oczy nie dostrzegały ciemnych plam

na stropie, łuszczących się fryzów, podartego jedwabiu pokrywającego

ściany ani wytartych obić na fotelach czy rdzy na okuciach. W końcu nic

w tym dziwnego: patyna czasu nie musi być oznaką upadku, potwierdza

raczej stare pochodzenie prawdziwego arystokratycznego rodu, jest

świadectwem rodowodu, którym nie może się pochwalić w swoich

wąskich domach nowa burżuazja, bez względu na bogactwo, o jakim

świadczą zdobiące je kapitele.

Zanim gość honorowy spojrział w dół na grupę ludzi, która

oczekiwała

na niego w sali, minęło sporo czasu. Pośrodku pomieszczenia, jakby była

namalowana, siedziała w fotelu z wysokim oparciem żona Gustava. Obok

niej dwie panny o zaróżowionych policzkach witały gościa, obdarzając

go wystudowanym, konwencjonalnym uśmiechem. Najwyraźniej były to

córki von der Isernów. Wnikliwy wzrok Gutenberga odnotowywał każdy

najdrobniejszy szczegół: starsza odziedziczyła ciepłe spojrzenie ojca i

dobrze maniery matki. Druga, młodsza, miała okrągłą twarz, pulchne

kształty i wydatny biust, podkreślony głębokim dekoltem ukazującym

rowek między krągłymi piersiami. Gdyby miał wybierać, bez wątpienia

zatrzymałby tę drugą, ale obie w zasadzie były w porządku. Za ich

plecami stali dwaj młodzieńcy, zapewne synowie gospodarzy, i starszy

mężczyzna, przypuszczalnie mąż jednej z córek. W ostatniej linii, przy

ścianie, nieco w cieniu stała służba.

Gutenberg był szczęśliwy. Uśmiech prawdziwej radości wypłynął na

jego oblicze. Długie noce samotności w klasztorze świętego Arbogasta, w

makabrycznym towarzystwie trupów ze starego cmentarza, na wygnaniu,

z dala od matki, rodzeństwa i przyjaciół z dzieciństwa, przeobraziły

Johannesa w swego rodzaju pustelnika. Po raz pierwszy od długiego

czasu czuł ciepło rodzinnego domu. Lepiej być nie mogło:

patrycjuszowska rodzina, zamek nad brzegiem rzeki i

młoda, wdzięczna

żona.

Wreszcie gospodarz rozpoczął formalną prezentację. Ojcowskim

gestem objął ramieniem gościa i ogłosił:

- Kawaler Johannes Gensfleisch zur Laden, ze znamienitej rodziny

Gutenbergów z Moguncji.

Johannes złożył ukłon przed panią domu, który, jak mu się wydawało,

przyjęto przychylnym spojrzeniem. Wtedy Gustav zaczął przedstawiać

członków rodziny:

- Moja żona Anna - powiedział, a kobieta skłoniła lekko głowę.

- Moi synowie: Edward i Wilhelm. - Obydwaj stanęli na baczność i

wyprężyli się.

- Moja córka Marie. - Gospodarz wskazał siedzącą po prawej stronie

matki szczupłą dziewczynę, która wstała i ukloniła się uprzejmie.

- Jej mąż Joseph - powiedział pan zamku, wyciągając rękę do

starszego mężczyzny stojącego za oparciem fotela.

- Elizabeth, moja najmłodsza córka.

Johannes nie posiadał się z radości; spojrzał zachwyconym wzrokiem

na dziewczę i musiał się powstrzymać, żeby nie powędrować nim ku

dekoltowi, który prezentował się wyzywająco, dumnie i kusząco. Kiedy

dziewczyna wstała, żeby dygnąć, ujrzał jej zgrabną sylwetkę i apetyczne

krągłości. Jego radość była tak wielka, że nie zwrócił uwagi na jej imię.

Już się pochylał z zamiarem klęknienia u jej stóp, kiedy

zamarł w pół

drogi. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, gospodarz wyciągnął rękę w

kierunku drzwi i uroczystym tonem obwieścił:

- Ennelin!

W tym momencie w drzwiach ukazały się dwie służące prowadzące

oblubienicę.

Gutenbergowi odebrało mowę. Przed wyciągnięciem wniosków

musiał rozpracować zawłości figury narzeczonej, niełatwo było bowiem

pojąć, w jaki sposób materia układa się wewnątrz sukni. Tam, gdzie

powinny być wklęsłości, były wypukłości; części, które miały być

płaskie, były wystające. Ponadto sposób, w jaki się poruszała, niewiele

miął wspólnego z chodzeniem: jakby biodra nakręcał jakiś mechanizm,

wprawiając je przy każdym kroku w naprzemienny ruch pół-obrotowy z

jednej strony na drugą. Wyglądała jak cielę, które nauczyło się chodzić w

pozycji pionowej. Wrażenie podkreślał siodłowy czepiec, dwustożkowy

hennin, który jeszcze bardziej upodabniał ją do krowy. Ennelin

uśmiechnęła się do narzeczonego ustami kłowna: koścista dolna szczęka

wystawała z twarzy jak balkon z poręczą w postaci zębów, rzadkich,

krzywych i żółtych. Oczy, duże i wyłupiaste jak jajka, odcinała od czoła

ciągłą, prostą linią zrosniętych brwi, jakby namalowana jednym

pociągnięciem grubego pędzla.

Na widok przyszłej żony Johannes poddał rewizji swoje ostatnie

przemyslenia: samotność, życie pustelnika w ruinach Świętego

Arbogasta, bezsenne noce, ponure towarzystwo martwych złodziei, nic na

tym świecie nie mogło być bardziej przerażające niż ta bliżej

nieokreślona istota przebrana za niewiastę. Przyjąwszy za pewnik tę

ostatnią myśl, Johannes podszedł do Ennelin, pochylił się do jej nóg i

oświadczył:

-Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

8

Zatopiony w własnych wspomnieniach, Johannes odtwarzał w

pamięci ów pierwszy dzień w domu Ennelin. Czuł się oszukany. Teraz,

kiedy poznał narzeczoną, zrozumiał szydery śmiech burmistrza. Nie

spodziewał się tak haniebnego podstępu po Gustavie von der Isern Türe.

Przemycił konia trojańskiego, wykładając nędzne tysiąc guldenów. Choć

w rzeczywistości przyszła żona bardziej przypominała Minotaura,

o ile w ogóle można by się pokusić o jakiegokolwiek porównanie jej do

ludzkiej postaci. Gdyby poznał ją wcześniej, czułby się niejako

uprawniony do tego, żeby zażądać zamku za żelazną bramą wraz z całą

posiadłością.

Johannes od dawna nie cieszył się intymnymi chwilami w

towarzystwie niewiast. Jak głupek łudził się, że przypadnie mu

najpiękniejsza z córek Gustawa. Różnica między

narzeczoną a jej siostrą

okazała się dla niego szokiem. Nawet gdyby dał z siebie wszystko, nie

będzie w stanie spełnić małżeńskiego obowiązku. Jego niewielkie alter

ego, spragnione cielesnych doświadczeń, nie stanie na wysokości

zadania, żeby wesprzeć go w tej batalii. Podpisał jednak kontrakt

i nie mógł się wycofać; naruszenie umowy między rodami

Gutenberów i von der Isern Türe groziłoby mu poważnymi

konsekwencjami sądowymi i finansowymi, a jego honor na zawsze

pozostałby zbrukany. Poza tym wziął już część posagu i rozpaczliwie

potrzebował reszty.

Ennelin była uosobieniem dobroci. Podczas kolejnych spotkań, które

nastąpiły po prezentacji, zwracała się do przyszłego męża z uczuciem i

oddaniem, jakich nie doświadczył od nikogo innego. Świadoma

wrażenia, jakie wywoływał jej wygląd, zawsze starała się siadać tak, żeby

Johannes nie musiał na nią patrzeć; w salonie zajmowała miejsce w fotelu

za swoim oblu-

bieńcem albo w jakimś ciemnym kącie. Ennelin miała słodki głos i

potrafiła rozmawiać na wiele tematów. Była inteligentna i zdobiła ją

rzadka cnota rozsądku: nigdy nie wymknął jej się żaden niestosowny

komentarz. Była bardziej skłonna do słuchania niż mówienia, rozumienia

czyichś racji niż narzucania swoich, rozumienia błędów niż ich

krytykowania lub potępiania zachowania innych.
Podziwiała też sztukę i

rzemiosło Johanna. Za każdym razem, kiedy widziała
jego nowe

ryciny, nie szczędziła szczerych wyrazów podziwu.

- Ennelin, musisz wiedzieć, że jestem biednym
człowiekiem,

zwyczajnym rzemieślnikiem. Pragnę poświęcić się
całkowicie tobie i

wielbieniu Najwyższego poprzez głoszenie Jego Słowa -
zwrócił się

Johannes przyszłej żonie.

Po czym opowiedział jej o swojej fascynacji księgami.
Aby nie

wyjawić tajnego projektu drukowania ksiąg za pomocą
ruchomych

metalowych czcionek, pokazał jej parę swoich
najlepszych ksiąg

blokowych. Na widok pięknego egzemplarza *Biblii*

ubogich oczy Ennelin

wypełniły się łzami.

- Co jest potrzebne, abyś mógł pójść za głosem swojego prawdziwego

powołania?

Johannes opuścił głowę i z dramatyczną, wystudiowaną miną

powiedział rozpaczliwym tonem:

- Wolę o tym nie mówić.

- Czyżbyś potrzebował pieniędzy?

- Nie, moja droga Ennelin, nie o pieniądze tu chodzi. Służę Bogu z

potrzeby serca.

- Ale jak możesz Mu służyć, nie mając pieniędzy na swoje przedsięwzięcie?

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie ...

- Pieniądże może mieć każdy, talent natomiast to rzadki dar. Mój drogi

Johannesie, jeśli mi na to tylko pozwolisz, mogę ci pomóc.

- W jaki sposób?

- Zgódź się, a dam ci trochę pieniędzy.

- Wykluczone! Jak mogłaś w ogóle o tym pomyśleć? Nigdy bym ich nie przyjął.

- Nie czyń tego dla mnie, uczyń to dla Niego. Stosunek Johanna do

Boga zależał od sytuacji, w jakiej

się znajdował. W nieszczęściu i potrzebie jego pobożność graniczyła z

mistycyzmem. Jeśli zaś, tak jak w owej chwili, fortuna uśmiechała się do

niego, nie wahał się wzywać Jego imienia nadaremno. Wzniósł oczy do

nieba, potrzęsnał głową jak ktoś stojący przed nierozwiązywalnym

dylematem i wreszcie, wzdychając głęboko, wyraził zgodę.

- Pozwolisz mi sobie pomóc? - spytała Ennelin, podskakując z radości

na swoich krągłych jak świńskie udźce nóżkach.

- Pod warunkiem że obiecasz mi jedno...

- Co tylko zechcesz...

- Nie powiesz nic ojcu.

- Byłby dumny ze współpracy z tobą w tak szlachetnej misji.

- Zrobimy mu niespodziankę, kiedy pierwsza Biblia wyjdzie spod

prasy.

Ennelin, z twarzą rozjaśnioną uśmiechem, rzuciła się Johannesowi w

ramiona. Odsunął ją, przemawiając z czułością, którą

starał się maskować

obrzydzenie, jakim nappełnił go fizyczny kontakt z narzeczoną.

Tego samego dnia otrzymał sto guldenów z małych, ale hojnych

rączek Ennelin.

9

Gutenberg nie tracił ani chwili. Z nowo zdobytymi pieniędzmi pobiegł

do warsztatu Saspacha. Z jednej strony chciał zobaczyć postęp w

konstruowaniu prasy, z drugiej zlecić mistrzowi wykonanie nowego

urządzenia.

- Nie możesz się doczekać swojego narzędzia tortur?

- Żebyś wiedział! Marzę o tym, żeby wypróbować je na twojej

czaszce, choć nawet pod prasą nic się z niej nie wyciśnie.

Cieśla poprowadził go do warsztatu na tyłach, w którym stała na

środku w połowie zmontowana prasa. Była tak piękna, że Johannes nie

mógł oderwać od niej wzroku, jak ktoś podziwiający rzeźbę lub

arcydzieło architektury. Wyglądała majestatycznie, nie przypominała w

niczym zwykłej prasy. Nikt by się nie domyślił, że maszyna ma

jakikolwiek związek z prymitywnymi urządzeniami służącymi do

wyciskania soku z winogron czy oliwy z oliwek. Gutenberg uświadomił

sobie nagle, że wymyślił coś zupełnie nowatorskiego, niepowtarzalnego,

a stara, prymitywna prasa nie jest godna nosić tej samej nazwy. Nie miał

pojęcia, jak nazwać to urządzenie przewyższające inne przedmioty

rozrzucone dokoła.

Saspach, jakby czytał w myślach klienta, zapytał:

- Ochrzciles ją już jakoś?

Maszyna była czymś więcej niż zwykłą prasą. Jej zadanie nie polegało

na wyciskaniu płynu, tylko na odciskaniu odbitki, to znaczy

pozostawianiu śladu, jaki twardy materiał zostawia na miękkim - na

drukowaniu 15.

- Prasa drukarska - mruknął Gutenberg pod nosem, jakby zastanawiał

się na głos.

15 Niemieckie słowo „drucken” - oznacza „naciskać”, „wywierać

nacisk” (przyp. tłum.).

- Jak? - dopytywał się cieśla.

- Nic, nic, nie ma jeszcze nazwy - wycofał się Johannes.
Następnie

wyciągnął z zanadrza kawałek papieru i pokazał
Konradowi Saspachowi

widniejący na nim rysunek.

- Chcę, żebyś zrobił coś takiego.

Przedmiot wyglądał trochę jak jedna z punc, jakich jego
ojciec używał

do tłoczenia monet, tyle że był znacznie mniejszy, a w
miejscu, gdzie

powinien być wyrzeźbiony rewers lub awers monety, nie
było nic. Był to

metalowy prostopadłościan, osadzony w drewnianym
uchwycie.

Przedmiot rozmiarem nie przekraczał długości małego
palca.

Kowal przyjrzał się uważnie rysunkowi i spytał:

- Z jakiego powinien być metalu?

- Muszę przeprowadzić próby, więc niektóre powinny być z żelaza,

niektóre z ołowiu, a niektóre z miedzi.

- Niektóre to znaczy ile?

- Jakieś sto. -Sto!

- Sto z każdego metalu.

- Trzysta?

Gutenberg przytaknął.

- Pomogę, jeśli powiesz, do czego to, u diabła, ma służyć...

- Bóg zadaje mniej pytań.

- Za dużo tych tajemnic - powiedział Saspach z przekąsem. Gdyby nie

wiedział, że rytownik z Moguncji ma wyjątkowy talent, pomyślałby, że to

jakiś szaleniec. Ślepe pun-ce wydawały się zupełnie bezużyteczne.

Nietrudno było się domyślić, że obie rzeczy są ze sobą powiązane, ale

cieśla nie mógł się dopatrzeć żadnego związku. Nie uwierzył w

lakoniczne wyjaśnienie swojego klienta dotyczące zastosowania

urządzenia, aczkolwiek nie można też powiedzieć, żeby tajemnica

spędzała mu sen z powiek. Najważniejsze, że Johan-

nes zapłacił mu z góry. Każdy powinien się zajmować swoimi

sprawami. Nie wiedział, na czym polega projekt rytownika, ale wiedział,

na czym polega jego zadanie. Wierny tej zasadzie, położył rysunki na

stole i oświadczył:

- Sto pięćdziesiąt guldenów za trzysta sztuk.

Johannes musiał się ugryźć w język, żeby nie zaprotestować; wiedział,

że Saspach nie tylko nie znosi się targować i gotów nawet wypchnąć go z

warsztatu, jak wielu innych, którzy ośmielili się kłócić o cenę, ale także,

że nikt w Strasburgu nie był w stanie wykonać tej pracy.

- Ile czasu ci to zajmie?

- Najpierw muszę skończyć prasę - zaczął się zastanawiać Konrad, ale

Gutenberg mu przerwał:

- Wolałbym mieć je przed zbudowaniem maszyny.

- Wykluczone - zaprotestował Saspach. - Twoja machina zajmuje mi

cały warsztat, nie może tu stać w nieskończoność.

Po czym cieśla i rytownik wdali się w spór, który doczekał się

rozstrzygnięcia, dopiero gdy Johannes wyciągnął sto pięćdziesiąt

guldenów i położył je na stole.

- Płacę z góry i proszę, żeby były gotowe za tydzień.

- To niemożliwe.

Johannes rzucił mu surowe spojrzenie. Rozkazującym tonem kogoś,

dla kogo jest to kwestia życia i śmierci, powtórzył:

- Za tydzień.

Konrad przyjrzał się ponownie rysunkowi, zrobił kilka okrążeń,

analizując każdy szczegół, po czym wziął pieniądze i skinął głową.

- W takim razie prasa musi poczekać tydzień dłużej.

Uwadze Gutenberga nie umknął fakt, że dzień, w którym Saspach

obiecał zakończyć budowę urzędnictwa, ma być dniem jego ślubu z

Ennelin.

10

Rodzinę von der Isern Türe całkowicie pochłonęły przygotowania do

wesela. Ojciec panny młodej zaoferował przyszłemu zięciowi zachodnie

skrzydło zamku za żelazną bramą, opuszczone od wielu lat. Nie było to

bezinteresowne zaproszenie ani przejaw sympatii wobec Gutenberga,

lecz zwykła transakcja; wzięwszy pod uwagę hojny posag, jaki

zaoferował Johannesowi wraz z córką, Gustav miał zamiar odliczyć od

pozostałych siedmiuset guldenów koszty odnowienia budowli, które

oczywiście nie będą niskie. Johannes odmówił uprzejmie. Układnym

tonem przypomniał teściowi, że spisana umowa nie zawiera podobnej

klauzuli.

- Mój drogi Gustavie, podjąłem zobowiązanie, a jeszcze nigdy nie

złamałem danego słowa. Gdyby został mi przedstawiony taki wymóg, z

przyjemnością bym go omówił.

Nie tracąc zimnej krwi, ojciec Ennelin przypomniał Gutenbergowi, że

wiano nie jest przedmiotem transakcji handlowej, ale wkładem w

utrzymanie młodej żony.

- Mój drogi Johannesie - rzekł, trzymając się konwencji narzuconej

przez Johanna - wspomniana przez ciebie klauzula jest wyrażoną

implicite częścią umowy przedmałżeńskiej. Dach, pod którym zamieszka

moja córka, jest najważniejszą częścią tego, co kontrakt określa jako

„utrzymanie”.

Gutenberg uśmiechnął się sztucznie i pokręcił głową, nie przecząc ani

nie wyrażając zgody. Właśnie chciał wytoczyć kolejny argument, gdy

Gustav uzupełnił swoje stanowisko, na wypadek gdyby Johannes go nie

zrozumiał lub miał jeszcze jakieś wątpliwości:

- Nigdy nie dopuszczę, żeby moja ukochana Ennelin choć przez

chwilę przebywała w tej obskurnej norze, w której mieszkasz.

Wstyd i furia zabarwiły na krwistoczerwono blade zazwyczaj policzki

Gutenberga; musiał uczynić nadludzki wysiłek, żeby nie zapomnieć o

dobrych manierach.

- Zgodnie z *traditio puellae*, ojciec wydaje córkę mężowi, żeby

powiódł ją do swego rodzinnego domostwa. Możemy zamieszkać w

rezydencji Eltville nad Renem lub w moim domu w Moguncji.

Ojciec Ennelin roześmiał się krótko, ale głośno, położył tękę na

ramieniu Johannesesa i uciał dyskusję:

- Cenię sobie poczucie humoru. Nazywanie rezydencją chłopskiej

chałupy w Eltville jest wyśmienitą krotoczwilą. Sama propozycja, żeby

moja dziecinka żyła wśród wieprzy i kur, jest obrazą.

- Dla wieprzy i kur - wymamrotał Gutenberg, zagryzając wargi, żeby

nie powiedzieć tego głośno. „Dziecinka Ennelin” miała chód i wdzięk

dzika i z pewnością nie zostałaby przychylnie przyjęta w zagrodzie przez

inne bydłatka.

Na szczęście uwaga Johannaesa, wypowiedziana szeptem, prawie *in*

pectore, nie dotarła do uszu Gustawa, który kontynuował wygłaszanie

brzmiającej jak wyrok decyzji:

- Poza tym w Moguncji nie byłaby bezpieczna. Lud szybko puszcza

wszystko w niepamięć, ale drzemiąca nienawiść do patrycjusza może

znaleźć wyraz w kolejnej rebelii.

Gustav von der Isern Türe wstał, obszedł wkoło przyszłego zięcia i

oświadczył surowo:

- Będziecie mieszkać tutaj, w moim domu. To nie sugestia, propozycja

ani prośba. Nie pozwolę, żeby moja córka opuściła rodzinę. Nie podlega

też dyskusji, że koszty renowacji odliczone zostaną od posagu, tak jak

powiedziałem, bowiem umowa przedmałżeńska określa jednoznacznie,

że dach nad głową stanowi podstawowy element utrzymania żony.

Gutenberg przytaknął oziębło. Jednak rozmowa ta nie była ostatnią

bitwą w wojnie, jaką Gustav von der Isern Türe włas'nie mu

wypowiedział.

1 1

Następne tygodnie przyniosły lawinę nowych wydarzeń. Wszystko

zdawało się układać po myśli Gutenberga. W wyznaczony dzień

Johannes udał się do warsztatu Saspacha. Jak można było przewidzieć,

rzemieślnik czekał na niego z trzystu metalowymi elementami,

wykończonymi perfekcyjnie i zgodnie z ustaleniami. Były dokładnie

takie, jak Johannes sobie wymyślił: w drewnianym sześcianie na jednym

końcu osadzony został wydłużony metalowy prostokąt. Konrad Saspach z

zaciekawieniem przyglądał się rozpromienionej twarzy najbardziej

osobliwego ze swoich klientów.

- Masz tu te swoje ślepe kliny.

- Nikt nie jest tak ślepy jak ten, co nie chce widzieć.

- To prawda, wolę zamknąć oczy, aby nie być współnikiem w twoim

szaleństwie.

- Tak będzie lepiej - przytaknął Gutenberg, przyglądając się każdemu

niepokaźnemu elementowi z osobna.

Włożył wszystkie trzysta do specjalnej drewnianej skrzynki, zrobionej

na wymiar przez cieślę do ich przechowywania, i wybiegł, tak jak stał,

jakby nie miał ani chwili do stracenia. Zaraz jednak wrócił z powrotem i

już od progu krzyknął do Saspacha:

- Za tydzień przyjdę po prasę, mam nadzieję, że będzie skończona!

Konrad machnął lekceważąco ręką i zniknął w warsztacie.

Tej samej

nocy, samotnie w ruinach Świętego Arbogaste, Gutenberg pochylił się

nad swoimi puncami. Na ślepych

metalowych końcach rył kolejno litery alfabetu, podrabiając ręczne

pismo wykradzonego rękopisu. Żłobienie w metalu było o wiele

trudniejsze niż w drewnie, jednak osiągnięty rezultat dużo lepszy: zarysy

liter były wyraźniejsze. Potem zrobił to samo z klinami z brązu, z jeszcze

lepszym skutkiem: metal, miększy od żelaza, dawał się łatwiej

polerować. Ponadto brąz charakteryzował się większą plastycznością i

łatwiej się poddawał obróbce. Na koniec Johannes przeprowadził test z

ołowiem, postępując w tym przypadku w nieco inny

sposób: zamiast

źłobić litery cienkim rylcem, zastosował technikę odlewania. Rezultat był

zadziwiający: ołów, podatniejszy na grawerowanie niż drewno,

odznaczał się wytrzymałością metalu, a jednocześnie miękkością i

plastycznością.

Ogarnięty iście dziecięcym entuzjazmem, Gutenberg złożył pierwszą

linię tekstu z metalowych czcionek. Z żelaznych elementów ułożył słowo

„Johannes”, z miedzianych „Gensfleisch”, a z ołowianych „Gutenberg”.

Chociaż nie miał jeszcze swojego urządzenia, stara, zaadaptowana prasa

do wina powinna była wystarczyć do pierwszego próbnego wydruku.

Ułożył czcionki w ramce, umieścił ostrożnie na maszynie i

pobiegł po

farbę. Kiedy jednak otworzył pojemnik, twarz wykrzywił mu straszliwy

grymas: na dnie pozostała jedynie sucha warstwa, której nie dałoby się

nawet wyskrobać. Odkręcił butelkę oleju, żeby sporządzić choćby

szczyptę tuszu, ale i ona była pusta. Przeszukał wszystkie słoiki i flaszki.

Nic. Ukląkł, próbując przeszukać najgłębsze zakamarki spiżarni, w której

trzymał pojemniki z pigmentami: nie zawierały niczego poza

powietrzem, całkowicie bezbarwnym. Nie pozostało mu nic innego, jak

pogodzić się z tym, że zabrakło mu podstawowych materiałów.

Zdecydowanym krokiem udał się do kryjówki, w której trzymał

oszczędności. Szkatułka była pusta; cały jego majątek trafił w ręce

Konrada Saspacha. Po raz kolejny nie miał

grosza przy duszy. Na domiar złego przypomniał sobie, że wkrótce

będzie musiał przedstawić sprawozdanie z postępów w pracy swojemu

dostawcy papieru, Andreasowi Heilman-nowi. Nie namyślając się długo,

uznał, że nadszedł czas, by odwiedzić narzeczoną.

Ennelin była ogromną szkatułą pełną dobroci, miłości, a przede

wszystkim pieniędzy. Wystarczyło wziąć ją czule za rękę i przemówić

tkliwie, żeby jej serce i trzos otworzyły się na oścież. Odplacała za każdą

pieszczotę złotą spinką, za każde namiętne słówko srebrnym

relikwiarzem, za każdy uścisk garścią guldenów. Skłonna

była nawet

zgodzić się na pocałunek przed zaślubinami, choć Johannes unikał jej

grubych warg, obwisłych jak u mastyfa, wykręcając się argumentem, że

nie może dopuścić, by jego oblubienica straciła przedwcześnie

niewinność. Ennelin wiedziała, że jej przyszły mążzonek pracuje z

poświęceniem i bezinteresownością, pomnażając Słowo Boże, i nie ma

tych pieniędzy, które nie były warte tego szlachetnego celu. Dlatego

nalegała, żeby mogła przyłożyć do niego swoją hojną rękę, pomimo

oporu narzeczonego, który, acz niechętnie, przyjmował jej dary.

Tak więc objęciem niemożliwych do objęcia kształtów swojej

oblubienicy Gutenberg zapracował na gotówkę wystarczającą na zakup

dużej ilości soli żelaza. W zamian za słowa „moja ukochana”,

wymówione słodkim głosem, uzyskał guldeny potrzebne na opłacenie

pełnej sakwy *vitriolo verde de sal martis*. Zręczne muśnięcie jej włosów,

miękkich jak grzywa muła, wynagrodzone zostało sumą niezbędną na

zakup gumy arabskiej, sprowadzanej z Orientu, i delikatnej oliwy z

pierwszego tłoczenia ze starannie dobranych garunków oliwek, orzechów

i lnu. Johannes, w pocie czoła i dzięki niezrównanej odporności żołądka,

w ciągu kilku dni zdobył wszystko, czego potrzebował, aby przyrządzić

duże ilości farby.

Na koniec wrócił do ruin Świętego Arbogasta, żeby ukończyć dzieło.

Pokrył tuszem pierwszy zestaw metalowych elementów, rozpostarł na

nim papier i uruchomił korbę prasy. Wszystkie trzy metale zachowywały

się idealnie. Mimo niedoskonałości prymitywnej prasy nikt by nie

uwierzył, że wydrukowane nazwisko *Johannes Gensfleisch Gutenberg*

nie zostało napisane ręcznie. Mało tego, Gutenberg był pewny, że jakoś

poprawi się jeszcze dzięki maszynie, którą budował Saspach. Ale musiał

pokonać jeszcze inną przeszkodę: mimo osiągnięć nadal nie był w stanie

naśladować mistrzowskiego pisma Zygryda z Moguncji. Wyczerpany i

załamany, ukrył twarz w dłoniach, przekonując samego siebie, że nie ma

innego wyjścia, że ma tylko jedną możliwość: musi skorzystać z usług

kaligrafa. Do tej pory czynił nadludzkie wysiłki, żeby nikt nie odkrył jego

sekretne plany. Wspólnik, który dostarczał mu papier, przynajmniej na

razie, nie zadawał pytań, ale czy uda się nie dopuścić do tajemnicy

kopisty zaangażowanego w pracę nad tekstem?

Wszystkie te pytania odrywały go od myśli, której nie mógł odsuwać

od siebie w nieskończoność: zbliżał się dzień ślubu z Ennelin, który

zbiegał się na dodatek z dniem, w którym Johannes miał odebrać

upragnioną prasę.

1 2

Heilmann odwiedził Gutenberga i z niezbyt przyjazną miną pomachał

mu przed nosem wykazem ilości papieru, który dostarczył mu w nadziei,

że ujrzy w końcu jakieś rezultaty. Kwota sięgała dwustu guldenów.

Andreas, mężczyzna o grubych, muskularnych ramionach, zaprawionych

w dźwiganiu ciężkich stert, uderzył pięścią w stół i zażądał, by Gutenberg

zapłacił należną sumę, oddał papier albo wyjawiał, nad jakim

tajemniczym przedsięwzięciem pracuje.

- Nie mam teraz pieniędzy, ale...

- Nie ma żadnych ale.

- Papier zużyłem przy próbach.

- Bardzo dobrze, w takim razie jestem gotów poznać twój plan.

Johannes pokręcił głową i z pojednawczą miną próbował się

wykręcić. Ale Andreas chwycił go za gardło, wznosząc pięść z zamiarem

spuszczenia jej prosto na nos Johannesesa. W chwili gdy lądowała już

niemal w miejscu przeznaczenia, Johannes wykrzyknął:

- Już dobrze, dobrze, będę mówił!

Heilmann ostrożnie posadził swojego rozmówcę na krześle,

przejechał dłońmi po jego ramionach, poprawiając na nim ubranie, i ze

spokojem powiedział:

- A więc słucham.

Z tą samą zręcznością, jaką wyrobił sobie, przekonując narzeczoną

bez zdradzania tajemnicy, Gutenberg na oczekaniu wymyślił nową

historię:

- Chodzi o relikwie z bazyliki w Akwizgranie. Andreas otworzył

szeroko oczy, z entuzjazmem kiwając głową. Johannes przeciągnął ręką

po bolącej szyi i kontynuował:

- Zwłaszcza o głowę Jana Chrzciciela.

Heilmann uśmiechnął się podekscytowany, nie podejrzewając nawet,

że Gutenbergowi akurat ta część ciała przyszła na myśl w obliczu

zagrożenia, w jakim znalazł się jego własny czerep w rękach dostawcy

papieru.

Katedra w Akwizgranie przechowywała cztery najcenniejsze relikwie

Niemiec: suknię Najświętszej Marii Panny, pieluszki Dzieciątka Jezus,

perizonium ukrzyżowanego Jezusa i chustę, w którą owinięto głowę Jana

Chrzciciela po jego

ścięciu. Wszystkie te relikwie, odzyskane przez Karola Wielkiego dla

królewskiej katedry, były wystawiane co siedem lat. Do miasta

przybywały wtedy tłumy pielgrzymów z najdalszych zakątków świata.

Nie przestając masować bolącego karku, Johannes ciągnął:

- Pracuję nad lustrami, które po nakierowaniu ich na całość Jana

Chrzciciela zatrzymają jego odbicie. W ten sposób każdy z tysięcy

pielgrzymów będzie mógł zabrać ze sobą święty obraz i cieszyć się

wiecznym błogosławieństwem świętego - tłumaczył, kładąc nacisk na

podaną liczbę.

Heilmann wybuchnął głośnym śmiechem. Johannes nie był pewien,

czy jest to szczerzy śmiech, czy szyderczy wstęp poprzedzający cios. W

obliczu wątpliwości wołał zasłonić twarz.

- Genialnie, po prostu genialnie - zachwycał się Andreas nieco zbyt

entuzjastycznie, klepiąc Gutenberga po plecach. — Muszę to zobaczyć.

- Potrzebuję więcej czasu, aby pochwalić się wynikami.

- W porządku, daję ci tydzień.

- Tydzień by wystarczył, ale właśnie za tydzień mam ślub.

- Gratulacje, ale najpierw musisz się wywiązać ze zobowiązań wobec

mnie. To będzie emocjonujący dzień dla wszystkich. Daję

ci tydzień. Ani

jednego dnia więcej.

Gutenberg musiał więc wymyślić jeszcze coś, żeby przekonać

Heilmanna. Nagle zdał sobie sprawę, że jego głowę czeka może los

podobny do tego, jaki spotkał głowę Jana Chrzciciela. Dzień jego ślubu

będzie bowiem również dniem, w którym zostanie ukończona budowa

jego prasy.

I bez wątpienia będzie to dzień pełen emocji.

13

Zygryd z Moguncji wstąpił na podium i jak z czarodziejskiego kufra

wyciągnął spod niego przedmiot, który na pierwszy rzut oka przypominał

lusterko z rączką. Sędziowie z dziecięcą ciekawością obserwowali ruchy

prokuratora.

- Ekscelencje, podobnie jak ja, kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy,

przypuszczacie zapewne, że to, co trzymam w ręku, jest zwykłym

zwierciadłem. Nie spodziewacie się też zapewne zobaczyć w nim nic

poza waszym własnym odbiciem.

Jak grupka dzieci sędziowie przytaknęli, odruchowo kiwając

głowami.

- Otóż mylicie się. Ten oto mały przedmiot, na pozór zwykły, prosty,

jest również dziełem Szatana, Szatana, który zagnieździł się w chorym

umyśle oskarżonego! - ryknął prokurator, wskazując na Gutenberga.

Po raz kolejny sędziowie pobledli. Patrząc prosto w ich oblicza,

prokurator podniósł zwierciadło w wyciągniętej wysoko ręce i przeszedł

przed trybunałem. Sędziowie mogli ujrzeć w nim odbicie swoich

zaskoczonych twarzy. Kiedy Zygfryd z Moguncji, idąc wzdłuż szeregu

sędziów plecami do sali, dotarł do szerokiego witrażowego okna, przez

które wpadało słońce, zatrzymał się, dzierżąc lusterko w uniesionej

wysoko ręce. Potem odwrócił się na pięcie i ponownie pokazał im owalne

zwierciadło, w którym chwilę wcześniej się przeglądali.
Na widok tego,

co zobaczyli na powierzchni lustra, z ich gardeł wyrwał się krzyk paniki,

k który przerodził się następnie w głośny zgiełk, kiedy prokurator pokazał

zwierciadło pozostałym osobom obecnym w sali. Ulrich Helmasperger,

osłupiały jak wszyscy, po raz pierwszy o mało nie stracił wątku przy

uwiecznianiu słów oskarżyciela w dokumencie.

Gutenberg, skurczony na krześle, zasłonił uszy, żeby nie oszaleć od

wrzawy, jaka ogarnęła ludzi w sali. Z zamkniętymi oczami i zasłoniętymi

uszami schronił się ponownie we wspomnieniach.

Wreszcie nadszedł oczekiwany długo dzień. Zgodnie z niemiecką

tradycją zaślubiny miały się odbyć w domu rodzinnym

oblubienicy. Jak

większość patrycjuszowskich pałaców, zamek za żelazną bramą mógł się

poszczycić kaplicą. Uroczystość zaślubin była podniosłym obrzędem,

podczas którego ojciec oddawał pannę młodą kapłanowi. Następnie

duchowny udzielał ślubu i celebrował mszę welacyjną. Wreszcie udzielał

kapłańskiego błogosławieństwa, a kiedy „łaska sakramentu" spłynęła już

na wybrańców, powierzał niewiastę małżonkowi. Po ceremonii ojciec

panny młodej przekazywał wiano mężowi (w tym przypadku pozostałą

po odliczeniu zaliczki część) i wreszcie nadchodził moment najbardziej

oczekiwany, zwłaszcza przez gości: wesele.

Wszystko było gotowe do ceremonii. Kaplica została

przystrojona jak

nigdy wcześniej. Gustav kazał przygotować wykwintne potrawy i

sprowadził najlepsze wina. Tymczasem Ennelin nie mogła zasnąć przez

całą noc. Świt oglądała poprzez welon łez zalewających jej oczy. Nigdy

nie myślała, że ta chwila nadejdzie. Wszystko było jak sen: nie dość, że

miało się spełnić jej niedościgłe marzenie, to jeszcze miała poślubić

mężczyznę, którego kochała, co dla kobiet było rzadkością. Nie była to

irytująca bezsenność, tylko słodki półsen, w którym najczulsze myśli i

uczucia mieszały się z innymi, jakie jeszcze do wczoraj uważała za

grzeszne; tak czy inaczej, tej nocy po raz ostatni spała sama.

Zdenerwowanie, strach i podniecenie wstrząsnęły jej jestestwem i

roznieciły namiętność. Była gotowa oddać się ukochanemu Johannesowi

ciałem i duszą. W ostatni dzień swojego panieństwa Ennelin myślała nie

tylko o nocy poślubnej, ale

także o następującym po niej poranku, kiedy to jej nowo poślubiony

małżonek wręczy jej *matutinale donum*, podarunek, który się jej należy za

oddanie mu swojego dziewictwa.

Johannes również spędził bezsenłą noc, choć z zupełnie innych

powodów. Nazajutrz musiał dotrzymać trzech zobowiązań, od których

nie mógł się wywinąć, a mianowicie: z samego rana powinien pokazać

Andreasowi Heilmannowi jakieś postępy poczynione w

sprawie relikwii,

w południe miał zabrać prasę z warsztatu Saspacha Konrada, a o piątej po

południu dotrzymać słowa danego Gustavowi von der Isern Türe, to

znaczy poślubić Ennelin. Ze wszystkich spoczywających na nim

obowiązków najbardziej niepokoił go dług w stosunku do Heilmanna;

innymi słowy: obawiał się o swoje życie.

Całą noc pracował nad urządzeniem, które potrafiłoby uchwycić obraz

relikwii

podczas

przechodzenia

procesji

przed

relikwiarzem

akwizgrańskim, tak jak obiecał swojemu dostawcy papieru w nagłym

przyływie inspiracji, z czego nie mógł się już teraz wycofać. Ponadto do

wytwarzania wizerunku niezbędny był materiał, który stanowił również

podstawę przy realizacji jego tajemnego projektu: papier. Nie na darmo

jednak jedyną rzeczą, której Gutenbergowi nie brakowało, poza długami

oczywiście, była inwencja. Podczas długich godzin dzielących zmierzch

od świtu Johannes wymyślił genialne urządzenie, którego przydatność

mógł jednak sprawdzić dopiero po wzejściu słońca. Z pozoru było to

zwykłe lustro z rączką, ale jeśli wszystko pójdzie tak, jak się

spodziewał, to najzwyklejsze w świecie zwierciadło
będzie w stanie

zatrzymać w cudowny sposób obraz głowy świętego Jana
Chrzyciela

podczas procesji, w której trakcie wystawia się na widok
publiczny

płótno, w które zawinięto jego głowę po ścięciu. Ale
czasu na próby już

nie było: nie miał innego wyboru, jak wykonać pierwszą z
nich pod

surowym wzrokiem Heilmanna.

Wypolerował lusterko, pokrył je cienką warstwą gumy
arabskiej

rozcieńczonej emulsją, zmniejszającą przyczepność gumy,
dzięki czemu

można ją było z łatwością odkleić. Następnie schował
z zwierciadło,

wynurzył się ze swojej kryjówki w ruinach Świętego
Arbogasta i pobiegnął

zbozczem w dół, jakby go gonił sam diabeł.

O uzgodnionej porze wzburzony i spocony Gutenberg przekroczył

próg fabryki Andreasa Heilmanna.

- Cóż za miła wizyta - powitał go kupiec. - Obawiałem się już, że będę

musiał zepsuć zaślubiny, żeby przejąć posag na poczet długu.

Johannes wiedział doskonale, że Heilmanna stać na coś takiego.

- Mam nadzieję, że przynosisz coś więcej niż tylko słowa.

- Oczywiście. I nie mam czasu do stracenia - odparł Gutenberg, trochę

żeby przydać swoim słowom wagi, a trochę gwoli prawdy.

Szczerze zaintrygowany, Andreas zaprosił go do prywatnych

pomieszczeń. Ze zręcznością kuglarza Gutenberg przystąpił do

wykonania sztuczki, która przyglądającego mu się gospodarza, wygodnie

rozpartego w fotelu, zdawała się najwyraźniej bawić. Stojąc pośrodku

izby, rytownik z Moguncji wydobył z za pazuchy schludne szmaciane

zawiniątko i jak iluzjonista rozwinął je przed Heilmannem. Ku swojemu

zdumieniu gospodarz ujrzał całun Jana Chrzciciela: płótno, w które

owinięto głowę świętego i na którym, zrządzeniem boskim, odcisnęło się

jego oblicze.

- Jest autentyczny? - spytał naiwnie.

- A czy jest autentyczny ten, który przechowują w bazylice w

Akwizgranie? - odpowiedział Gutenberg, żeby zwiększyć napięcie.

Nie uważał za stosowne poinformować partnera, że całą

noc spędził

na malowaniu głowy Chrzciciela na płótnie.

W gruncie rzeczy był to tylko nieznaczący szczegół;
najbardziej

zadziwiająca część przedstawienia jeszcze się nie
zaczęła. Johannes

poprosił Heilmanna, żeby pottrzymał rozciągnięte płótno,
uniesione nad

głową, jak robią to kapłani w czasie procesji.
Zaintrygowany kupiec

wykonał polecenie posłusznie jak dziecko. Wtedy
Gutenberg wyjął z

sakwy lusterko i stroną pokrytą nieprzezroczystą warstwą
skierował je na

płótno. Przez kilka sekund obydwaj, nie zmieniając
pozycji, stali

naprzeciw siebie.

- Możesz odłożyć chustę - polecił Johannes, opuszczając
lusterko.

Następnie podał je Heilmannowi, prosząc, żeby usunął warstwę gumy

arabskiej. Powłoka łatwo się odkleiła.

- Co widzisz w lustrze? - spytał Johannes.

Andreas spojrział w taflę zwierciadła i z grymasem zniechęcenia

odpowiedział:

- Nic poza moją głupią gębą.

- Na pewno? Może powinieneś podejść do okna, żeby się lepiej

przyjrzeć.

- Dosyć, komediancie, traktujesz mnie jak idiotę.

- Proszę, spójrz jeszcze raz.

Grymas na twarzy Andreasa zmienił się w wyraz osłupienia, kiedy na

jego oczach dokonał się cud. Odbicie jego własnej twarzy powoli

ustępowało miejsca wizerunkowi głowy Jana Chrzciciela, identycznemu

jak ten na tkaninie. Minuta po minucie cudowne oblicze stawało się coraz

wyraźniejsze. Wielka dłoń Heilmanna trzęsa się jak liść, niewiele

brakowało, a lustro roztrzaskałoby się o posadzkę, gdyby nie refleks

Gutenberga, który złapał je szybko, zanim spadło na ziemię.

- Nie chcesz chyba mieć siedmiu pechowych lat.

- Jak to zrobiłeś?

- Obiecuję, że ci to wyjaśnię, kiedy będę miał więcej czasu, ale teraz

muszę iść. Możesz zachować lustro i wymówić trzy życzenia. I jeszcze

jedno: mógłbyś mi dać *a conto* sto guldenów?

Andreas zawahał się. Wtedy Gutenberg uświadomił mu, że lusterka

można sprzedawać po pięć guldenów. Wystarczy pomnożyć tę liczbę

przez tysiące i tysiące pielgrzymów idących w procesji.

Johannes znowu wybiegł w pośpiechu, tym razem, żeby dotrzymać

drugiego zobowiązania: odebrać prasę z warsztatu Saspacha. Wiedział

jednak, że stanie w obliczu kolejnego wielkiego problemu: w jaki sposób

przetransportuje urządzenie do swojej kryjówki w ruinach Świętego

Arbogasta na szczycie wzgórza?

I tym razem coś wymyśli.

Miał na to dziesięć minut.

14

Johannes nie ufał nikomu. Nie wyjawiał swojego tajnego projektu

wspólnikowi Andreasowi Heilmannowi, nie zamierzał go

zdradzić

również Konradowi Saspachowi. Tym bardziej nie mógł dopuścić do

tego, żeby dowiedzieli się o ukrytym w ruinach Świętego Arbogasta

warsztacie. Nie mógł więc ich prosić, żeby pomogli mu przenieść prasę.

Ale nie mógł też zaufać przypadkowym wozakom. Zresztą ostatnia część

stromego zbocza, wiodącego do jego twierdzy, była nie do przebycia dla

zwierząt; można ją było pokonać tylko pieszo. Idąc śpiesznym krokiem,

Johannes łamał sobie głowę, jak pokonać przeszkodę, która wydawała się

nie do przewyciężenia.

W drodze z fabryki Heilmanna do położonego niedaleko warsztatu

cieśli musiał przejść obok przytułku dla podrzutków

prowadzonego przez

diecezję strasburską. Ten podupadły budynek dawał schronienie

młodzieńcom, którzy z różnych powodów nie mieli się gdzie podziać:

sierotom, dzieciom porzuconym, okaleczonym i niewidomym. Już miał

go minąć, kiedy doznał objawienia: niewidomi! Dlaczego nie pomyślał o

tym wcześniej?

Natychmiast zboczył z drogi i wszedł do przytułku. Będąc dobrym

chrześcijaninem, postanowił ulitować się nad biednymi chłopcami.

Poszedł prosto do ojca dyrektora i zapukał do drzwi.

- W czym mogę ci pomóc, synu? - spytał duchowny gościa.

- Z całym szacunkiem, ojcze, ale to ja chcę pomóc, przyczyniając się

do poprawy losu tych biednych chłopców.

- To miłosierny gest z waszej strony. Niech wam Bóg wynagrodzi.

- Chciałbym nie tylko złożyć datek, ale również dać kilku waszym

podopiecznym zdrowe i szlachetne zajęcie.

- Obawiam się, że nie będzie to możliwe: większość z nich jest chroma

albo niewidoma.

- Ślepotą nie jest przeszkodą, żeby zaznali poczucia godności, jaką

daje praca.

- Co macie na myśli?

- Będę ich oczami, a oni będą silnymi ramionami i nogami, które w

pełni rozkwitu młodości wymagają ćwiczeń. Dobrze im to zrobi, poczują

się przydatni. Chcę tylko, żeby mi pomogli przenieść

maszynę, która da

pracę wielu ludziom. Zamiast płacić wozakom, wolę ofiarować te

pieniądze na wasz szlachetny cel i wnieść swój wkład w poprawę

warunków w przytułku.

Duchowny uśmiechnął się dobrodusznie i rzekł:

- Gdyby wszyscy chrześcijanie postępowali tak jak wy...

Po czym poprowadził Gutenberga przez labirynt korytarzy budynku.

Po drodze mijali młodych ludzi, którzy, pozbawieni nóg, pełzali jak

robaki. Inni, opętani szaleństwem, wydawali przeraźliwe krzyki

rozpaczy. Dzieci bez rąk, garbate lub zdeformowane przez chorobę,

wypełzały, żeby przyjrzeć się obcemu z pewną dozą wrogiej ciekawości.

Kapłan usuwał je z drogi kijem, jak jakieś dzikie bestie.
W powietrzu

unosił się zapach ekskrementów. Johannesem wstrząsnęła
fala nudności,

mieszanina odrazy i strachu. Przy końcu korytarza weszli
do dużego

pokoju, w którym tłoczyły się dzieci i młodzież o pustych
oczodołach,

oczach zasnutych bielmem, łzawiących i zgaszonych.

Zakonnik kazał im się ustawić w szeregu i pozwolił
gościowi wybrać

spośród nich najodpowiedniejszych, jego zdaniem, do
wykonania

przewidzianej pracy. Johannes przyjrzał się wszystkim po
kolei, po czym

zatrzymał się przed najsilniejszymi. Następnie spytał
kapłana o charakter

wybranych chłopców; chciał mieć pewność, że się nie
zbuntują ani nie

stworzą żadnych innych problemów.

- Nie martwcie się, są uczynni i karni.

Na wszelki wypadek przeor wręczył Johannesowi długi, budzący

respekt kostur i powiedział:

- W razie konieczności nie bój się przyłożyć nim porządnie. Tak oto, z

pomocą swojej małej armii ślepców, Gutenberg

zorganizował transport prasy z warsztatu Saspacha do opactwa

świętego Arbogasta, żeby nikt nie mógł zobaczyć jego kryjówki ani

dowiedzieć się, gdzie się ona znajduje.

Ennelin tymczasem przeżywała najszczęśliwszy dzień w swoim

życiu. Zgodnie z niemiecką tradycją miała wziąć ślub

w czerwonej sukni. Siostry podjęły się przygotować nakrycie głowy:

czerwony jedwabny czepiec, spięty pod brodą,
zakrywający głowę i

ramiona, zwieńczony złotą tiarą. Wyglądała jak
księżniczka. Mimo że

spędziła bezsenłą noc, promieniała. Porównując jej
zwykły wygląd,

można by się pokusić

o stwierdzenie, że tego dnia wyglądała pięknie. W czepcu
było jej

bardzo do twarzy, nie ze względu na to, co podkreślał,
lecz na to, co

ukrywał. Sukienka, długa tunika upięta pod biustem,
została obszyta złotą

nicą, harmonizującą z diademem, i kreśliła kształty tam,
gdzie nie było

żadnej naturalnej krągłości.

Według ludowych przesądów, niebywale zresztą
popularnych wśród

patrycjatu, wszystko wróżyło oblubieńcom jak najlepiej:

tej nocy miała

być pełnia Księżycy, znak płodności i obfitości. Ponadto był piątek:

zgodnie z rzymską tradycją zaślubinom będzie sprzyjać Wenus, bogini

miłości, patronka trwałych związków. Poza tym piątek dzieliła

bezpieczna liczba dni od wtorku, który był fatalnym dniem na zaślubiny,

jako że Mars, bóg wojny, był zwiastunem niezgody, poważnych kłótni i

nieporozumień. Gwiazdy ustawiły się w jednej linii, żeby nic nie mogło

pójść źle. Ennelin na przemian to płakała z emocji, to śmiała się ze

szczęścia.

W tym samym czasie Gutenberg, z kijem w ręku, jak nieudolny

generał dowodził swoim oddziałem ślepców, którzy

niepewnym krokiem

atakowali strome zbocze prowadzące do sekretnego warsztatu. Po pięciu

z jednej i drugiej strony, podopieczni przytułku próbowali zachować

równowagę pod miażdżącym ciężarem prasy. Kręta i stroma ścieżka nie

ułatwiała drogi tym, którym odebrano bezpowrotnie dar widzenia. Kilka

razy podstawa maszyny uderzyła o skały. Wówczas Johannes z

wściekłością okładał winnych kijem po nogach. Od czasu do czasu króryś

z chłopców potykał się, przewracał

i staczał po stoku. Za każdym razem grupa musiała przerywać marsz;

Gutenberg schodził w dół, żeby ratować nieszczęśnika, a następnie

zmuszał go do wspinaczki, popychając końcem kija.

Ślepcy ponownie

wyrównywali krok i łapali rytm, po czym znowu tracili orientację i nagle

zmieniali kierunek.

-Tędy! - krzyczał Johannes, wymachując rękami, jakby mogli go

zobaczyć.

Kilka razy niewiele brakowało, a upuściliby prasę w przepaść, kilka

razy o mało nie zginęli, zmiażdżeni ciężarem gigantycznej maszyny

Słońce wspinało się po sklepieniu nieba szybciej niż ta żalosna grupa po

zboczu góry. Gutenberg obliczał odległość dzielącą ich od szczytu i

godziny, jakie pozostały do ślubu. Odległość wydawała się rosnąć, w

miarę jak ropywał czas.

Wreszcie dotarli do ruin Świętego Arbogasta. Wyczerpani chłopcy

napili się wody i rozsiedli na chłodnej podłodze ruin katedry. Nie

wiedzieli, gdzie się znajdują, ale nie wydawali się tym zainteresowani;

jedyne, czego pragnęli, to wrócić do domu. Woleli zamknięcie i ohydny

smród przytułku od krzyków, bicia i nieludzkiego wysiłku, na które

skazał ich ten dziwny nieznajomy.

Johannes patrzył urzeczony na ogromną prasę ustawioną idealnie na

środku warsztatu. Nie mógł się doczekać, kiedy wykona pierwszą próbę.

Zrobiłby to w tej chwili, w otoczeniu młodych ślepców, którzy

rozciągnięci na podłodze łapali powietrze jak ryby, gdyby nie pakt, który

zawarł z Gustavem von der Isern Türe.

15

Dochodziła czwarta po południu. W zamku za żelazną bramą

wszystko było gotowe: ksiądz w kaplicy, panna młoda, czekająca w

towarzystwie matki i sióstr na sygnał do wyjścia, ojciec, nadzorujący

ostatnie przygotowania do uczy, a nawet pierwsi goście, którzy zaczęli

się już schodzić. Wydawało się, że nie brakuje niczego. Z wyjątkiem pana

młodego. Jak zwykle nie obyło się bez żartów, ale godzina jeszcze nie

wybiła. Oczywiście wszyscy byliby spokojniejsi, gdyby Gutenberg

przybył nieco wcześniej, niż przewidziano, ale niepokój i zdenerwowanie

są normalnym objawem w chwilach poprzedzających zaślubiny.

Ennelin czekała w milczeniu, ale jej siostry dawały się ponieść radości

i ani na sekundę nie przestawały mówić. Panna młoda, siedząc przed

toaletką, wpatrywała się w podłogę nieobecnym wzrokiem, unikając

spoglądania w lustro; własny wygląd nikogo chyba nie odstręczał tak

bardzo jak jej. W miarę jak zamek wypełniał się ludźmi, blaskiem i

światłem, dusza Ennelin posepniała. Złe przeczucie, rodzące się w niej

niepostrzeżenie, zaczęło kiełkować jak chwast wśród kwiatów. Jej

krowie, lecz bystre oczy nie chciały dojrzeć tego, co oczywiste. Muzycy

stroili instrumenty na bal, a przerażająca kakofonia dźwięków wprawiała

w vibracje wrażliwe struny duszy Ennelin. Zawsze była szczęśliwa,

bowiem od pierwszej chwili, kiedy matka utuliła ją w ramionach, rosła w

kochającej rodzinie, pod troskliwą opieką ojca. Po drugiej stronie

żelaznych bram zamku rozciągał się wrogi świat, zamieszkały przez

obcych, dostrzegających w niej jedyną cechę, która wydawała się nie do

przyjęcia u niewiast: brzydotę. Nie winiła ich za to, w końcu nawet ona

sama nie miała odwagi przeglądać się w lustrze. Czy zatem jest gotowa

wystawić na ryzyko

to bezgraniczne szczęście, nawet jeśli ograniczało się ono do ścian jej

rodzinnego domu? Nagle ogarnęła ją pewność, że jej rodzina, Johannes i

ona sama grają w ciuciubabkę¹⁶, z tą różnicą, że wszyscy mają związane

oczy. Ale gra nieuchronnie zbliżała się do końca;
dokładnie za trzy

kwadranse opaski opadną.

Gutenberga tymczasem rozpierała radość; nigdy wcześniej
nie patrzył

w przyszłość z takim optymizmem. Uniesienie graniczące
z euforią

sprawiło, że serce waliło mu jak szalone, a uśmiech nie
schodził z

twarzy. Ubierając się na najważniejsze w swym życiu
wydarzenie, nie

mógł przestać myśleć o mających nadejść czasach
świąteczności.

Gwałtowne uczucie miłości, obejmujące całą ludzkość,
kiełkowało w

jego sercu. Jakby nagle dobiegła kresu długa samotna noc,
wszystko

skapane zostało w błogim świetle: dachy Strasburga,
przejrzyste niebo,

drzewa, wszystko, na czym spoczął jego wzrok, miało urok nowości.

Johannes patrzył w lustro i był zadowolony z tego, co w nim widział:

odzyskał kolory, ustąpiła chorowita bladość, a jego broda nie wyglądała

jak broda zebra. Pierwsze siwe włosy, pojawiające się na wusach,

przydawały mu dojrzałości i powagi. Żywił przekonanie, że od tej długo

wyczekiwanej chwili nic już nie będzie takie samo.

Gustav zaczynał się niepokoić. Spacerował tam i z powrotem po

zamku, wychodził do ogrodu, wracał, wyglądał z balkonu na drogę,

osłaniając dłonią oczy, w nadziei, że wreszcie pojawi się jego przyszły

zięć. Najwyższa pora, żeby dotarł na miejsce. Żarty rodziny zmieniły się

w pełne niepokoju komentarze: może przytrafiło mu się jakieś

nieszczęście? Żeby rozwiązać wątpliwości, gospodarz wysłał sługę do

domu Johan-

16 W Niemczech znana była pod nazwą *Blinderkuh* (ślepa krowa).

nesa. Goście szeptem rzucali złośliwe uwagi. Kapłan tymczasem,

marszcząc brwi, straszył każdego, kto go chciał słuchać, gniewem

Bożym.

Zrezygnowany uśmiech rysował się na twarzy Ennelin. Siostry

próbowały jej dodawać otuchy:

- Pewnie się trochę spóźni.

- Przyjdzie.

- Zapewne jest w drodze.

- Może źle się poczuł.

- Nie powinnaś się martwić.

Ennelin, uśmiechając się, kiwała głową w milczeniu. W

rzeczywistości ona jedna nie była ani zmartwiona, ani smutna, ani

zrozpaczona. Wręcz przeciwnie, była szczęśliwa w towarzystwie sióstr i

matki; pewna, że ojciec będzie nadal przy niej, żeby bronić jej jak zawsze

dotychczas. Ta twierdza o kamiennych murach, strzeżona przez żelazną

bramę nie do sforsowania, była jej małym światem i nie potrzebowała

niczego więcej.

W piątek po południu Johannes Gutenberg, nienagannie ubrany i

odświeżony, stosownie do zobowiązania, jakie na siebie przyjął, szedł

główną nawą kaplicy w kierunku ukochanej pod bacznym wzrokiem

Chrystusa stojącego na straży świątyni. Przed ołtarzem jego oblubienica,

skapana w blasku świec, wyglądała wspaniale, dziewiczo, nieskazitelnie.

Johannes nie miał najmniejszych wątpliwości, że obiekt jego starań

będzie mu towarzyszyć na dobre i złe, w zdrowiu i w chorobie, dopóki

śmierć ich nie rozłączy. Przejęty zbliżał się do ołtarza wśród obrzędowej

ciszy. Patrzył na nią, ogromną, ciężką, niemal kwadratową i pozbawioną

krągłości, oczami zakochanego i wydawała mu się piękna. Szedł

zdecydowanym, acz wolnym krokiem, jakby pragnął przedłużyć radosne

chwile. Kiedy minął rzeźbioną drewnianą barierkę, oślepił go blask

okrągłej, idealnej tiary wieńczącej jej postać. Znalazłszy się

naprzeciw niej, ukląkł u jej stóp, obok Biblii, i przypieczętował ich

związek.

Dokładnie o piątej po południu Johannes Gutenberg, klęcząc przed

swoją wspaniałą prasą drukarską w ruinach kaplicy klasztoru Świętego

Arbogasta, obsadził żelazne czcionki tworzące pierwszą stronę Pisma

Świętego i wprowadził w ruch ogromną korbę prasy.

Gustav von der Isern Türe ryczał jak zraniony lew. Jego żona na

próżno próbowała go uspokoić. Kapłan wyrażał nadzieję, że

niegodziwca, który dopuścił się tak haniebnego czynu, pochłonie

piekielny krąg. Goście zaczęli się rozchodzić, żeby

zaoszczędzić rodzinie

wstydu. Słudzy korzystali z zamieszania, próbując potraw z niedoszłego

bankietu. Muzycy zastanawiali się, kto ich opłaci. Siostry Ennelin płakały

bezustannie i rozpaczliwie. Ennelin, zbrojna w typowe dla niej

powściągliwość i opanowanie, usiłowała uspokoić i pocieszyć

wszystkich. Przytulała na przemian to jedną, to drugą siostrę, to znów

matkę i ojca, dając im do zrozumienia, że nic nie uszczęśliwia jej bardziej

niz to, że ich ma, a biorąc pod uwagę wątpliwą moralność narzeczonego,

jego ucieczka jest najlepszą rzeczą, jaka się mogła zdarzyć. Ennelin była

przekonana, że upokorzenie i ból wkrótce miną. Gdyby zaś została

poślubiona tak podłemu człowiekowi, jej życie byłoby
jednym pasmem

męczarni.

16

Sędziowie patrzyli w osłupieniu. Zygryd z Moguncji
dzierzył w

prawej ręce uroczysty kontrakt małżeński, podpisany przez
Gutenbergę, i

dowody przekazania posagu.

- Ekscelencje, do postawionych zarzutów pragnę dołączyć
kolejny, a

mianowicie niedotrzymanie obietnicy małżeństwa i
zagarnięcie posagu.

Sędziowie pogubili się już w ilości zarzutów wysuniętych
przez

prokuratora. Wszystkie dowody wydawały się bezsporne.
Były wśród

nich apokryficzne Biblie, umowy paraflowane przez
pozwanego,

urządzenie służące do podrabiania relikwii i obciążające
zeznania

Ennelin i Gustawa von der Isern Türe.

W trakcie niedoszłej nocy poślubnej Gutenberg i jego drukarnia stały

się jednym ciałem, zbudowanym z serca, drewna i metalu. Obejmując

korbę, gładząc masywne, mocarne kształty maszyny i dostarczając jej

ołowiowo-inkaustowego

nasienia,

Johannes

zapłodnił

zwarte

wnętrzości

prasy

jej

pierwszym

owocem:

rozdziałem

czterdziestodwuwierszowej *Księgi Rodzaju*,
wydrukowanej w dwóch

kolumnach.

Robota, jaką wykonał Konrad Saspach, potwierdzała jego
sławę

najlepszego cieśli w Strasburgu. Zestaw metalowych
czcionek, olejowy

tusz i drukarnia okazały się pełnym sukcesem. Mechanizm
odznaczał się

precyzją zegara; mobilna platforma przemieszczała się po
osi skrętu

płynnie i lekko, ale wywierała znaczny i równomierny
nacisk na całą

powierzchnię klatki zawierającej czcionki. Zasada była
prosta: najpierw

w winkielaku, wąskiej, metalowej tacce, mającej długość
wierszy,

należało złożyć z czcionek całą linię tekstu, litera po literze, spacja po

spacji. Następnie wiersze trzeba było umieścić w galarze, żeby wykonać

pierwszą próbę i skorygować błędy. Potem przenieść układ czcionek do

drewnianej formy i posmarować tuszem za pomocą skórzanych

tamponów zaopatrzonych w uchwyty. Nad formą znajdował się

tympanon, zbudowany z przymocowanej zawiasami ramy pokrytej

pergaminem, na którym mocowano papier. Dzięki górnemu blatowi,

dopasowanemu precyzyjnie do czcionek,

całość utrzymywała się na jednym poziomie. Po uruchomieniu śruby

nasmarowane farbą czcionki pozostawiały na papierze nieskazitelny

odcisk.

Nowa prasa drukarska była tak precyzyjna, że nie sposób było

odróżnić rękopisu od wydrukowanej książki, przy czym rękopis wymagał

od kopisty roku pracy, podczas gdy za pomocą prasy drukarskiej można

było skopiować książkę w jeden dzień. Co więcej, cena manuskryptu

dochodziła do stu złotych monet. Według rachunków Johanna

drukowane książki mogły kosztować od dwóch do trzech monet, co

oznaczało, że na sprzedaży jednej Biblii można zaoszczędzić dziewięć-

dziesiąt siedem sztuk złota dziennie. Nawet ostrożnie licząc, był w stanie

zarobić trzydzieści tysięcy sztuk złota rocznie, gigantyczną fortunę.

Pozostawał do rozwiązania jeszcze jeden problem: litery wryte przez

Johannesa na ruchomych czcionkach były, nawet oceniając je

przychylnym okiem, co najwyżej poprawne. W porównaniu z kaligrafią

Zygfyda z Moguncji wyglądały jak rzędy kulfonów. Gutenberg mógł

sfinansować

swoją

produkcję

ze

sprzedaży

lusterek

do

„przechwytywania” obrazów relikwii, wspólnego przedsięwzięcia z

Heilmannem. Jednak potrzebował nie tylko pieniędzy.
Potrzebował

wspólnika kaligrafa potrafiącego podrobić bezbłędnie
litery kopisty,

którego księgi osiągały zawrotne ceny na całym świecie.
Ale Strasburg

nie był już dla niego przyjaznym miastem.

Niedotrzymanie warunków małżeńskiego kontraktu
zmusiło

Gutenberga do porzucenia zajęcia w magistracie i domku
w centrum

miasta. Z drugiej strony nie mógł żyć w ruinach Świętego
Arbogasta jak

jakiś banita. Ukończywszy prace nad wynalazkiem i
zabezpieczywszy go

w ukrytym warsztacie, postanowił powrócić do Moguncji
w

poszukiwaniu wspólnika i w nadziei, że z czasem skandal
wokół jego

niedoszłego ślubu przycichnie. Ludzie mają krótką pamięć, a ich

osądy są nietrwałe: coś, co początkowo uznawano za niewybaczalną

zbrodnię, kilka dni później stawało się anegdotą, by zaraz potem

przekształcić się w wesołą dykteryjkę i wreszcie rozpuścić całkowicie w

powietrzu. Nie minie dużo czasu, a będzie mógł powrócić do Strasburga i

dokończyć swe wspaniałe dzieło. Jednak przed wyjazdem do Moguncji

musi zajrzeć do rodzinnego domu w Eltville nad Renem.

Else nie od razu rozpoznała jeźdźca, który zsiadł z konia przy wrotach

zagrody. Z kuchennego okna patrzyła, jak się zbliża, a następnie

zatrzymuje przy ogrodzeniu. Początkowo myślała, że to posłaniec, jak za

każdym razem, kiedy ktoś pukał do drzwi: od dnia, kiedy syn wyjechał do

Strasburga, wciąż wyczekiwała od niego wieści. Dostała dwa listy w

ciągu pierwszych miesięcy. Nic więcej. Ale kiedy przybysz ruszył

zwirową ścieżką, Else rozpoznała charakterystyczny chód Johannaesa.

Rzuciła robotę, zdjęła garnek z ognia, wybiegła mu naprzeciw i objęła jak

chłopca, którym był cztery dekady wcześniej. Następnie odsunęła go, nie

puszczając jego dłoni, i zmierzyła wzrokiem od stóp do głów. Czas

wycisnął na nich obojgu swoje piętno. Dorodna postać Elsy zaczynała się

uginać pod własnym ciężarem. Ale nawet przygarbiona, nadal była

wyższa od syna. Z nim przeżyte lata obeszły się jeszcze bezwzględniej:

długa siwiejąca broda, zmierzwiłone włosy i worki pod oczami nadawały

mu wygląd starszego, niż był w rzeczywistości.

Else musiała zmusić syna, podobnie jak wtedy, kiedy był dzieckiem,

żeby usiadł przy stole i zjadł posiłek. Widok Johannes, milczącego nad

obłokiem pary unoszącej się z miski soczewicy, potęgował niepokój

matki, która pragnęła się dowiedzieć wszystkiego o jego pobycie w

Strasburgu.

- Nie mam wiele do powiedzenia - mruknął lakonicznie, napełniając

jedzeniem usta, aby uniknąć rozmowy.

Ponieważ matka nalegała, opowiedział jej jedynie o podróży do

Niderlandów i pracy w strasburskim magistracie. Else, która znała go jak

nikt inny, potrafiła dostrzec pod gęstą brodą przelotne, dziecinne

wygięcie ust, którego nie potrafił uniknąć, kiedy próbował coś ukryć. Ale

wiedziała też, że nie ma sposobu, żeby przebić się przez mur milczenia.

Uśmiech Else zamienił się w widoczny grymas smutku. Cieszyłaby

się, gdyby syn powiedział, że jest jednym z najbardziej cenionych

rytowników w Europie. Jednak fakt ten, który każdą matkę napełniłby

szczęściem, dla niego nie miał znaczenia. Jedynym powodem do dumy

było coś, do czego nie mógł się przyznać przed nikim: wynalazek druku

do fałszowania ksiąg. Nie czuł się bohaterem, nie dotrzymując swoich

kontraktowych zobowiązań, ale nie ciążyło mu to na sumieniu jak

zbrodnia; był przekonany, że do pieniędzy otrzymanych na poczet posagu

miał prawo, którego reszta ludzkości nie potrafi mu przyznać. Łącznie z

jego własną matką.

Planował krótszą wizytę, niż oczekiwała Else. Oznajmił, że musi się

udać w dalszą drogę do Moguncji, gdzie czekają na niego interesy. Jej

niepokój przerodził się w trwogę.

- Nie możesz wrócić do Moguncji.

Johannes uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd zjawił się u matki.

- To moje miasto.

- Już nie. Nawet nie masz się gdzie zatrzymać.

Żadne z nich nie wiedziało, jaki jest status prawny starego domu, w

którym Johannes się urodził. Else zresztą nawet się nim

nie interesowała.

Pamięć o prześladowaniach, grabieży, pożarach i pospiesznej nocnej

ucieczce była koszmarem, o którym chciała zapomnieć.

Jednak Johannes

był zdecydo-

wany odzyskać majątek. Poprosił matkę o akt własności i inne

dokumenty poświadczające, że ich rodzina mieszkała w tym domu.

Else nie była w stanie przekonać syna, że powrót do Moguncji jest

szaleństwem. Mimo upływu czasu nigdy nie zapomniała tego sądnego

dnia, kiedy ich sąsiedzi, z których wielu uważała za przyjaciół,

splądrowali dom, równając z ziemią wszystko, czego nie mogli zabrać.

Czemu Johannes uważa, że ci, którzy ich wypędzili,

przyjmą go teraz, jak

gdyby nic się nie stało?

- Ludzie zapominają, matko. -Ja nie!

- Powinnaś spróbować.

- Wystarczy, że ty to zrobiłeś! Zapomniałeś, jak cię wychował ojciec.

Zapomniałeś o rodzinie. Nawet nie pomyślałeś o mnie przez te wszystkie

lata.

Ale ostatnią rzeczą, jaką chciała osiągnąć Elsa, robiąc mu wyrzuty,

było przyspieszenie wyjazdu syna. Wzięła go więc czule za rękę i spytała:

- Gdzie będziesz mieszkał? Masz pieniądze? -Jeszcze nie. Ale wkrótce

będę miał. Muszę tylko uporać

się z pewną sprawą w Moguncji - powtórzył Johannes.

Ile to już razy Else słyszała podobne słowa! To one właśnie były

powodem żywiołowych kłótni między ojcem a synem.

- W każdym razie nie zostanę długo w Moguncji. Mam interesy w

Strasburgu.

Za każdym razem, kiedy Johannes wymawiał zagadkowe słowo

„interesy”, Else miała wrażenie, że kryje się za nim coś mrocznego, o co

nie odważyła się spytać. Nie rozumiała, dlaczego rytownik określa swoje

rzemiosło tym mianem. Friele zawsze mówił z dumą: „moje rzemiosło”.

Z drugiej strony, jak na człowieka interesu, Johannes wyglądał dość

biednie.

Nie miała pojęcia, jakie ciemne sprawy wypełniają jego dni, ale był jej

synem, więc zanim go potępi, powinna mu pomóc. Else wstała, poszła do

alkowy, wyjęła jedną z szuflad komody i wsunęła rękę do skrytki, gdzie

trzymała malutką szkatułkę. Wróciła do kuchni, usiadła naprzeciw syna i

wysypała zawartość pudełeczka na stół: potoczyło się po nim kilka

złotych i srebrnych monet i parę błyskotek.

- Nie mogę tego przyjąć, matko.

- Nie wiem, ile jest warte twoje przedsięwzięcie. Wiem, że nie oferuję

ci fortuny. Ale wolę, żebyś to zatrzymał, niż miał się wpakować w

kłopoty.

- Matko, jestem starym człowiekiem.

- Ale nic się nie zmieniłeś.

Gutenberg wziął pieniądze i precjoza, włożył je z

powrotem do

szkatułki i oddał matce.

- Nie musisz się martwić. Nic mi nie będzie.

17

W tym samym czasie, gdy w katedrze trwała rozprawa przeciw

Gutenbergowi i jego poplecznikom, kilka ulic dalej, w Klasztorze

Służebnic Kosza Najświętszego Ulva próbowała uspokoić swoje

nieutulone w żalu córki. Matka nierządnic nie mogła dopuścić, żeby

strach i histeria opanowały jej lupanar. Od zarania dziejów musiały

stawić czoło prześladowaniom, wygnaniu, upokorzeniu i śmierci.

Wielokrotnie były dziesiątkowane, ale nigdy nie zostały pokonane. Nadal

trwały na stanowisku. Ulva nie godziła się na to, żeby odebrano jej

kolejną córkę. Nadeszła pora, by stanąć do walki, więc jako wierne

kapłanki Isztar, bogini wojny, będą walczyć. Przeżyły najkrwawszych

tyranów i imperia, które wydawały się nieznisz

czalne. Widziały narodziny i śmierć napęczniałych z dumy tyranów,

równie potężnych, jak ulotnych. Przyczyniły się do powstania królestw i

były świadkami ich upadku. Rządziły. Były cesarzowymi. Były

niewolnicami. Dźwigały się raz za razem. Ostatnie pokolenia, przywykłe

do długich lat spokoju, nie zaznały cierpienia na własnej skórze. Ulva

musi zaszczerpić w swoich podopiecznych dumę wojowniczych

starożytnych kapłanek. Nie może pozwolić, żeby przelewały łzy.

W sali katedralnej Gutenberg nie mógł się doczekać, kiedy proces

wreszcie dobiegnie końca. Tymczasem ze stoickim spokojem słuchał

mowy prokuratora.

Od owego odległego dnia, kiedy musiał uciekać z rodziną, noga

Gutenberg nie powstała w Moguncji. Zbliżając się do rodzinnego miasta,

rozpoznał zapach rzeki, niesiony wraz z chłodną bryzą. Miasto wyglądało

tak samo jak przed pożarem. Wspomnienia tłoczyły się w jego pamięci.

Nie czuł strachu. Nasłuchiwał stukotu końskich kopyt po bruku,

przewidując z wyprzedzeniem wszystkie stare nierówności na drodze: te

same zapadnięte kamienie, te same wybrzuszenia. Po drodze mijał wielu

dawnych sąsiadów, którzy witali go skinieniem głowy, jakby widzieli się

wczoraj. Wpadł nawet na tych, którzy brali udział w
plądrowaniu jego

domu; również oni witali go ze zwykłą serdecznością. Nic
się nie

zmieniło.

Dotarłszy do targowiska, stwierdził, że nawet handlarze
są ci sami,

jakby trochę starsi, a może to ich dorośli już synowie.
Objechał dokoła

katedrę, przespacerował się wzdłuż brzegu, a następnie,
jak gdyby nigdy

nic, skierował się do drzwi domu, w którym się urodził.
Zsiadł z konia,

wyciągnął pęk kluczy, które dostał od matki, wsunął jeden
do zamka i po

chwili zmagania się z zardzewiałym od lat mechanizmem
przekręcił go ze

zgrzyrem. Drzwi otworzyły się, skrzypiąc jak zawsze.

Jakby czas się zatrzymał w dniu ucieczki; oczom

Johannesa ukazał się

taki sam obraz, jak ten, który przechowywał pod powiekami. Dom został

splądrowany, ale jego stan od tamtego czasu nie uległ zmianie. Było

jasne, że od kiedy skończyły się grabieże i zapanował pokój, nikt nie tknął

tu już niczego. To niezwykle, jak ludzie, podobnie jak spokojne wody

rzeki, dają się wciągnąć w wir, żeby zaraz potem z taką samą łatwością

powrócić na dawne tory i płynąć spokojnie z nurtem.

Gutenberg zrobił obchód starego domu. Hol zniszczono całkowicie.

Drzwi prowadzące z obszernego przedsionka do pozostałej części domu

zostały spalone przy podstawie, lecz pozostawały zamknięte. Wyjął klucz

i otworzył jedno skrzydło. Stał z zamkniętymi oczami: nie

miął odwagi

znaleźć się oko w oko z ogromem spustoszenia. A kiedy je otworzył,

pomyślał, że pada ofiarą halucynacji: wszystko pozostało nieruszone,

takie, jakie widział ostatnim razem. Zrozumiał, że ogień, który ogarnął

drzwi, pozostawiając na nich widoczne jeszcze ślady, posłużył jako

zapora i uniemożliwił tłuszczy przedostanie się do środka, a potem,

szczęśliwym zrządzeniem losu, ugasił się samoistnie. Gruba warstwa

kurzu jak ogromny szary koc pokrywała wszystko wokół.

Przeciągnąwszy palcem po stole, Johannes przekonał się, że drewno nie

straciło połysku. Następnie otworzył skrzynie, sprawdzając swój stan

posiadania: niczego nie brakowało. Zajrzał do szafy i

zobaczył ubrania,

których nie zdołano wynieść, poukładane ze starannością typową dla jego

matki. Nawet mole nie odważyły się tu zagnieździć.

Pełen euforii wyszedł na ulicę z nastaniem nocy. Miasto tętniło

życiem: tawerny otaczające plac targowy były zatłoczone po brzegi.

Postanowił uczcić powrót na ojczystą ziemię i cudowne odzyskanie domu

z całym jego dobytkiem. Wszedł do starego szynku Schofferhofa

Mainzera, gdzie było najlepsze piwo w Moguncji.

Oparty o szynkwias, przyłączył się do śpiewanych chórem przez grupę

bywalców sprośnych przyśpiewek, głoszących pochwałę opilstwa i

dziewek. Kiedy wychylał szósty dzban, poczuł przyjazną rękę klepiącą go

po ramieniu. Nie odwracając głowy, odwzajemnił się tym samym gestem

pozdrowienia.

- Gutenberg? - spytał mężczyzna, obejmując go ramieniem.

-Johannes

Gutenberg? Syn Frielego?

Gdyby był trzeźwy, miałby wiele powodów do niepokoju:

pożegnanie, jakie zgotowano mu lata temu, nie było szczególnie

serdeczne. Jednak odurzony i szczęśliwy, miał serce otwarte i opuszczoną

gardę.

- Tak, przyjacielu, to ja. Kogóż to oglądają moje oczy? - odpowiedział,

starając się połączyć znajomo wyglądającą twarz z jakimś imieniem.

Z powodu wahania widocznego na jego twarzy mężczyzna ułatwił mu

zadanie:

- Fust. Johann Fust.

Wyraz twarzy Gutenberga zmienił się natychmiast. Nagle skojarzył

fizjonomię z nazwiskiem. Do rodziny Fustów należał najlepiej

prosperujący bank w Moguncji. A sądząc po jedwabnych szatach

Johanna, nic się nie zmieniło. Gutenberg miał przed sobą syna starego

znajomego swojego ojca. Związek między zarządcą mennicy a potężnym

bankierem był zarówno bliski, jak i skomplikowany.

- Jestem zaszczycony, panie - powiedział Johannes z przesadnym

szacunkiem, pod wpływem alkoholu, jak i uwielbienia, jakim darzył

pieniądze.

- Darujmy sobie te uprzejmości. Witaj w mieście! - Fust
wzniósł toast

dzbankiem z wianuszką piany.

Bankier odciągnął starego znajomego od grupy ryczących
na całą

gardło opojów i zaprowadził do stojącego na uboczu,
pogrążonego w

mroku stołu. Dał znak, żeby przy-

niesiono więcej piwa, i nie puszczać ramienia
Gutenbergą,

powiedział:

- Chcę, żebyś poznał mojego współnika.

Fust kiwnął w stronę drzwi oddzielających tawernę od
biur, skąd po

chwili wyszedł mężczyzna o bystrym spojrzeniu i z
elegancko

ufryzowaną brodą.

- Mój przyjaciel i współnik, Petrus Schóffer, Johannes

Gutenberg -

przedstawił ich sobie Fust.

Schóffer, słysząc wypowiedziane przez Fusta nazwisko, powtórzył z

niedowierzaniem:

- Gutenberg?

Nie rozumiejąc przyczyny jego zaskoczenia, rytownik przytaknął

zaintrygowany.

- Johannes Gutenberg we własnej osobie?

Johannes spojrział spod oka na Fusta, jakby chcąc się upewnić, czy aby

na pewno jest tym Gutenbergiem, którego obaj chcieli widzieć, czy to

tylko jakieś nieporozumienie.

- Podziwiam waszą skromność - powiedział Fust.

- Uniżony sługa wielmożnego pana - wyjąkał Schóffer,

kłaniając się w

pas.

Widząc konsternację Gutenberga, Fust pospieszył z wyjaśnieniami.

- Widzę, że nie jesteś świadom sławy, jaką się cieszysz w Moguncji.

Potwierdzając słowa bankiera, Johannes najpierw skinął głową,

anastępnie pokręcił nią przecząco. Nie był pewien, czy są to dobre, czy

złe wieści.

- Czas porozmawiać o interesach - oznajmił Fust, podkreślając słowo,

które Gutenberg lubił najbardziej ze wszystkich.

18

Po raz pierwszy od rozpoczęcia mowy palec Zygryda z Moguncji

zmienił kierunek, wskazując tym razem na Johanna Fusta. Sędziowie

żywili nadzieję, że do najpotężniejszego bankiera Moguncji i pomimo

żydowskiego pochodzenia jednego z najbardziej wpływowych ludzi w

tym środowisku oskarżyciel będzie się zwracał innym tonem.

Zgodnie z nazwiskiem, jakie nosił, bankier był owocem starego

genealogicznego drzewa rodziny Faustów¹⁷ - po łacinie Faustus - którego

korzenie wrosnięte były głęboko w historię Niemiec. Wielu z jego

przodków było cesarskimi urzędnikami. Od starszego brata Jakuba

nauczył się szlachetnego rzemiosła złotnika, a od wuja Aarona przejął

smykałkę do lichwy. I był gotów połączyć oba rodzaje działalności, żeby

powiększać i tak już kolosalną fortunę. Ukryty za swoim dobrym

rodowodem i sławą przodków, Johann Fust wspinał się po stopniach

hierarchii dzięki stosunkom z władzami, wężowi do interesów, a przede

wszystkim niewielkiemu przywiązaniu do powszechnie panującego

systemu wartości moralnych.

Fusta w młodości fascynowały książki. Jego rodzinny dom był jednym

z niewielu posiadających prywatną bibliotekę, co było przywilejem

zarezerwowanym dla rodzin królewskich i nielicznych starych rodów

patrycjuszowskich. Fust odziedziczył po ojcu ponad sto ksiąg, a sam

potroił tę liczbę. Udało mu się zgromadzić kilka woluminów Biblii i

tekstów religijnych w wykwintnej oprawie, a także starych

manuskryptów na papirusie i pergaminie. Do najrzadszych okazów

należał

17 Niektórzy historycy wiążą nazwisko Johanna Fusta z Faustem z

klasycznej legendy niemieckiej.

inkunabuł Tory spisanej na papirusie, dwadzieścia cztery zwoje

składające się na Tanach i dwa tworzące Talmud: Miszna i Gemara. W

sekretnym, zamkniętym na cztery spusty skarbcu przechowywał dziesięć

zakazanych ksiąg, o których istnieniu wiedział tylko on.

Gutenberg i Fust przeszli tę samą drogę, choć w różnym czasie,

bowiem Gutenberg był trzy lata starszy od Johanna: obaj byli wybitnymi

adeptami kaligrafii i złotnictwa. Mieli tych samych nauczycieli i

wspólnych przyjaciół. Obie rodziny były związane z pieniędzmi: ojciec

Johannesa wytwarzał je, lecz ich nie posiadał, ojciec Fusta gromadził je i

trwonił na zbytki. Życie obu wydawało się biec równoległymi ścieżkami,

którym pisane było przeciąć się w pewnej sytuacji, często mylnie

nazywanej zbiegiem okoliczności. Łączyły ich te same ambicje, odwaga i

swoisty sposób pojmowania norm etycznych i prawnych. Przede

wszystkim zaś fascynacja księgami: świętymi i świeckimi, a nawet

handlowymi.

W owych dniach w małym świątku rytowników, kaligrafów i

złotników szerzyła się gorączka, podobna do tej, jaka trawiła

alchemików; tyle tylko że zamiast poszukiwać formuły służącej do

wytwarzania złota, szukali sposobu na powielanie manuskryptów.

Osiągnięcia Maso Finiguerry i Panfilo Castaldiego we Włoszech,

Procopiusa Waldfoghela w Pradze, Kostera w Niderlandach i Mantela w

Strasburgu, a także innych, mniej słynnych, były szeroko znane. Wśród

nich jedno nazwisko wyróżniało się szczególnie: Johannes Gutenberg,

który, odizolowany od świata w kryjówce świętego Arbogasta, nie był

nawet świadom ogromnej sławy, jaką się cieszył w wąskim światku

konkwistadorów słowa, śmiało zagłębiających się w ciemne odmęty

farby na pokładach swoich kruchych, papierowych statków. Wtedy to

Fust postanowił przyłączyć do swojej floty jednego z najlepszych

kaligrafów na świecie: Petrusa Schöffera.

Petrus Schöffer urodził się w tysiąc czterysta dwudziestym piątym, w

mies'cie Gernsheim, Gross-Gerau. Szybko stał się jednym z

najznamienitszych kopistów Niemiec. Jego rękopisy odznaczały się

wyjątkową kaligrafią, kolorowo iluminowanymi kapitalikami,

bogactwem ornamentów, surową delikatnością ilustracji i solidną

oprawą, dzięki czemu jego prace szybko stały się jednymi z najbardziej

pożądanych w rozległej dolinie Renu, zaraz po pracach Zygryda z

Moguncji oczywiście. Dla Schöffera współpraca z Fustem okazała się

owocna od samego początku: oprócz dużych sum pieniędzy na swoje

eksperymenty otrzymał rękę pięknej córki pryncypała, Christiny, z którą

miał dwoje dzieci.

Ale zanim stał się wybitnym kopistą, Petrus przeszedł długą drogę.

Kształcony na uniwersytetach w Paryżu i Lyonie, poznał sekrety

rytownictwa i odlewania metali oraz poszerzył swoją wiedzę w wielu

innych dziedzinach, między innymi w zakresie technik rzemieślniczych.

Posługiwał się równie sprawnie słowem, jak dłonią, co mogła potwierdzić

córka Fusta, którą, zanim została jego żoną, uczył kaligrafii. Ponadto

Petrus mówił kilkoma językami, posiadał wiedzę filozoficzną i

teologiczną, nieobce mu były także tajniki chemii, matematyki i

geometrii. Osiągnął doskonałość w sztuce kaligrafii poprzez wnikliwe

studiowanie teorii złotego podziału Pitagorasa. Litery były dla niego

arytmetyczną kombinacją geometrycznych kształtów, podlegających

ścisłym prawom.

Spółka bankiera i kopisty wydała liczne fałszywe owoce na polu

kaligrafii dzięki ogromnemu talentowi Petrusa, który do perfekcji

doprowadził sztukę podrabiania na drewnianych tabliczkach pisma

najlepszych kopistów. Jednak nigdy nie byli w stanie wyjść poza wąskie

granice drzeworytu: wyjątkowe umiejętności kaligraficzne Petrusa

rozbijały się raz za razem o problemy, jakie stwarzały lite klocki z całymi

liniami

tekstu, prymitywne prasy i stosowane farby. Teksty, po

mistrzowsku

wyryte przez Schöffera w drewnie, wydrukowane na papierze, stawały się

prymitywnymi księgami blokowymi, bezspornymi falsyfikatami, których

nieautentyczność była oczywista nawet dla niewidomego.

Kiedy Johann Fust ujrzał Johannesa wchodzącego do tawerny,

wiedział od razu, że jeśli do spółki z Schofferem dołączy generał pokroju

Gutenberga, zwycięstwo w milczącej wojnie z europejskimi rytownikami

będzie pewne.

19

Podczas gdy w sądzie prokurator szykował się do zadania
śmiertelnego ciosu oskarżonym, w Klasztorze Służebnic
Kosza

Najświętszego kobiety sposobiły się do walki, gotowe
stawić czoło

mordercy swoją śmiertcionośną bronią.

Trzej mężczyźni, którzy zrzędzeniem losu spotkali się
przypadkowo

w szynku tętniącym życiem i sprośnymi pijackimi
przyśpiewkami, nie

byli świadomi, że projekt, który zrodził się w mroku
tawerny i na granicy

prawa, na zawsze zmieni dzieje ludzkości. Fust miał do
dyspozycji

kapitał i mistrza kopistę, ale brakowało mu wizjonera,
który mógłby

złamać, w dosłownym tego słowa znaczeniu, stare matryce

i zrobić w

dziedzinie ksylografii krok naprzód. Schóffer miał wyjątkowy talent i

dostęp do pieniędzy wspólnika, który finansował eksperymenty.

Gutenberg zaś opracował technikę i mechanizmy oraz udoskonalił

podstawowe materiały: prasę, tusz i ruchome metalowe czcionki. Ale

brakowało mu pieniędzy i umiejętności kaligrafa.

Część bywalców rawerny sądziła zapewne, że ci trzej mężczyźni,

nachyleni ku sobie, grają w karty. I nawet się zbyt nie mylili. Podobnie

jak gracze, Schóffer i Fust z jednej strony,

a Gutenberg z drugiej, mierzyli nawzajem swoje siły, sondowali się

ostrożnie, słuchali więcej, niż mówili, jakby chcieli uniknąć odkrycia kart

podczas rozgrywki. Powoli, w dużej mierze za sprawą wypitego piwa,

rozmowa stawała się swobodniejsza, aż w końcu wszyscy trzej

zrozumieli, że każdy z nich ma jedną trzecią czegoś, co stanowi całość.

Ale zanim przystąpili do rozmowy o literach, uzgodnili liczby.

Gutenberg w swojej hermetycznej skrytości wzbraniał się przed

zdradzeniem wynalazku. Jak to miał w zwyczaju, podobnie jak w

przypadku Heilmanna, chciał otrzymać pieniądze w zamian za wyniki.

Ale rozmowa z bankierem nie przebiegała łatwo. Propozycja Fusta była

nawet pozornie korzystniejsza: nie tylko proponował zaliczkę w gorówce,

ale także trzecią część zysków.

Johannes roześmiał się szczerze i wyłożył silniejszą kartę:

- Nie chcę jednej trzeciej. Połowa dla was, połowa dla mnie. Schóffer,

którego rola polegała na udawaniu głupiego

(taktyka bardzo skuteczna, sądząc po tym, jak zdobył córkę i lwią

część pieniędzy Fusta), zachowywał ostrożne milczenie, wpatrując się w

blat stołu. Fust szybko się zorientował, że Gutenberg, nawet jeśli jest

geniuszem w dziedzinie technik druku, nie zna podstawowych zasad

negocjacji. Od początku świata wiadomo, że najlepszym sposobem, żeby

odnieść sukces w prostej grze, w interesach czy na wojnie, jest

poróżnienie przeciwników. Swoją propozycją, zamiast próbować zjednać

sobie sojusznika, Johannes wzmocnił tylko zawiązany

wcześniej między

Fustem i Schófferem sojusz, sam pozostając w mniejszości. Jak dwaj

doświadczeni gracze, Johann i Petrus popatrzyli na siebie, myśląc

dokładnie to samo.

— Jeśli pretendujecie do połowy zysków, zakładamy, że wniesiecie

połowę wkładu do spółki. Jaka jest ta wasza połowa? - spytał Fust z

całkowitym spokojem.

- Zrozumielibyście, gdybyście znali mój wynalazek.

- Zgoda. W takim razie pokażcie nam go.

- Co to, to nie. Maszyna pozostanie pod moją wyłączną opieką.

Tak oto, nieświadomie, Gutenberg ujawnił, czym był jego sekret:

maszyną.

Wtedy inicjatywę przejął Schöffler.

- Mistrzu Gutenberg, wybawię was z niezręcznej sytuacji.
Z całym

szacunkiem, zarówno wy, jak i ja, niezależnie od
przepaści, jaka dzieli

moją skromną wiedzę od waszej mądrości, jesteśmy
rzemieślnikami

trudniącymi się sztycharstwem, złotnictwem i giserstwem.
Rozumiem, że

jeśli pretendujecie do połowy zysków i wnosicie połowę
wkładu do

spółki, jestem tu zbędny. Wnoszę, że wasze urządzenie
zastąpi moją

pracę. Rozumiem to i nie czuję się urażony. Zostawiam
was, panowie,

żebyście mogli spokojnie porozmawiać - oznajmił jak
gracz, który udaje,

że chce spasować.

- Petrus ma rację. Postawmy sprawę jasno - rzekł Fust. -

Jestem

bankierem, nie zajmuję się działalnością dobroczynną.
Jeśli ktoś jest tu

niepotrzebny, lepiej powiedzmy to sobie zawczasu.

W chwili kiedy Schóffer szykował się, żeby wstać od stołu, Gutenberg

złapał go za nadgarstek, zatrzymując na miejscu:

- Siadajcie, nikt tu nie jest zbyt cenny.

- W takim razie muszę wiedzieć, na czym polega moje zadanie.

- Potrzebuję kaligrafa wysokiej klasy, który potrafi ryć w metalu.

Słyszając to, Fust i Schóffer nie potrafili ukryć zdziwienia.
Udało im się

wyciągnąć od Gutenberga nie tylko informację o istnieniu tajemniczej

maszyny, ale również to, że jest ona przystosowana nie do drewnianych

czcionek, lecz do meta-

lowych. W tym momencie Johannes zdał sobie sprawę, że nie może

ukrywać swojej prasy przed Petrusem. Jak mógłby skłonić go, żeby wyrył

litery na ruchomych czcionkach, nie wyjawiając mu sekretu? Obaj

partnerzy rozgrywali swoje karty po mistrzowsku: byli bliscy wygrania

tej partii. Wtedy Fust postanowił zagrać ostatnią, najmniej pewną kartą: -

Chodźmy zaraz do mojego warsztatu. Jako pierwszy poznasz nasz

najcenniejszy sekret.

20

Prokurator, zwracając się do potężnego bankiera, nie był już tak

elokwentny, jak w przypadku Gutenberga. Ale teraz, kiedy wskazywał na

Schöffera, ponownie wpadł w swój poprzedni egzaltowany ton. I miał

powody do oburzenia, ponieważ młody zięć Fusta opanował to, co

Zygfyrd z Moguncji cenił u siebie najbardziej: niezrównaną kaligrafię.

W piwnicach pałacu Johanna Fusta działał potajemnie najlepiej

wyposażony warsztat, jaki Gutenberg kiedykolwiek widział. Pod

względem wielkości i kosztownego wystroju nie ustępował w niczym

głównej sali rezydencji. Podziemie zajmowało taką samą przestrzeń jak

piętro i odwzorowywało kolumny, fryzy i sklepienie pałacu. Na jednej ze

ścian zamocowano ogromną tablicę, na której wisiało nieskończone

mnóstwo narzędzi. Na półkach piętrzyły się sterty różnych rodzajów

gładkiego papieru, szlachetnych papirusów i wyselekcjonowanych

pergaminów, przywiezionych z dalekich krain. Tu i ówdzie leżały bloki

egzotycznego drewna: niektóre twarde jak kamień, inne miękkie jak

wosk. Johannes mógł obejrzeć formy, metale, a nawet ogromny tygiel do

odlewania, który oddychał za pomocą skomplikowanego systemu rur

przebijających wysoki pułap pomieszczenia. Było też kilka pras do

wyciskania wina i oleju, przystosowanych do drukowania, a może nawet

zbudowanych wyłącznie w tym celu.

Gutenberg mógł się na własne oczy przekonać, że Fust i Schóffer idą

tą samą drogą co on. Tyle tylko że wyruszyli w nią niedawno. Przyjrzał

się atramentom, upewniając się, że mimo iż są dobrej jakości, mogą

służyć jedynie do pisania piórem lub robienia odbitek. Widział kilka

wydruków, ale nie podszedł, żeby przyjrzeć się im dokładnie; wiedział, że

przy tych farbach nie mogą być precyzyjne.

- Muszę zobaczyć klocki - zażądał, nie mogąc się doczekać, aż

niezbity dowód potwierdzi jego przypuszczenia.

Schóffer podszedł do półki, zdjął jedną z ksiąg i przyniósł ją

Johannesowi razem z klockiem drzeworytowym.

- Pierwszy masz okazję oglądać moje prace - wyznał z nutką obawy w głosie.

Gutenberg postawił kandelabr, wziął do ręki klocek i przysunął go do

światła. Na widok liter musiał przytrzymać się stołu, żeby nie upaść.

Chciał coś powiedzieć, ale odebrało mu głos. Rozpoznałby tę kaligrafię

wśród tysiąca innych.

- To autentyczne pismo Zygryda z Moguncji - powiedział słabym

głosem.

- Tak - odrzekł zaskoczony Schóffer, otwierając przyniesioną Biblię,

przepisaną przez najlepszego kaligrafa w Moguncji.

To było dokładnie to, czego Gutenberg tak rozpaczliwie szukał. Teraz

trzymał to we własnych rękach. Problem był rozwiązany.

Fust i Schóffer patrzyli osłupiali, jak mistrz Johannes Gutenberg

plącze z niepohamowanego wzruszenia.

Świtało.

Tego samego dnia trzech mężczyzn wyjechali do Strasburga.

Johannes Gutenberg po raz pierwszy otwierał drzwi ruin Świętego

Arbogasta przed obcymi. Fustowi i Schófferowi oczy wychodziły z orbit,

kiedy przedzierali się przez bujną roślinność skrywającą stare opactwo.

Patrzyli z mieszaniną fascynacji i przerażenia na czaszki stojące w

milczących szeregach na straży ukrytego przed ludzkim okiem warsztatu.

Gdy pokonali zatartą granicę dzielącą zielone sklepienie i pozostałości po

dawnym dachu klasztoru, pozostawili za sobą kolumny wspierające

portal, ich oczom ukazał się zupełnie nierealny widok: doskonale

zachowana kaplica we wnętrzu góry, a w niej, pod rozpostartymi

ramionami Chrystusa, imponująca maszyna Gutenberga. Żaden z nich

trzech nie był w stanie powiedzieć, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy

spotkali się w tawernie. Brak snu, zmęczenie długą podróżą, pokonanie

wzgórza i silne emocje sprawiły, że ogarnął ich deliryczny stan na granicy

snu i jawy, a każdy wydawał się pozostałym członkom grupy jakąś senną

zjawą.

Fust i Schöffler krążyli wokół prasy, starając się zrozumieć działanie

poszczególnych części mechanizmu. W końcu Gutenberg przyniósł

kasztę z ruchomymi czcionkami, ułożył z nich szpalcę, umieścił w

tympanonie, rozpostarł papier, przemieścił uzbrojoną ramę w kierunku

podstawy prasy i na oczach zachwyconych współników posmarował

farbą czcionki i zakręcił korbą. Następnie obrócił ją w przeciwnym

kierunku, wyciągnął zadrukowany papier i podał Fustowi; widniały na

nim, jakby napisane jego własną ręką, imiona trzech partnerów:

Johannes Gutenberg- Johann Fust — Petrus Schóffer

Das Werk der Bucher 18.

Schóffer patrzył na krótki tekst i gdyby nie śledził zadziwiającego

procesu własnymi oczami, mógłby przysiąc, że to rękopis.

Podszedł do

prasy, wziął kasztę i zaczął oglądać wyryte w metalu ruchome czcionki.

Uznał je za wyjątkowy pomysł i wyrzucał sobie po cichu, że to nie on na

niego wpadł.

- Pozostaje tylko wyryć w metalu litery, które będą naśladować pismo

Zygryda z Moguncji - powiedział Johannes do Petrusa.

- To proste - odpowiedział ten, zamyślony, i dodał: - Można nawet

udoskonalić system.

Gutenberg nie przyjął tych słów przychylnie, ale postanowił

wysłuchać sugestii. Jednak Fust stojący za Johannesem, poza zasięgiem

jego wzroku, gestem nakazał Petrusowi milczenie. Schóffer się wycofał,

powołując na swoje prawdziwie nieludzkie zmęczenie:

- Teraz muszę odpocząć, nie jestem w stanie ani myśleć, ani mówić

jasno.

Wszyscy trzej byli zmęczeni po nieprzespanych nocach: kości bolały

ich od długiej jazdy, mieli spuchnięte powieki i przyćmione umysły

wskutek niemal śmiertelnej mieszanki podniecenia i braku snu.

Na wzór mnichów, dawnych mieszkańców opactwa, każdy zajął

oddzielną celę i nie zwracając najmniejszej uwagi na katastrofalny stan

pomieszczeń, rozciągnęli się na ziemi i zapadli w głęboki sen.

18 Termin, jakim Gutenberg określał proces wytwarzania ksiąg

(dokładnie: Dzieło księgi).

2 1

Ulva była pewna, że morderca wróci, żeby zadać im kolejny

morderczy cios. A może kat przeczuwał, że matka nierządnic będzie na

niego czekać gotowa na wojnę. A może i jedno, i drugie w głębi duszy nie

mogło się doczekać ostatecznej bitwy, walki wręcz na śmierć i życie.

Sędziowie najwyraźniej dysponowali już dostateczną wiedzą, żeby

wydać wyrok w sprawie głównego oskarżonego. Niemniej nadal mieli

wiele wątpliwości dotyczących współników. Wątpliwości, które,

oczywiście, Zygfryd z Moguncji był gotów rozwiązać. Wreszcie przyszła

kolej na Fusta i Schöffera. Na tym etapie procesu prawa ręka notariusza

była już ościężała i poplamiona inkaustem. Musiał bardzo uważać, żeby

nie pobrudzić papieru palcami i nie stracić koncentracji, mocno już

osłabionej.

Jak trzech mnisi klauzurowi Gutenberg, Fust i Schóffer zadomowili się

w ruinach opactwa świętego Arbogasta. Z długimi brodami,

zmierzwionymi, brudnymi i pełnymi kołtunów włosami wyglądali jak

włóczędzy. Johann Fust, najbogatszy bankier Moguncji, teraz żył jak

pustelnik, drapiąc się bezustannie po czuprynie, która przeobraziła się w

krzaczaste gniazdo wszy. Twarz Petrusa, wybitnego absolwenta

uniwersytetów w Paryżu i Lyonie, poczerniała od farby i brudu

nagromadzonego przez lata w tym miejscu. Jedynie Johannes był już

przyzwyczajony do tego niedorzecznego życia w odosobnieniu.

Ramię w ramię, w ciszy, wszyscy trzej pracowali dniami i nocami.

Schóffer zgarbił się od ciągłego pochylania nad czcionkami, w których

rył cierpliwie skomplikowane litery kaligrafii Zygryda z Moguncji.

Przez dziesięć dni ledwie przełknęli po

kilka kęsów. Przez tych dziesięć dni mozolnej pracy nie oglądali

dziennego światła. Dziesięć długich, decydujących dni, podczas których

zamożny bankier wykonywał obowiązki czeladnika, asystenta, kucharza i

posłusznego pomocnika Gutenberga, kapitana tej dywizji obdartusów. A

potem, po dziesięciu dniach i nocach, mozolny trud wydał owoce: w

zaledwie dziesięć dni wydrukowali dziesięć Biblii, identycznych jak ta

spisana ręką Zygfryda z Moguncji. Nawet sam kaligraf nie byłby w stanie

stwierdzić, która jest oryginalna, a które są kopiami.

Potem, podobnie jak owej nocy, kiedy zawarli układ, Gutenberg, Fust

i Schóffer świętowali sukces, wznosząc piwem toast za toastem tak długo,

aż padli pijani. A to był dopiero skromny przedsmak tego, co miało

nadejść; w krótkim czasie wydrukowali sto osiemdziesiąt egzemplarzy

Biblii: sto pięćdziesiąt na papierze i trzydzieści na pergaminie.

Jeśli te pierwsze księgi miały jakąś wadę, to, paradoksalnie, była nią

ich doskonałość. Normalnie, gdyby się szczegółowo przyjrzeć dwóm

egzemplarzom wykonanym przez tego samego kopistę, można by było

znaleźć wiele różnic. Żaden kaligraf, nawet najdoskonalszy, nie był w

stanie przepisać dwóch kopii nieróżniącymi się od siebie choćby

minimalnie znakami. Te tomy, jednakowoż, drukowane z tej samej

matrycy, były dokładnie takie same. Z drugiej strony nikt zapewne nie

zada sobie trudu, żeby szukać różnic między dwoma dziełami o tym

samym tytule, tym bardziej że kiedy zostaną sprzedane różnym

nabywcom, prawdopodobieństwo, że ich właściciele kiedykolwiek się

spotkają, będzie nikłe. Poza tym księgi rzadko opuszczały biblioteki.

Biblie były wydrukowane, ale musieli je jeszcze oprawić. A do tego

celu potrzebowali okładzin. W przeciwieństwie do ograniczonych

zasobów Gutenberga warsztat Fusta wyposażony był we wszystkie

potrzebne do tego urządzenia. Zgodnie

z planem, ustalonym przez partnerów, Johannes miał pozostać w

Strasburgu i zająć się drukowaniem, zadaniem Schöf-fera było

wykonanie iluminacji, zdobień i oprawienie składek w warsztacie w

Moguncji, a Fust był odpowiedzialny za ich sprzedaż. Pierwszym celem

będzie Paryż, miasto, w którym dwóch czy trzech nabywców łatwo da się

znaleźć.

Zgodnie z umową Fust miał zapłacić Gutenbergowi

zaliczkę w

wysokości ośmiuset guldenów, czterysta na miejscu, a resztę po oprawie

ksiąg. Następnie, z pieniędzy zebranych ze sprzedaży, Johann odzyska to,

co zainwestował, a reszta, tak jak zostało uzgodnione, zostanie

podzielona na dwie części: jedna przypadnie Johannesowi, a drugą

podziela się Fust i Schóffer.

Gutenberg nie żałował, że podzielił się swoją tajemnicą z nowymi

partnerami. Wszyscy trzej pasowali do siebie idealnie, jak ruchome

czcionki w wierszowniku. Przy pożegnaniu Johannes po raz ostatni wziął

do ręki księgi, zanim mężczyźni włożyli je do juków. Fust i Schóffer

pożegnali go serdecznie i odjechali drogą wzdłuż rzeki.

Wcześniej tej samej nocy, zadowolony z czterystu guldenów i

przyobiecanej fortuny, upojony alkoholem i ambicjami Johannes, nie

czytając, podpisał w opactwie świętego Arbo-gasta ze swoimi partnerami

podsunięte mu dokumenty, nieświadom, że plany jego wspólników nie

mają nic wspólnego z tymi, jakie snuł on sam.

Przebiegły Fust nie chciał, żeby Schóffer mówił o ich pomysłach na

udoskonalenie druku w obecności Gutenberga. Dopiero kiedy dotarli do

Moguncji, Petrus wyjaśnił teściowi usprawnienia, jakie przysły mu do

głowy, kiedy zobaczył wynalazek Johannesesa.

Schóffer uświadomił Fustowi zasadę, która stanie się fundamentalną

regułą typografii: kombinacja ruchomych czcio-

nek nie powinna rządzić się zasadami ręcznego pisma, tylko logiką

przestrzennych proporcji, które pozwolą na swobodniejszą wymianę

czcionek. Nie miało sensu podrabianie pisma znanych kaligrafów, jak

zrobili w przypadku Zygryda z Moguncji, ponieważ zamiast ułatwiać

sobie pracę, tylko ją skomplikowali. Petrus wpadł na genialny pomysł,

żeby podrabiać samego siebie. Gdyby ktoś przypadkiem odkrył, że nie

ma do czynienia z rękopisem, unikną oskarżenia o przestępstwo, nikt nie

może być bowiem ofiarą samego siebie. Z drugiej strony nowa metoda

pozwoli mu na wprowadzenie nowej kaligrafii, przystosowanej na

potrzeby druku. Postanowił wykorzystać pismo gotyckie, niemal

zapomniane, którego eleganckie geometryczne kształty znacznie

ułatwiały grawerowanie czcionek i które ponadto rozwiązywało problem

spacji, nadal występujący w systemie Gutenberga. Dodatkowo nowa

metoda pozwoliłaby lepiej wykorzystać grafikę: tę samą czcionkę można

będzie zastosować do innej litery w zależności od tego, czy skieruje się ją

w prawą, czy w lewą stronę.

Fust szybko zrozumiał, że system wymyślony przez współlnika i zięcia

jest prawdziwą rewolucją w kaligrafii. Ten sposób nie tylko obniży cenę

wytwarzania ruchomych czcionek, ale także zapewni księdze wizualną

harmonię, co ułatwi czytanie i pozbawi ją sztuczności. Co więcej, z

prawnego punktu widzenia sprzedawanie fałszykatów cudzych

rękopisów nie jest tym samym, co fałszowanie samego siebie.

Jednak żeby zrealizować i sfinansować projekt, Fust musiał najpierw

sprzedać egzemplarze wydrukowane przez Gutenberga. Udał się więc do

Paryża, aby odwiedzić jednego z potencjalnych nabywców z trzema

zestawami dwutomowej, czterdziestodwuwierszowej Biblii. Pierwszy z

nich miał trzysta dwadzieścia cztery strony, drugi liczył ich trzysta

dziewiętnaście.

2 2

Od bardzo dawna zamtuzy na Korbstrasse świeciły pustkami. Od

kiedy śmierć pojawiła się w mieście, klienci nie odważali się odwiedzać

domów uciech, a nierządnicę wychodzić na ulice. Ale w przeciwieństwie

do tego, co się działo w zwykłych lupanarach, Ulva i służebnice Kosza

Najświętszego nie poddawały się terrorowi i sposobiły do

wypowiedzenia największej ze wszystkich bitew, zapowiadanej w

Apokalipsie: wielka nierządnicą Babilonu przeciw zastępom Syna

Człowieczego.

Ubrane

jak

pradawne

kapłanki-wojowniczk,

zdecydowane były bronić klasztoru, podobnie jak ich
zwycięskie

babilońskie poprzedniczki, które niejednemu raz stawały w
obronie świątyni

Isztar.

Zygryd z Moguncji tymczasem usiłował przekonać
sędziów nie tylko

o winie oskarżonych, ale przede wszystkim o
niebezpieczeństwie, jakie

płynie z rozpowszechniania ksiąg wśród prostaczków.

- Ekscelecje, powiadam wam: księga w świętych
dłoniach jest

przedmiotem świętym, ale święta księga w rękach
świeckich staje się

profanum. A święta księga w rękach zła będzie złem w
najczystszej

postaci. Jeśli święte księgi zależą od samowoli prostaczków, ci,

uważając się za świętych, postradają zmysły. Zadajcie sobie pytanie, co

się stanie, jeśli księgę można będzie kupić nie za sto guldenów, tylko za

garść miedziaków? Ekszelencje, wyobraźcie sobie przez chwilę, co się

stanie, jeśli każdy będzie miał bibliotekę. Wyobraźcie sobie, na przykład,

życie szlachcica, ziemianina: odda się w wolnych chwilach czytaniu z

takim zapamiętaniem, że gotów zapomnieć ze szczętem nie tylko o

zdrowym skądinąd zajęciu, jakim jest polowanie, ale nawet o zarządzaniu

majątkiem. Jego

ciekawość i nieodpowiedzialność doprowadzą go w końcu do takiego

stanu, że zacznie wyprzedawać ziemię, żeby kupować coraz więcej książek

i zapełniać nimi półki. W konsekwencji postrada zmysły, a pragnienie

zrozumienia i zgłębienia sensu książek spędzać mu będzie sen z powiek. A

przecież nie pojąłby go ani by ich nie zrozumiał sam Arystoteles, gdyby

zmartwychwstał. Krótko mówiąc, ślęczeć będzie nad książkami od świtu

do nocy, spędzając dni w odrętwieniu, aż w końcu, z braku snu i od

ciągłego czytania, mózg wyschnie mu na wiór, odbierając rozum.

Pomieszają mu się wszystkie fantazje wyczytane w książkach, zarówno

olśnienia, jak i waśnie, bitwy, pojedynki, rany, zaloty, miłości, cierpienia

i inne bezsensowne niedorzeczności; utkwiają mu w głowie tak mocno, że

w końcu da wiarę wymyślonym nonsensom, jakie wyczytał, i nie będzie

dla niego na świecie bardziej oczywistej prawdy niż ta przeczytana w

księgach. Wiele razy odczuje pokusę, żeby wziąć do ręki pióro i położyć

kres księgom napisanym przez innych. Chcę przez to powiedzieć,

szlachetni mężowie, że opętany czytaniem człowiek nie zawaha się przed

decyzją, żeby ze zwykłego czytelnika stać się zmanierowanym pisarzyną.

Wyobraźcie sobie świat bezbożnych dyletantów, którym z dała od

waszego mądrego przewodnictwa zachce się spisywać jedną herezję za

drugą. Byłby to początek końca.

Prokurator,

z wytrzeszczonymi oczami, ogarnięty nagłym

mistycznym uniesieniem, mówił jakby do siebie:

- Co stałoby się z ludzkością, gdyby dzięki szatańskiemu wynalazkowi Gutenberga i jego współników zamiast Biblii szerzyły się, jak nasiona rozsiewane przez wiatr, takie diabelskie dzieła jak *Thalia*

Ariusza czy *Theologia summi boni* Piotra Abelarda. Co by się stało,

gdyby książki takie jak *Contra traducem peccati* Celestiusza czy *Satyricon*

Petroniusza stały się powszechnie znane? Czym byłby świat, gdyby

każdy mógł

czytać poematy poświęcone fallicznemu bogowi w *Priapeach* lub

Lizystracie Arystofanesa, nie mówiąc już o *Metamorfozach* albo *Złotym*

ośle Apulejusza, *Rozmowach heter* Lukiana z Sa-mosaty czy grzesznej

Sztuce kochania Owidiusza i nieskończenie
obscenicznych poematach

Marcjalisa? Co by się stało, gdyby te wszystkie heretyckie
księgi każdy

miał na wyciągnięcie ręki albo jeszcze gorzej, gdyby
każdy mógł

posiadać własne zbiory?

Notariusz Ulrich Helmasperger z trudem nadązał za
szaleńcą,

gwałtowną tyradą oskarżyciela. Tak wiele razy musiał
zatapiać pióro w

rogu z tuszem i co rychlej wracać nim na papier, że
niewiele brakowało, a

rozlałby atrament na dokumencie. Z tego też powodu,
gdyby zamiast

piórem wymachiwał sztyletem, nie wahałby się wbić go w
bezlitosne

serce Zygfyryda z Moguncji.

Podczas gdy prokurator perorował, kręcąc się wkoło z

rozpostartymi

szeroko ramionami, jakby stracił rozum, Johann Fust wspominał swoje

spotkanie z francuskim szlachcicem. JeanClaude Moutón szczycił się

jedną z najbogatszych i najlepiej zachowanych bibliotek w Paryżu. Być

może znakomity stan jego ksiąg brał się z tego, że zamożny francuski

handlarz nigdy nie otworzył żadnego ze swoich licznych tomów.

Biblioteka miała dodawać właścicielowi prestiżu i spełniać istotną

funkcję dekoracyjną. Ponadto książki były doskonałą inwestycją, której

wartość rosła z roku na rok. Moutón przyjął Fusta w swoim pałacu z

uprzejmością maskującą podekscytowanie. Kilka dni wcześniej

moguncki bankier napisał do niego list, zawiadamiając, że chce

odwiedzić Paryż, i mimochodem wspomniał o zamiarze sprzedaży Biblii.

Woluminy wykonane w dorzeczu Renu były najbardziej wziętymi

Bibliami w Europie. Nie po raz pierwszy obaj mężczyźni handlowali

księgami. List wywarł na

Jean-Claudzie piorunujące wrażenie, zwłaszcza kiedy zobaczył cenę,

jaką proponował Fust: sto guldenów; było jasne, że jeśli cena

wywoławcza wynosi sto, Fust gotów jest sprzedać księgę za co najwyżej

osiemdziesiąt. Taka była konwencja. Francuz nie tylko dał mu do

rozumienia, że może być zainteresowany, ale również zaproponował,

żeby Fust podczas wizyty w Paryżu zatrzymał się u niego.

Zaproszenie

oznaczało nie tylko uprzejmy gest, ale także oszczędność, która mogła się

przełożyć na znaczący upust. Żaden z nich nie cierpiał na brak pieniędzy,

ale największą satysfakcję przy tego rodzaju transakcjach czerpało się z

uzyskania jak najlepszej ceny.

Fust przybył do pałacu Moutóna po długiej podróży. Grzecznie

odrzucił propozycję lokaja, który schylił się po jego bagaż, nie chcąc

oddawać w cudze ręce cennego ładunku. Sam zajął się wnoszeniem

ciężkich tobołów na górę do pokoju gościnnego. Na pozostałą część dnia

gospodarz zaplanował dla gościa spacer ulicami Paryża, miasta, którego

Fust nienawidził z powodu odwiecznej rywalizacji między Francuzami a

Niemcami. Wrócili do pałacu w ostatnich promieniach słońca.

Jean-Claude zaproponował wczesną kolację, nie mogąc się już doczekać

deseru, żeby w końcu zobaczyć Biblię z Moguncji. Z kolei bankier

odwlekał tę chwilę jak najdłużej, żeby gospodarz nie mógł obejrzeć księgi

w świetle dnia.

Podczas kolacji kontynuowali popołudniową pogawędkę. Obaj mieli

niezwykłą zdolność do rozprawiania o błahostkach. Poruszali te same

tematy, które omawiali w podobnych okolicznościach przy poprzednich

spotkaniach. Fust słuchał wypowiedzianych przez swojego rozmówcę

komentarzy, chociaż potrafił przewidzieć ich kolejność.
Nawet z

opowiadanych po raz dziesiąty dowcipów śmiał się, jakby
słyszał je po

raz pierwszy. W końcu wstali od stołu i gospodarz
zaprosił gościa do

salonu.

- Chciałbym zobaczyć Biblię - oświadczył, gdy tylko
rozsiedli się

wygodnie w fotelach przed kominkiem, w którym płonęły
szczapy.

- Naturalnie - odrzekł Fust, jakby nagle przypomniał sobie
cel

podróży.

Udał się do zajmowanego przez siebie pokoju i zamknął
drzwi,

upewniając się, czy nie ma nikogo w pobliżu. Próbował
otworzyć

podróżny kufer, ale był tak zdenerwowany, że nie mógł

trafić małym

kluczem w otwór kłódki. Kiedy w końcu mu się udało, wyjął dwa tomy

Biblii, pozostawiając resztę przywiezionych kompletów w kufrze. Wziął

oba woluminy i wrócił do salonu, dźwigając święte księgi.

Moutón, nie mogąc ukryć emocji, wziął pierwszy tom, ale zanim go

otworzył, pogłaskał oprawę z jagnięcej skóry. Zamknął oczy i jak pies

gończy obwąchał okazałym nosem okładkę księgi.

- Nie ma bardziej wykwintnej woni od zapachu księgi - wyszeptał w

uniesieniu, jakby mówił sam do siebie.

Zbadał bogato tłoczone, misternie złocone okładziny, po czym,

zważywszy księgę w rękach, włożył cienkie jedwabne rękawiczki z

uwagi na drogocenność woluminu i wreszcie ją otworzył.

- Och! - wykrzyknął z zachwytem. Serce Fusta waliło z niepokoju i

obawy.

- Och! - powtórzył Francuz, jakby stracił mowę.

Bankier trwał w milczeniu, nie chcąc zniszczyć rodzącej się miłości

między człowiekiem a książką. Jean-Claude tymczasem wziął ogromną

lupę i poddał pismo dokładnemu badaniu. Przewracał karty, zatrzymując

się dłużej na inicjałach i ilustracjach. Czoło Fusta pokryło się potem, a

serce biło coraz mocniej. Nagle wyraz twarzy Moutóna uległ zmianie;

między brwiami pojawiła się zmarszczka. Gwałtownie

opuścił lupę w dół, zamknął księgę i patrząc uważnie w oczy swego

gościa, orzekł:

- Cudo. Po prostu cudo.

Fust odetchnął z ulgą.

Jean-Claude Moutón nie targował się ani o grosz. Wyłożył sto

guldenów, do ostatniej monety.

Johann wrócił do sypialni, czyniąc nadludzkie wysiłki, żeby nie

pokazać po sobie euforii, a Francuz, zadowolony z nabytku, zaniósł księgi

do biblioteki z zamiarem znalezienia im poczesnego miejsca na półkach.

Na razie obejrzał tylko pierwszy tom. Nalał sobie kolejny kieliszek wina z

własnych piwnic i zasiadł z zamiarem zapoznania się z drugim tomem,

przed tym, jak umieści go w swoim księgozborze. Już zanim go

otworzył, zauważył ze zdziwieniem, że wolumin, który na grzbiecie

powinien być oznaczony liczbą II, niczym nie różni się od pierwszego.

Fust z pośpiechu i zdenerwowania pomylił księgi i zamiast zabrać

komplet Biblii, zaniósł Moutónowi dwa takie same woluminy. W

pierwszej chwili kupiec, w dobrej wierze, pomyślał, że niemiecki bankier

przywiózł dwa komplety Biblii. Jednak chwilę później zauważył, że obie

oprawy są identyczne. Było niespotykane, żeby intrologator wykonał

dwie takie same okładziny; każdą księgę celowo opatrywano znakami

szczególnymi. Jean-Claude wrócił po lupę, otworzył obie księgi, a kiedy

odkrył, że są do siebie bliźniaczo podobne, z wrażenia zaparło mu dech w

piersiach: wszystkie litery, wszystkie kropki, wszystkie przecinki,

wszystkie ilustracje były identyczne w obu egzemplarzach. Nie miał

pojęcia, jak bankierowi udało się dokonać takiego cudu, ale co do jednego

nie miał wątpliwości: miał przed sobą falsyfikat.

Natychmiast odszukał lokaja i wysłał go do domu jednego z

przyjaciół, oficera gwardii Jacquesa Borderaux; niech go obudzą, jeśli to

konieczne. Tymczasem zakradł się pod pokój

gościnny, przytknął ucho do drzwi i stwierdził, że Fust chrapie,

pogrążony w głębokim śnie, zadowolony, że wywiódł go w pole.

Osobiście, uzbrojony w szpadę, właściciel domu stał na straży przy

drzwiach, dopóki nie przybył oficer gwardii królewskiej.

23

Straż miejska wyrwała Johanna Fusta ze snu. Aresztowali go, nie

pozwalając nawet zmienić nocnej bielizny, a zanim zdołał wydobyć z

siebie jakiegokolwiek słowa, zarekwirowali mu księgi, sto guldenów, jakie

zarobił na oszustwie, pieniądze, które przywiózł ze sobą, i cały

ekwipunek. Próbował się tłumaczyć, ale w odpowiedzi szturchańcami

wypchnęli go z pokoju. Głośno domagał się po francusku szacunku z racji

swojego partycjuszowskiego stanu, a po niemiecku respektu należnego

bankierom. Strażnicy ryknęli śmiechem; najwyraźniej aresztowanie

zadufanego w sobie Niemca, a co więcej Żyda, sprawiło im wyjątkową

satysfakcję.

Fust był w opałach, jako że jedynymi Francuzami, którzy mogli się za

nim wstawić, byli ci, których próbował oszukać. Sprawa, poważna sama

w sobie, komplikowała się z kilku powodów: po pierwsze, nie chodziło o

jakaś tam księgę, tylko o Biblię. Na domiar złego podrobiono oryginalny

rękopis wysokiej rangi duchownego, jego Ekscelencji Zygfryda z

Moguncji. Ale był jeszcze i trzeci, poważniejszy powód: duchowni

zajmujący się sprawą zupełnie nie mogli zrozumieć, w jaki sposób

oskarżony zdołał odtworzyć tekst z taką dokładnością. Wszystko

wskazywało na to, że mieli do czynienia z czarami.

Johann Fust został osądzony przez francuski trybunał w

trybie

przyspieszonym. Sędziowie jednogłośnie skazali go na stos. Już miano podkładać żagwie, kiedy wieść o skandalu dotarła do

Zygryda z Moguncji. Sławny kapłan i kopista uznał, że najbardziej

pokrzywdzony w całej sprawie jest on sam, i doprowadził do tego, że

papież urzędowym pismem nakazał, żeby sprawa została rozpatrzona

przez sąd kościelny w Moguncji, mieście, z którego pochodził również

Johann Fust.

Gdyby nie starania Zygryda z Moguncji, Fust zabrałby swoją

tajemnicę do grobu, ponieważ w uproszczonym śledztwie, jakie

przeprowadzono w Paryżu, nie wolno mu było wypowiedzieć ani jednego

słowa w swojej obronie. Gdy tylko wrócił do miasta, jeszcze zanim

rozpoczął się proces, Fust zrzucił całą odpowiedzialność za Johanna

Gutenberg. Nie miał nawet na tyle przyzwoitości, aby oczyścić

Schöffera i oszczędzić cierpienia własnej córce.

Tak więc wszyscy trzej najzuchwalsi oszuści w Europie zostali

aresztowani i stanęli przed sądem w katedrze w Moguncji, oskarżeni

przez ofiarę największego i najbardziej tajemniczego oszustwa, jakie

będą pamiętać Niemcy.

24

Niewyraźny cień przemykał od strony rynku, całkowicie wyludnionego o tej nocnej godzinie, w kierunku ulicy koszykarzy.

Wydłużona postać w czarnej pelerynie, spowijającej ją od stóp do głów,

była praktycznie niewidoczna. Kaptur naciągnięty na twarz i luźna szata

nie pozwalały dojrzeć, czy intruz jest niewiastą, czy mężem.

Bezchmurna, bezksiężycowa noc okrywała miasto nieprzeniknioną

ciemnością i barwiła wszystko tym samym odcieniem głębokiej czerni.

Lupanary na Korbstrasse i okoliczne tawerny zazwyczaj dodawały blasku

nocnemu życiu w tej części miasta. Jednakże od kiedy

śmierć zagościła w jej zaułkach, nie słysząc już było

pijackich

przyśpiewek w szynkach: wszystkie zamykały podwoje przed zmrokiem.

Codziennie nawoływania ladacznic, które wychylone przez okna, wabiły

przechodniów, były jedynie wspomnieniem: nie widywało się już ani

przechodniów, ani nierządnic.

Wszystko wyglądało ponuro: drzwi i okna pozamykane na rygle,

skoble i kłódki; nieśmiałe latarnie na rogach, próbujące pokonać

ciemności, choć ich słabe płomienie, podobnie jak gwiazdy, zamiast

oświetlać, podkreślały tylko, na zasadzie kontrastu, zalegające wokół

ciemności. Władze, zamiast wzmocnić bezpieczeństwo strażami

obchodzącymi ulice, zdecydowały się wycofać jedyne

gwardzistę

patrolującego Korbstrasse. Mordercy udało się to, czego urzędnicy nie

osiągnęli nigdy: tawerny zamykano wcześniej, a zamtuzy przywołano do

porządku.

Nikt więc nie zauważył złowrogiej postaci, który zagłębiła się w

uliczkę, przemykając wzdłuż ścian bezszelestnie jak czarny kot.

Dotarłszy do bramy Klasztoru Kosza Najświętszego, tajemniczy osobnik

zatrzymał się przy wejściu, spojrzał w górę i wyprężył się, wyostrajając

zmysły, jakby za pomocą wzroku, węchu i słuchu chciał się zorientować,

co dzieje się za murami. Nagle najwyraźniej dotarł do niego oczekiwany

sygnał. Ruszył dalej przed siebie. Dotarłszy do kolejnej

ulicy, zatrzymał

się ponownie, tym razem przed maleńką kaplicą świętego Seweryna.

Było to jedno z najmniejszych sanktuariów w całych Niemczech, a

może nawet na świecie. Drzwi nie sięgały wzrostu dorosłego człowieka i

były tak wąskie, że ktoś o bardziej obfitych kształtach nie zdołałby się

przez nie przecisnąć. Pomieszczenie było długie na dwa kroki i na jeden

szerokie. Na frontowej ścianie wisiał samotnie Chrystus, mikroskopijny

stołek służył za klęcznik, a prostokątna skrzynka za puszkę na

jałmużnę. W ciągu dnia kaplica otwierała swoje wąskie drzwi dla

przechodniów, którzy niemal mimochodem wznosili pośpieszne

modlitwy, składali ofiarę i robili miejsce dla następnej osoby. Jej skromne

wymiary sprawiały, że każdy, kto wchodził do wnętrza, czuł się sam na

sam z Bogiem, w osobistym zespoleniu, jakby stał z nim twarzą w twarz.

A ponieważ nie było miejsca dla kapłana, nie było żadnego pośrednictwa

między Najwyższym a jego wyznawcami.

Stojąc przy wejściu do kaplicy, czarna postać wyjęła nóż ukryty pod

peleryną, wsunęła go w zamek i otworzyła pewnym ruchem. Ręka

poplamiona atramentem popchnęła drzwi, które otwierając się,

zaskrzypiały przeciągle. Intruz rozejrzał się w obie strony, po czym,

upewniwszy się, że nikt go nie widzi, wszedł do kaplicy i zamknął za sobą

drzwi. W ciemnościach poruszał się z taką precyzją, że albo musiał mieć

dar widzenia w ciemnościach, albo znać to miejsce na wylot. Jakkolwiek

było, stanął okrakiem, zapierając się stopami o cokoły przeciwległych

ścian, schylił się, odsunął płytę, która zakrywała zejście do podziemi, i

ciągnąc za niemal niewidoczny uchwyt, dźwignął klapę do góry.

Oparłszy ją o ścianę, zręcznie ześlizgnął się w czeluść otwierającą się pod

jego stopami. Znalazłszy się na dole, podążył przed siebie szerokim,

długim tunelem. Spłoszone jego szybkim, zdecydowanym krokiem

szczury uskakiwały na boki. Wreszcie dotarł na drugi koniec wilgotnego,

śmierzącego korytarza, uniósł obie ręce nad głowę i popchnął drewnianą

klapę, otwierając świetlik prowadzący na powierzchnię.
Zanim się

wyłonił, wychylił zakapturzoną głowę, upewniając się, że
nikogo nie ma,

po czym zaparł się ramionami o ramę, odbił nogami i
jednym ruchem

podciągnął do góry.

Był w podziemiach Klasztoru Kosza Najświętszego. Z
taką samą

łatwością, z jaką dotarł do piwnicy, intruz dostał

się do kuchni. Przemykał w milczeniu, jakby znał każdy
zakątek

lupanaru, jakby odwiedzał go niejedyn raz. Nagle usłyszał
kroki. Wyjrzał

na korytarz i zobaczył, jak któraś z mieszkanek wchodzi
do swojej

alkowy. Zaledwie kilka miesięcy temu o tej porze zamtuż,
wypełniony

mężczyznami i kobietami w bezustannym ruchu,

rozbrzmiewał

westchnieniami, jękami rozkoszy i śmiechem. Ale od jego pierwszej

wizyty nic już nie było takie samo. Wcześniej nie mógłby przebyć drogi

do sypialni, nie spotykając nikogo po drodze. Z drugiej strony w tłumie

łatwiej było pozostać niezauważonym. Należało zachować najdalej idącą

ostrożność; każdy fałszywy ruch mógł go wystawić na

niebezpieczeństwo. Gość pomacał sztylet, upewniając się, czy nadal jest

na swoim miejscu. Wiedział dokładnie, do której alkowy musi się

kierować: tej, w której spała następczyni. Zrobił jeszcze kilka kroków,

zatrzymał się przed jej drzwiami i nieśmiało zapukał.

- Kto tam? - rozległo się pytanie po drugiej stronie drzwi.

- To ja, Ulva - odpowiedział szeptem.

Gdy tylko drzwi się uchyliły, zamaskowany gość owinięty czarną

peleryną wsunął ramię do środka, zatykając dziewczynie usta. Nie

zwalniając chwytu, rzucił się na nią całym ciężarem. Jedną ręką zamknął

drzwi, a drugą przyciskając jej twarz, zaciągnął nieszczęsną na łóżko.

Miał opracowaną doskonałą technikę, żeby uciszyć krzyki ofiary:

nakrywał jej twarz poduszką, ściskając jednocześnie kolanami jej nogi, na

próżno próbujące uwolnić się z uścisku. Był już bliski osiągnięcia celu,

gdy nagle usłyszał za sobą czyjś głos:

- Witajcie, czekałyśmy na was.

Oszołomiony, odwrócił głowę i zobaczył uśmiechniętą twarz Ulvy,

która przyjaznym, uprzejmym tonem dodała:

- Od dawna nie miałyśmy klienta. Przygotujcie się na jedyną w swoim

rodzaju noc.

Zanim intruz zdołał się poruszyć, Ulva podniosła żelazny pogrzebacz i

wymierzyła gościowi potężny cios w plecy. Gdyby chciała go zabić,

mogła uczynić to z łatwością, mierząc w kark. Ale miała inne plany

Intruz, nie mogąc złapać powietrza, obrócił się wokół własnej osi.

Próbował wstać, ale otrzymał kolejne uderzenie, tym razem w splot

słoneczny. Za Ulwą stały pozostałe niewiasty w strojach kapłanek.

- Świetnie naśladujecie mój głos - pochwaliła gościa z uśmiechem

Ulva, wyjmując z fałd szaty nóż.

Twarz mordercy nadal pozostawała ukryta pod kapturem.
Na

polecenie najstarszej nierządnicy kobieta leżąca na łóżku,
nadal z trudem

łapiąca powietrze, złapała za brzeg kukulli i pociągnęła,
odslaniając twarz

nieproszonego gościa.

Mieszanina nienawiści, obrzydzenia, oburzenia i
wściekłości znalazła

ujście w jednym wielkim krzyku. Najbardziej świątły
człowiek w

Moguncji, chełpiący się przeczytanymi, a jeszcze bardziej
spisanymi

przez siebie księgami, ten, który z ambony w czasie mszy
wygłaszał

kazania, uważając się za paladyna sprawiedliwych, leżał
teraz jak długi

na łożu rozpusty najbardziej heretyckiego lupanaru w
Niemczech.

Zygfryd z Moguncji próbował wyrównać oddech, ale ciosy, jakie na

niego spadły, zostały zadane tak umiejętnie, że nie udawało mu się złapać

powietrza. Cztery nierządnicze rozciągnęły go na łożu za ręce i nogi i

przywiązały do ramy.

Człowiek, który rozdzierał szaty i wołał o pomstę do nieba w obawie

przed rozpowszechnieniem zakazanych ksiąg, okazał się zbrodniarzem,

który odwiedzał szatański przybytek. Ulva doskonale знаła powód, dla

którego najwybitniejszy kopista, surowy prokurator dążący do

zdemaskowania fałszerzy Biblii, mordował i obdzierał ze skóry jej córki.

— Wasza wizyta jest dla nas honorem, Ekszelencjo!
Dzisiejsza noc

będzie najwspanialszą nocą w waszym życiu

obiecała, rozkazując swoim córkom, żeby zdjęły z niego odzienie.

Chwilę potem mężczyzna z przerażeniem patrzył, jak dwanaście

kobiet zdejmuje tuniki, ukazując zmysłowe ciała w opiętych skórzanych

strojach, czarnych, czerwonych lub cielistych, pod którymi rysowały się

wyraźnie wszystkie szczegóły ich anatomii.

-A więc chcecie poznać tajemnicę rozkoszy. Wasze życzenie jest dla

nas rozkazem - oświadczyła najmłodsza ze wszystkich, nachylając się

nad drżącym torsem duchownego i pocierając sutki sterczące z otworów

kombinezonu.

Ulva nie miała najmniejszych wątpliwości, że właśnie tego

poszukiwał kopista z Moguncji. Chciał wyrwać im tajemnicę

przechowywaną przez służebnice Kosza Najświętszego:
Księgę

zakazanych rozkoszy.

- Będziecie jedynym mężczyzną na przestrzeni wieków,
który dostąpi

przywileju poznania tajników absolutnej rozkoszy -
powiedziała Ulva,

podczas gdy druga kobieta o imponujących proporcjach,
mocnych,

długich nogach i kształtnej figurze weszła na łóżko, stanęła
nad głową

kaligrafa, rozstawiając nogi i ukazując jego oczom przez
niewielkie

pęknięcie w czerwonym skórzanym kombinezonie różowy
srom, z

którego wystawała stercząca łechtaczka. Podczas gdy
pierwsza

dziewczyna nadal ocierała się sutkami o białą skórę
Zygryda, druga

ukucnęła, przyciskając swój nabrzmiały seks do otwartych
ust kapłana,

którego krasomówstwo i elokwencja zostały zdławione,
ustępując

miejsca całkowitemu milczeniu.

- Dzisiaj na własnej skórze poznacie w końcu rozkosze,
których

doświadczają zwykli śmiertelnicy - ciągnęła dalej Ulva,
dając wskazówki

swoim dziewczętom.

Od kiedy Sumerowie nauczyli się chwytać słowa, żeby nie
przemineły

z wiatrem, mężczyźni mogli pozostawiać

świadcstwo swoich wyczynów i wyczynów swoich
bogów, triumfów

i klęsk, heroiczych osiągnięć i sromotnych porażek,
swoich prawd i

swoich kłamstw, swoich wspomnień i egzystencjalnych rozważań. Tak

stworzyli historię, pisząc na glinie, kamieniu, drewnie, papirusie,

pergaminie i papierze. A także na ludzkiej skórze. Używali rylców, piór i

pędzli. Ale także sztyletów. Od kiedy człowiek nauczył się pisać i szerzyć

swoje słowo, nie brakowało też takich, którzy chcieli je usunąć,

zniszczyć, zetrzeć z powierzchni ziemi. W ślad za pismem pojawiła się

cenzura. Słowa utkano z tego samego tworzywa co pragnienie, pożądanie

i seks. Prawo natomiast wykuto żelazem miecza.

- Kto wie, może udało się wam odczytać księgi tych cór, które mi

odebraliście. Może zniszczyliście je, jak moje ukochane dzieci. Tak czy

inaczej, na własnej skórze poczujecie teraz rozkosz nad rozkoszami.

Podczas gdy Ulva mówiła, coraz więcej niewiast oblegało gołe ciało

kapłana, jęczącego z niewypowiedzianej rozkoszy. Nie dlatego, że nie

zaznał jej nigdy wcześniej; wielokrotnie był z kobietami, z tym czy innym

mężczyzną, zwykle bratem zakonnym, a nawet z dziećmi. Ale to, co

przeżywał teraz, było zupełnie inne. Jego nabrzmiałe przyrodzenie

wskazywało w kierunku Najwyższego.

- Dziś wreszcie poznacie prawdziwą rozkosz.

Pierwszą rytualną ceremonię służebnic Kosza Najświętszego

odprawiano w dniu ich narodzin. W jej trakcie, stosując techniki

niezmienione od czasów babilońskich, matka nierządnic

kreśliła na ich

ciele ostrym grotem ośmioramienną gwiazdę Isztar.
Zamiast pisać w

glinie, robiła to na skórze noworodka. Wewnątrz koła, od
którego

odchodziły ramiona gwiazdy, tatuowała pismem klinowym
rodowód

dziewczynki: „Kapłanka Isztar, z rodu Shuanny, córka
Ulvy”.

Skaryfikacja,

czyli tatuaż bliznowy, polegała na głębokim
wydrapywaniu na skórze

wzorów ostrym rylcem. Ceremonią rytualną kierowała
najstarsza z

niezrądnic, która pisała własnymi rękami, stosując
techniki starożytnych

Babilończyków.

- A więc chcecie poznać tajemne formuły rozkoszy. Cóż,
dzisiaj

spełnimy wasze życzenie.

Trzy kobiety zajmowały się rozpalonymi genitaliami kapłana:

zadaniem jednej było dać rozkosz twardej, pozbawionej puklerza lancy,

pozostałe zajmowały się dwoma niemymi świadkami. Kolejna zaczęła

nacierać olejami i maściami ślepe, rdzawe oczko, sprawiając jego

właścicielowi trudną do zniesienia, acz wyrafinowaną rozkosz, podczas

gdy piąta kobieta zbliżała się do niego z drągiem imitującym gigantyczny

fallus o rozmiarach porównywalnych z męskim przedramieniem. W

innych okolicznościach na taki widok duchowny wpadłby w panikę. Ale

teraz, w centralnym punkcie orgii, zatracił całkowicie poczucie

przyzwoitości, skromności, strachu, a nawet niebezpieczeństwa. Pragnął

jedynie jeszcze więcej rozkoszy. Surowy pierścień jelita, wieńczący

zadek kapłana, zaczął pulsować, jakby domagał się uwagi, podczas gdy

jego penis stał wyprężony jak nigdy, osiągając wielkość przekraczającą

średnicę ust goszczących go kobiet.

Kiedy matka nierządnic dożywała sędziwego wieku, musiała

namaścić swoją następczynię. Wtedy przychodziła pora na najważniejszy

obrzęd. Tą samą techniką skaryfikacji, jaką matka nierządnic naznaczała

noworodki, spisywała pismem klinowym na ciele wybranki *Księgę*

zakazanych rozkoszy. Mimo że rytuał był bolesny i doprowadzał do

obfitego krwawienia, następczyni poddawała się ceremonii z rozkoszą, w

przekonaniu, że przekazując tajemnicę rozkoszy kolejnym pokoleniom,

podtrzymuje tysiącletnią tradycję zainicjowaną przez Shuanę.

Uwieczniony w ten sposób tekst przydawał

ciału szczególnego piękna: pismo klinowe tworzyło fantastyczne

figury na plecach, brzuchu, pośladkach i ramionach, zmieniając skórę w

zachwycające dzieło sztuki, podobne do starożytnych sumeryjskich

rzeźb.

- Nadszedł wreszcie upragniony dzień, Ekscelencjo. Upajajcie się!

Delektujcie bez ograniczeń! - powtarzała Ulva.

Zygfyrd z Moguncji stał się bytem, dla którego rozkosz w najczystszej

ze wszystkich swoich postaci jest jedynym powodem istnienia. Nie

odczuwał zwykłej zmysłowej przyjemności, jego dusza weszła w nowy

stan istnienia. To była rozkosz, kiełkująca na ziemskim padole i

wynosząca go ku panteonowi pogańskich bogów, jakby sama Isztar

wstąpiła w jego ciało.

- Przygotujcie się, aby ujrzeć to, czego żaden śmiertelnik nie widział

od wieków. Przygotujcie się, aby zobaczyć oblicze Boga!

Oddany dłoniom i ciałom dwunastu niewiast kopista, z oczami i

zmysłami skierowanym ku innemu światu, odległemu od ziemskiego

padołu, nie przestawał jęczeć. Jednoczył się z Bogiem, z każdą cząstką

swego człowieczeństwa, z każdym elementem stworzenia.

Cenne napisy na ciele nie były jedynie dekoracją. Ten, kto potrafił

czytać pismo klinowe, jak służebnice Kosza Najświętszego, mógł

uzyskać dostęp do tajemnic przechowywanych przez ponad trzy tysiące

lat: tajników legendarnej babilońskiej ladacznicy. Tej, która według

Księgi Apokalipsy powróci, by rozpętać wojnę końca świata,

poprzedzającą Sąd Ostateczny.

Zygfryda z Moguncji nie martwiły podrabiane Biblie. Nie chciał

dopuścić, żeby wynalazek Gutenberga umożliwił masowy dostęp do

świeckich ksiąg, a przede wszystkim rozpowszechnianie *Księgi*

zakazanych rozkoszy. Choć musiał przy-

znać, że nawet on, mądry kopista, nie potrafi odczytać

pisma

klinowego, wiedział, że te znaki wydrapane na skórze mają sens, który w

przyszłości ktoś może rozszyfrować. Dlatego postanowił położyć kres

Zgromadzeniu Kosza Najświętszego, a w szczególności księgom

spisanym na skórze jego służebnic. To, nic innego, popchnęło go do

zabijania i obdzierania ze skóry sukcesorek Ulvy. Zgodnie z tradycją

dynastii Shuanny, kiedy matka nierządnic umierała, jej skórę pokrytą

sekretnymi tekstami przerabiano na delikatny pergamin, z którego

sporządzano księgi i w formie pradawnych zwojów przechowywano bez

zwracania niczyjej uwagi jak zwykłe bele skóry. Ważniejsze od

papirusów, łatwo ulegających uszkodzeniom lub zniszczeniu, były słowa

spisane na żywym ciele: ciągłe prześladowania, wygnania, pospieszne

ucieczki i grabieże uniemożliwiały kobietom z klanu gromadzenie

przedmiotów. Najlepszym sposobem na przewożenie pism było wydra-

pywanie ich na własnym ciele. Mając jednak na względzie morderstwa i

obdarcie ze skóry ostatnich wybranek, Ulva po raz pierwszy musiała się

sprzeciwić nakazowi przodków. Po śmierci Zeldy postanowiła chronić

kolejne następczynie: do czasu znalezienia mordercy nie będą

następnymi nosicielkami ksiąg, żeby nie narażać się na

niebezpieczeństwo. Najstarszej jawnogrzesznicy nie udało się co prawda

zapobiec ostatniej zbrodni, ale zabójca musiał odejść z pustymi rękami:

ku jego zaskoczeniu wybranka nie miała na skórze wydrapanych

napisów.

- Oddajcie się przyjemności, grzech nie istnieje. Pławcie się w

rozkoszy!

Gdyby prokurator był świadomy, Ulva zadałaby mu z pewnością

pytanie, dlaczego jej nie zabił, zanim przystąpił do mordowania jej córek,

skoro jego celem było wyeliminowanie głównej nosicielki wiedzy, a w

tym przypadku również

jedynej, która mogła spisać księgę na ciele swojej sukcesorki. Ale

znała odpowiedź: w głębi serca Zygryd chciał poznać sekret rozkoszy w

jej czystej formie, nie z opisu. Bardziej niż czegokolwiek na świecie

pragnął zespolenia ciał, którego od zarania dziejów doświadczali jedynie

nieliczni wybrańcy. Nie jako kolejny klient, tylko jako dar składany w

oferze lubieżnej Isztar. Zygfyrd z Moguncji pragnął potajemnie oddać

się głównej kapłance, nie jawnogrzesznicy, żeby poprowadziła go przed

tron pólężącej babilońskiej bogini.

Służebnice Kosza Najświętszego wyniosły prokuratora na wyżyny

metafizycznej rozkoszy, stosując, krok po kroku, wskazówki zakazanej

księgi, aż w końcu, tak jak zapowiadała Ulva, oczom kopisty ukazała się

światlista, niebiańska poświata, a w jej gorejącym środku majaczyło

oblicze Boga. Nie wyglądało jak siwobroda twarz na obrazach wiszących

w kościołach, ale jak gładkie i nadobne lico niewiasty. Najpiękniejsze i

najbardziej wyuzdane rysy, jakie kiedykolwiek widział świat. Miała

kuszącą fizjonomię Ewy, zielone oczy węża, pogodny uśmiech

Przenajświętszej Panienki i pełne wargi Marii Magdaleny. Żadne słowa

nie byłyby w stanie tego opisać. Wszechmogący o kobiecej twarzy uniósł

gorliwego strażnika słów, złożył go na swoich kolanach i wsunął swój

święty język, długi i czerwony, w otwarte usta Zygryda z Moguncji.

Drżące, pulsujące ciało kapłana po pocałunku Boga ogarnął stan ekstazy,

potem ukojenia, wreszcie, omdlewając w boskich ramionach, kopista

zaznał wiecznego spoczynku.

Ulva obserwowała, jak Zygryd z Moguncji wydaje swoje ostatnie

technienie; zgasł z jękiem rozkoszy na ustach, który wzbił się ponad

wysokie wieże dwugłowej mogunckiej katedry. Zmarł w sposób, w jaki

każdy mężczyzna pragnie umrzeć.

Upajająca ofiara Zygryda nie poszła na marne. Jego skóra posłużyła

za pergamin, na którym Ulva spisała jeden z naj-

piękniejszych egzemplarzy *Księgi zakazanych rozkoszy*. Kopista z

Moguncji skończył jako cudowny zwój, na wzór tych, jakie wypełniały

Bibliotekę Aleksandryjską. Czyż kaligrafa mógł spotkać lepszy los niż

uwiecznienie w księdze?

Oskarżyciel Gutenberga nigdy sobie nie wyobrażał, że stanie się

księgą, którą próbował zniszczyć wszelkimi sposobami i za wszelką cenę.

Ostatnie słowa

Zygfyrd z Moguncji zniknął z powierzchni ziemi. Nikt go więcej nie

widział, z wyjątkiem służebnic Kosza Najświętszego, które od czasu do

czasu rozpościerały jego szlachetne szczątki przerobione na pergamin,

żeby zajrzeć do *Księgi zakazanych rozkoszy*.

Po jego tajemniczym zniknięciu rolę oskarżyciela powierzono

prawemu duchownemu spoza wąskiego grona kopistów. Proces toczył się

dalej bez większych perturbacji. Johannes Gutenberg został uznany za

winnego niedotrzymania obietnicy małżeństwa,

zobowiązany do zwrotu

Gustavowi von der Isern Türe przyjętego wiana i finansowego

zadośćuczynienia na rzecz jego córki Ennelin za poniesione przez nią

straty. Jednocześnie sąd nakazał mu zwrócić Johannowi Fustowi dług w

wysokości sześciuset guldenów wraz z odsetkami. Ponieważ Gutenberg

nie dysponował taką sumą, sędziowie orzekli, że tytułem zapłaty odda mu

prasę drukarską, narzędzia i czcionki. Wydali również werdykt, że

wydrukowanymi już Bibliami oskarżeni podzielą się po równo. Pozostałe

zarzuty przeciw Gutenbergowi zostały przez sąd oddalone.

Johann Fust i Peter Schöffer kontynuowali przedsięwzięcie,

nielegalnie wykorzystując prasę wynalezioną przez

Gutenberg. Potężny bankier zdołał przekonać władze, że drukowanie

za pomocą ruchomych czcionek nie jest fałszerstwem, tylko mechaniczną

produkcją ksiąg. W ten sposób udało się im zmienić pierwotny mroczny

plan w prestiżowe i bardzo dochodowe przedsięwzięcie: Fust pomnożył

kilkakrotnie i tak już znaczną fortunę. W tysiąc czterysta pięćdziesiątym

siódmym roku wspólnicy wydrukowali *Psałterz Moguncki*, pierwszy

tekst, który zawierał nazwę drukarni i datę wydania. Gutenberg nie

doczekał się żadnej wzmianki, ani w kolołonie, ani w żadnym innym

miejscu księgi.

W tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim roku, po zajęciu Moguncji,

Schöffer uciekł z miasta i na własną rękę założył drukarnię we

Frankfurcie nad Menem.

Johann Fust zmarł w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym szóstym, a

Peter Schöffer w tysiąc pięćset drugim.

Johannes Gutenberg, bezustannie nękanym przez swoich wierzycieli,

popadł w nędzę. Przez pewien czas żył w klasztorze Świętego Wiktora,

gdzie znalazł schronienie i utrzymanie. Po wielu staraniach i dzięki

bezinteresownej pomocy jednego z miejskich urzędników założył w

Moguncji małą drukarnię, w której wykonywał drobne zlecenia. Jednym

z jego najpiękniejszych dzieł jest bez wątpienia *Catholicon*, którego

kolofon zawiera następujący tekst: „Z pomocą

Najwyższego ta szlachetna

księga została wydrukowana bez pomocy rrcziny, rysika lub pióra, a

jedynie dzięki cudownej zgodności, proporcji i harmonii uderzeń i

zczionek, w roku tysiąc czterysta sześćdziesiątym od Wcielenia

Pańskiego, w szlachetnym mieście Moguncji". Po najeździe w tysiąc

czterysta sześćdziesiątym drugim roku Gutenberg po raz kolejny został

zmuszony do opuszczenia swojego rodzinnego miasta. Podobnie jak

podczas pierwszego wygnania, przeniósł się do rodzinnego gospodarstwa

Eltville. Tam pracował w odlewni drukarni braci Bechtermunze, zna-

nej z godnego podziwu wydania *Vocabularius*. W ostatnich latach

życia doczekał się uznania ze strony arcybiskupa Adolfa z Nassau, który

w tysiąc czterysta sześćdziesiątym piątym roku nadał mu tytuł szlachecki.

Poza honorowym wyróżnieniem obdarzył go pewną sumą pieniędzy i

ogromnym koszem pełnym zboża, suszonych owoców i wina. Było to

dużo w porównaniu z nędzą. I nic w porównywaniu z zyskami Fusta i

Schöffera. Johannes Gutenberg zmarł trzeciego lutego tysiąc czterysta

sześćdziesiątego siódmego roku.

Potomkinie Ulvy do dziś wykonują swój stary, szlachetny zawód w

niemal każdym mieście na świecie. Rozpoznają się nadal po

ośmioramiennej gwiazdzie wytatuowanej na łopacie. W Buenos Aires,

gdzie po raz pierwszy natknąłem się na informację, która popchnęła mnie

do napisania tej opowieści, sekta miała swoje sanktuarium w piwnicy

obskurnej dyskoteki w okolicach starego Mercado de Abasto, przybytek o

wiele mówiącej nazwie Babilonia. W Madrycie służebnice miały swą

świątynię w głębi małego sklepiku z egzotycznymi strojami na ulicy

Hortaleza. W Berlinie zbierały się na poddaszu nocnego klubu na

Potsdamer Platz. W Paryżu były właścicielkami ekscentrycznej galerii na

bulwarze Sewastopolskim. W Meksyku kultywowały swoje tradycje w

klasztorze sióstr klauzurowych. W Moskwie praktykowały swoje światło

sztuki w tym samym budynku, w którym działało prestiżowe

wydawnictwo. W Londynie były właścicielkami okazałej rezydencji w

dzielnicy South Kensington, odwiedzanej jedynie przez wysokich

urzędników państwowych i królewskich.

W Kopenhadze miały swoje sanktuarium na zapleczu księgarni na

ulicy Stroget. Podczas mojej ostatniej podróży do stolicy Danii, kiedy

zainteresowałem się starymi łacińskimi księgami stojącymi na półkach,

właścicielka lokalu, nadobna, smukła, dojrzała niewiasta, spytała:

- Szuka pan jakiegoś konkretnego tytułu?

- *Libri voluptatum prohibitorum* - odpowiedziałem z nutką humoru i

mimowolnym podtekstem.

- Nie mam w tej chwili, ale jeśli jest pan naprawdę zainteresowany,

mogę zdobyć egzemplarz wydany na pergaminie i
oprawiony w skórę.

Stałem jak sparaliżowany, z głupawym uśmiezkiem
przyklejonym do

twarzy, dopóki nie zauważyłem ośmioramiennej gwiazdy
wystającej

spod bluzki odsłaniającej część pleców.

- Wolę trwać w niewiedzy, dziękuję - powiedziałem,
wychodząc

pospiesznie na wczesną duńską noc.

Kobieta w odpowiedzi uśmiechnęła się szyderczo.
Niepokojąco.